

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**DANIEL DEFOE**

**PRZYPADKI  
ROBINSONA KRUZOE**

Opracował  
Władysław Ludwik Anczyc

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## Przedmowa

Któż z nas nie zna Robinsona Kruzoa? Komu czytanie tego dziełka nie przywodzi na myśl najmilszych wspomnień młodocianych.

Półtora wieku upłynęło od chwili, jak utalentowane pióro Daniela Defoe skreśliło ten utwór, drugie tyle przeminie, a Robinson zawsze stanowić będzie jedną z najlubiejszych, najbardziej zajmujących i najlepszych książek dla młodzieży. Nie dość bowiem, że z ludzającym prawdopodobieństwem opowiada przygody nieszczęśliwego rozbitka, ale zarazem ukrywa zręcznie zacząć dążność obudzenia zamiłowania do pracy i uczciwości, nie grzesząc wcale przeładowaniem morałami, jakimi czysto niezgrabni autorzy zniechęcają do czytania młode umysły, nie osiągając wcale zamierzonego celu.

Dotychczasowe polskie przekłady wydawanego bądź z tłumaczeń francuskich oryginału angielskiego, bądź z przeróbki niemieckiej Campego. Ani jedne, ani drugie, chociaż wykonane starannie, nie odpowiadają dzisiejszym potrzebom.

Defoe w pracy swojej popełnił wiele błędów pod względem wiadomości przyrodniczych i geograficznych, wynikających ze stanu, w jakim nauki, w czasie gdy pisał Robinsona, znajdowały. Nadto dzieło jest więcej dla starszych, aniżeli dla młodzieży pisane.

Campe, mając na względzie cele pedagogiczne, popsuł Robinsona, nadawszy mu zamiast żywego opowiadania, formę rozmów, którą już dziś powszechnie zarzucono i wiele szczytnych ustępów Defoe'go, jak np. nawrócenie się Robinsona, pominął lub lekko tylko dotknął.

Inne przerobienie niemieckie, przez G. A. Graebnera dokonane, lub od dawniejszych lepsze i zalecające się poprawieniem naukowych błędów oryginału, jest jednak zbyt rozciągle, drobnostkowe, zbyt moralizujące. Robinson Graebnera jest przy tym Niemcem flegmatykiem, miękkim, bojaźliwym i jesteśmy pewni, że by się naszej energicznej działości nie podobał.

Wezwani przez wydawców do wypracowania nowego przekładu, staraliśmy się połączyć żywość Defoe z celami pedagogicznymi tłumaczy niemieckich, usiłujących dać obraz pierwsiastkowego rozwoju człowieka i trudności, z jakimi walczyć musiał dla zaspokojenia pierwszych potrzeb życia. Dlatego też nie od razu, jak Defoe, podajemy mu w rękę narzędzia, odzież, broń i pokarmy europejskie, ani też, jak Graebner, nie pozbawiamy go ich aż prawie do końca pobytu na wyspie, ale dopiero przez siedem lat życia pełnego trudów i niewygód pozwalamy mu dochodzić stopniowo do ich posiadania. Na koniec krótką tylko wzmianką zbywamy późniejsze podróże Robinsona na Wschód, które niemieccy tłumacze Robinsona dla dzieci zupełnie pomijają, a Defoe zanadto ze szkodą jednolitości dzieła rozszerza.

Robinson tłumaczony jest na języki wszystkich narodów cywilizowanych. W Niemczech nawet włączono go do książek elementarnych dla szkół niższych. Wszędzie atoli oryginał uległ znacznym zmianom, stosownie do ducha miejscowego. Nie kierowaliśmy się wcale zrozumiałością, odstępując, o ile potrzeba wymagała, od oryginału, ale chęcią przysłużenia się działości naszej książeczką zajmującą i użyteczną, a odpowiednią postępowi wiadomości.

Warszawa, 5 stycznia 1867 r.

WŁADYSŁAW LUDWIK ANCZYC

## I

### **Urodzenie moje. Chęć żeglugi. Rodzice sprzeciwiają się temu.**

W roku 1654 ojciec mój był kupcem w Hull, mieście portowym we wschodniej Anglii. Miał się wcale nieźle, bo prowadził znaczny handel towarami zamorskimi, ale nie był szczęśliwy. Z trzech synów ja tylko zostałem w domu: najstarszy brat zaciągnął się do marynarki królewskiej i zginął w bitwie z Hiszpanami; średni, puściwszy się przed dziesięciu laty na morze, przepadł, jak kamień w wodzie, a i ze mnie rodzice nie mogli się wielkiej spodziewać pociechy, gdyż przyznam się, że byłem próżniakiem i unikałem pracy, jak zaraźliwej choroby.

Ojciec, pragnąc, abym wyszedł na porządnego człowieka, starał się dać mi jak najlepsze wychowanie. Trzymał nauczyciela, potem do szkół posyłał; ale nieszczęściem przed kilku laty został porażony i nie mógł opuszczać swego pokoju przyległego do sklepu; matka musiała zajmować się handlem i gospodarstwem. Sam sobie zostawiony, wymykałem się spod oka ojca, a z matką robiłem, co mi się podobało, bo jak tylko zaczęła czynić mi najmniejsze uwagi, zaraz udawałem chorego, a biedna kobieta, drżąc o życie jedyne syna, pozwalała na wszystkie moje wybryki.

Więc też zamiast iść do szkoły, albo siedzieć nad książką, wymykałem się z domu i biegałem do portu, gdzie mi się nadzwyczajnie podobało. Bo też w porcie było co widzieć: różne okręty, jedno- dwu- i trzymasztowe, ogromne statki kupieckie rozmaitych narodów i zgrabne łodzie nadbrzeżnych rybaków, różnokolorowe bandery, rozmaite ubiory majtków, wszystko to bardzo ładne i zajmujące. Kiedy zaś przypadkiem okręt liniowy albo fregata wojenna zawitały do portu, to już dla mnie była prawdziwa uroczystość.

Wdajże się przy tym w pogadankę z majtkiem, co to wrócił gdzieś z Indii albo Ameryki, który się napatrzył czarnym jak kruk Murzynom, żółtym Chińczykom, albo czerwonym Amerykanom, co to jak zacznie rozpowiadać o lasach brazylijskich, nieprzebytych, zarosły olbrzymimi drzewami, o różnobarwnych papugach, złotopiórych kolibrach, gromadach swawolnych małpek, na których widok trzeba się brać za boki od śmiechu, to aż serce wydziera się w tamte strony! Cóż dopiero, jeżeli stary sternik pocznie opisywać, jakie to swobodne i wesołe życie prowadzi się na okręcie, jakie to wspaniałe miasta na Wschodzie, jaka żyzność i bogactwo krain podzwrotnikowych, gdzie dość się schylić, ażeby zbierać złoto, perły, rubiny i diamenty...

Kiedym się nasłuchiwał tych opowieści, to sobie miejsca znaleźć nie mogłem. Dom wydawał mi się taki nudny, sklep tak obrzydliwy, a szkoła tak szkaradna, że nieraz płakałem po kątach, desperując, że tutaj siedzieć muszę, zamiast bujać na prześlicznym okręcie po niezmiernym oceanie.

Nieraz, gdy ojciec był w dobrym humorze, zaczynałem rozmowę o żeglarstwie, unosiłem się nad pięknnością krajów zamorskich, ale starzec rozdrażniony stratą mego średniego brata, jednym słowem usta mi zamykał.

– Milcz, mówił, nie waż się przy mnie morza wspominać, nienawidzę tego zdradzieckiego żywiołu. Gdyby biedny Tom pozostał w domu, byłoby nam daleko lepiej, miałbym w handlu wyręczyciela, a to przekłete morze wydarło mi podporę mojej starości.

Miałem już blisko lat osiemnaście, a jeszcze nie wiedziałem, czym będę. Ojciec chciał mnie wykierować na kupca; matka wolałaby, żebym został duchownym; mnie zaś marynarka zawróciła głowę. Próżniactwo moje nieraz ściągало na mnie surowe napominanie ojca, matka parę razy płakała, usiłując obudzić we mnie chęć do pracy. Kiedy mówili, słuchałem ze skrucą, płakałem, także nieraz i ze szczerego serca przyrzekałem poprawę, ale te piękne zamiary bardzo prędko wietrzały z mej głowy, i w parę dni potem broiłem po dawnemu.

Jednego razu powróciłem z portu nadzwyczaj rozdrażniony. Stary Smith, kapitan okrętu kupieckiego, odbywszy świeżo podróż do Indii Wschodnich, więcej jak dwie godziny rozpowiadał o łowieniu pereł przy wyspie Cejlon, polowaniach na słonie, o bogactwach i gościnności tamtejszych osadników. Nasłuchawszy się jego opowiadań, postanowiłem bez dłuższego odwlekania zostać marynarzem i po powrocie oświadczyłem to stanowczo mojej matce.

Biedna kobieta struchlała na te słowa.

– Moje dziecko, zawołała ze łzami, czyż nie wiesz, że obaj twoi bracia na morzu zginęli, że tylko ty nam pozostałeś? Czy masz zamiar wpędzić nas do grobu, opuszczając biedne sieroty? Porzuć tę myśl szaloną, jeżeli nie chcesz, żebym umarła.

– Ha, jeśli matka będzie się sprzeciwiała mojemu zamiarowi i nie wyjedna pozwolenia od ojca, to ja się utopię i kwita, zawołałem ze złością. Ja nie chcę siedzieć w tym nudnym domu, wolę umrzeć, aniżeli tutaj się mordować: raz niech się to skończy!

Kochana matka, zastraszona tą pogroźką, poczęła mię ścisnąć, całować i zaklinać na wszystko, żebym się opamiętał. Czułem, jak jej gorące łzy spadały mi po twarzy, ale ja niegodziwy nie wzruszyłem się tym wcale. Cierpienie drogiej matki wcale mię nie obchodziło, upierałem się przy swoim. O jakże mię ciężko Bóg za to później ukarał!

Upór mój skłonił nieszczęśliwą kobietę, iż narażając się ojcu, poszła prosić go za mną. Starzec, usłyszawszy to, wpadł w gniew niepohamowany i kazał mnie natychmiast zawołać. Z bijącym sercem wszedłem do pokoju, a ojciec, ujrzawszy mnie, gwałtownie krzyknął:

– Cóż to za głupstwa chodzą ci po głowie? Zachciało ci się żeglować, zostać marynarzem? Czy myślisz, że cię od razu admirałem zrobią? Chcąc być marynarzem, trzeba znać matematykę, astronomię i inne umiejętności; trzeba służyć długie lata na morzu, aby po tysięcznych niebezpieczeństwach i trudach wyjść na kapitana okrętu. Chcąc być majstrem okrętowym trzeba znać kowalstwo, ciesiołkę, mechanikę; a ty co umiesz? Bąki zbijać i gawronić się na okręty; na przyszłego kapitana to trochę za mało. Bez nauki i pracy człowiek jest zerem i do niczego nie dojdzie. Choćbym nawet i dogodził twoim zachciankom, powiedz mi, co będziesz robił na okręcie? Możesz zostać ledwie majtkiem, skazanym na wspinanie się po masztach i rejach przez całe życie, na nieustanne plagi i poniewierkę! Na to znowu ja nie przystanę. Wybierz sobie raz z głowy te wszystkie urojenia, bo nigdy, rozumiesz, nigdy nie pozwolę ci nogą wstąpić na okręt. A ponieważ nie chcesz się uczyć, więc od jutra przestaniesz chodzić do szkoły i wstąpisz do handlu. Pracuj, albo wynoś się z mojego domu, gdyż nie myślę dłużej żywić próżniaka. A teraz precz!

Ostra przemowa ojca przeraziła mnie nadzwyczajnie; jak żyję, nie widziałem go w takim uniesieniu. Wszystkie moje świetne projekty żeglowania na wyspę Cejlon rozpięchły się, jak mgła poranna; wiedziałem dobrze, że z ojcem żartów nie ma, więc nie mówiąc ani słówka matce położyłem się spać, a nazajutrz rano stałem już za kasą w naszym sklepie.

Nowość zatrudnienia i praca zajęły mię zrazu bardzo. Przez kilka tygodni sprawowałem się jak najlepiej; matka rosła z radości, a ojciec podczas obiadu łagodniej na mnie spoglądał. O żegludze, przynajmniej w tym czasie, nie myślałem prawie. Prawda, że nieraz, ważąc kawę, imbir lub goździki, przypominałem sobie te prześliczne kraje, gdzie te towary rosną, i nieraz westchnąłem ciężko z tęsknoty za nimi, ale się też na westchnieniach kończyło.

I kto wie, czy nie wyszedłbym na kupca i obywatela miasta Hull, szanowanego przez całe miasto, gdyby wypadek nie rozbudził na nowo chętki do żeglowania i nie nastreczył mi sposobności do uczynienia zadość pragnieniom.

Jednego dnia ojciec przy śniadaniu rzekł do mnie:

– Dostaliśmy świeży transport towarów. Mathews nie ma czasu, więc ty pójdiesz je odebrać. Tylko pamiętaj pośpieszyć się i nie gawronić się w porcie!

Ucieszyłem się bardzo z tego polecenia; od dwóch miesięcy oprócz kościoła nie wychodziłem nigdzie, więc też polecałem jak strzała do portu, podskakując z radości przez drogę.

Ale humor ten wesoły zniknął w chwili, gdy zobaczyłem przystań. Kilkanaście rozmaitych okrętów stało w porcie; morze lekko zmarszczone unosiło inne, posuwające się wspaniale, jak łabędzie, po wód zwierciadle; jeden właśnie opuszczał przystań przy wesołych okrzykach majtków i wystrzałach działowych. Serce zabiło mi gwałtownie, łyzy zakreśliły się w oczach i załamawszy ręce, mimowolnie w głos zawołałem:

– O mój Boże, mój Boże! Dlaczegoż jestem tak nieszczęśliwy!

– A ty, krecie ziemny, czego tak lamentujesz, zawołał ktoś, uderzając mnie z lekka po ramieniu.

Odróciłem się i ujrzałem Wiliama, kolegę szkolnego, miłego i wesołego chłopca, który od czterech lat służył na statku własnego ojca.

– To ty, Wiliamie, zawołałem z radością, nie widzieliśmy się tak dawno!

– Ba, nic dziwnego, toż przeszło dwa lata krążyliśmy z ojcem po morzach indyjskich: byłem w Goa, Kalkucie, Batawii, Manili, a nawet w Macao, podczas kiedy ty, ślimaku, pełzałeś po kamienistym bruku twego rodzinnego miasteczka.

– Ach, jakżeś ty szczęśliwy, mówiłem ze smutkiem. Cóż bym dał za to, gdybym był na twoim miejscu.

– A któż cię broni spróbować lubej włóczęgi? Morze dla każdego otwarte, a na okrętach miejsca nie braknie.

– Mnie nawet mówić o tym nie wolno, odrzekłem z niechęcią.

– Jak to, zapytał zadziwiony.

Opowiedziałem mu więc całe moje położenie, wypowiadałem się ze wszystkich zmar-twień, utyskując, że mi rodzice zagradzają drogę do szczęścia.

Wiliam, wysłuchawszy mnie, wzruszył ramionami i rzekł:

– I któż ci winien, że sobie radzić nie umiesz? Ja, na twoim miejscu, nic nikomu nie mówiąc, porzuciłbym od dawna starych i zaciągnął się na pierwszy lepszy okręt. Takiego porządne-go chłopca każdy kapitan z otwartymi rękoma przyjmie, a że nic nie umiesz, jak po-wiada twój ojciec, to nic nie znaczy. Nie święci garnki lepią. I ja, wchodząc na okręt, o ni-czym nie miałem wyobrażenia, a teraz proszę patrzeć, jaki ze mnie wyborny marynarz.

– Przyznam ci się, odpowiedziałem, że dawno bym to zrobił, ale jestem trochę zabobonny. Ojciec powtarza mi ciągle, że *kto rodziców nie słucha, marnie zginie i Bóg mu nigdy błogo-sławić nie będzie*. Otóż dwóch moich starszych braci wbrew woli ojca porzuciło dom, puścili się na morze i obaj w młodym poginęli wieku. To mię tak przeraża, iż nie mogę się odważyć.

– Niedołęga jesteś, kochaneczku, i kwita, zawołał z pogardą Wiliam. Miliony ludzi puszcza się na morze i wracają szczęśliwie. Każdy stary lubi gderać, to już taka ich natura. Teraz gniewa się i zabrania ci spróbować szczęścia, ale jak powrócisz i przywieziesz huk pieniędzy, przyjmie cię z otwartymi rękami. Raz trzeba być mężczyzną! Ot, wiesz co, jutro płyniemy do Londynu, jeżeli masz ochotę, wsiadaj z nami. Zobacysz wielkie miasto, zakosztujesz marynarskiego życia, a jak ci się nie spodoba, to za parę tygodni wrócisz do domu i będziesz sobie znowu ważył miły pieprz i kochane goździki.

– Popłynąłbym z całej duszy, rzekłem wzdychając, ale cóż... kiedy... kiedy...

– Co takiego? Mów do krośset masztów!

– Oto nie mam pieniędzy... i...

– Głupstwo, zawołał Wiliam, biorę cię na mój koszt tam i na powrót! Czy zgoda?

– Zgoda, zgoda, zawołałem, rzucając mu się naszyję.

– A więc ruszaj i przygotuj się. A pamiętaj, żebyś się nie spóźnił, bo jak przed świtem nie będziesz w porcie, to popłyniemy bez ciebie.

– Niech cię o to głowa nie boli, mówiłem odchodząc. Umieję ją wstawać bardzo rano, kiedy tego potrzeba.

## II

### **Pierwsza wycieczka na morze i co mnie w niej spotkało.**

Rozszedłszy się z Wiliamem, pobiegłem co tchu po towary i zwiózłem je jak najprędzej, aby nie obudzić podejrzeń ojca. Biedny staruszek pochwalił mnie, mówiąc, iż z radością przekonuje się, że mi dawne głupstwa wywietrzały z głowy. Mówił to w chwili, kiedy najczarniejszą gotowałem mu niewdzięczność. Przez cały dzień byłem roztargniony, w nocy spać nie mogłem, bojąc się chybić na naznaczony termin.

Ciemno jeszcze było, gdy porwałem się na nogi, ubierając śpiesznie. W całym domu ci-chuteńko, jak makiem zasiał. Rodzice i domownicy spali. Lękając się obudzić stróża, nie przez bramę, ale przez parkan wydostałem się na ulicę.

Serce mi biło z bojaźni, to żeby ojciec się nie obudził, to żeby kogo znajomego nie spotkał, albo wreszcie nie spóźnił się do portu. A chociaż wyrzuty sumienia dręczyły mnie bardzo i rodzice stali ciągle na oczach, nie zważałem na to i biegłem tym prędzej, aby raz dostawszy się na okręt, przeciąć sobie drogę do powrotu. Wiliam niecierpliwie przechadzał się po brzegu i poznawszy mnie z daleka, krzyknął:

– Ha, idziesz przecie. Myślałem, że się rozzalisz, rozbeczysz i zostaniesz przy matusi. No, siadaj prędzej, bo tam ojciec musi niecierpliwie się i kłać szkaradnie, że nas dotąd nie ma.

Wskoczyłem do łodzi.

Silnym pchnięciem wiosła majtkowie odbili od brzegu, a ranny odpływ morza ułatwiał nam przeprawę. Łódź podskakiwała, płaśała po falach, przechylając się często, a ja, pierwszy raz w życiu płynąc, zbladłem ze strachu, gdyż mi się zdawało, że lada chwila czołno wywróci kozła. Lecz nie śmiałem słówka przemówić.

Po przybyciu do okrętu nowy przestrach. Wiliam kazał mi wstępować w górę po jakichś schodkach czy drabince, zawieszanej nad wodą. Nie wypadało okazywać bojaźni. Krew uderzyła mi do głowy, ale przecież jakoś wdrapałem się na pokład.

Kapitan zburczał nas, żeśmy się nie pośpieszyli, i natychmiast gwizdnął silnie, co było znakiem do podniesienia kotwicy. Zawarczał kołowrót i z jego pomocą wyciągnięto ciężką kotwicę. Majtkowie wdarli się na reje, rozwiązali żagle, które natychmiast wiatr powabnie wydał, jakby skrzydła jakiego ogromnego ptaka. Zagrzmiały działa, a okręt, pochyliwszy się nieco, w lekkich płużach z wdziękiem wybiegł na pełne morze.

Był to piękny trójmasztowiec kupiecki, mający z obu stron po sześć dział i sześćdziesiąt ludzi obsady, zbudowany silnie i zgrabnie do odległych podróży. Z wysokich masztów zbiegało ku bokom mnóstwo lin, to przytrzymujących maszty, to tworzących drabinki sznurowe, a z tyłu wiatr rozdymał wspaniale dumną flagę angielską. Na szczycie masztów długie szkarłatne chorągiewki wesoło igrały, odbijając się od ciemnego błękitu niebios.

Nie umiem opisać uczuć, jakie mną miotają. Raz przecież dogodziłem najgorętszej chęci żeglowania, byłem nareszcie na pokładzie okrętu. Wszystko dla mnie było nowością, każda rzecz zajmowała mnie niezmiernie. Dumny moim szczęściem, z pogardą spoglądałem na nękające wieże rodzinnego miasta. Płynęliśmy nader szybko. Wkrótce już tylko brzegi Anglii, niby sinawa chmurka, rysowały się w oddaleniu; ale wkrótce i te znikły, a zostały tylko nie-przejrzane przestwory wód pode mną i niebo nad głową.



Ale zachwycenie moje trwało niedługo. Około jedenastej przed południem zerwał się silny wiatr zachodni i począł statkiem gwałtownie kołysać. Raptem dostałem nudności, bólu głowy i mocnych wymiotów. Była to choroba morska, której każdy, pierwszy raz płynący po morzu, ulec musi. Zaczęło mi się kręcić w głowie, myślałem, że lada chwila okręt wywróci się i zatoni. Natychmiast przypomnieli mi się biedni, zmartwieni moim nieposłuszeństwem, rodzice. Ciężki żal mię ogarnął i począłem gorzko płakać.

Tymczasem wicher srożył się coraz bardziej, morze wzdymało się gwałtownie, bałwany piętrzyły się, rosły, a mnie się zdawało, iż lada chwila nas pochłona. Opanowała mnie śmiertelna trwoga, począłem się modlić i ślubować Panu Bogu, że jeżeli mi tylko pozwoli dostać się na ląd, nigdy domu rodzicielskiego nie opuszczę i w sklepie jak najusilniej pracować będę. O, jakże mój ojciec słusznie robił, gdy mi zabraniał puszczać się na morze, powtarzałem w duchu. Jakąż miał rację, gdy mi zachwalał ciche i spokojne życie handlowe, a ja, wariat, nie słuchałem go i samochcąc wpadłem w nieszczęście, z którego już się pewnie nie wyratuję. I znowu na myśl o śmierci zalałem się łzami.

– A ty czego się mazgaisz, babo jakaś – krzyknął nadbiegający Wiliam. Ślicznie wyglądasz z tym bekiem i morską chorobą. Ruszaj do kajuty i połóż się na łóżko, a nie rób mi wstydu przed całą obsadą.

Na czworakach, z wielkim trudem, to popychany przez przebiegających majtków, to podrzucany chyleniem się statku, zaledwie zdołałem dopełznąć do mego posłania w kajucie kapitana, gdzie mnie, jako zaproszonego gościa, umieszczono. Ległem na łóżku, ale długi czas usnąć nie mogłem. Okręt raz wybiegał na szczyt bałwanów, to znów pograżał się w przepaści. Maszty i całe belkowanie przeraźliwie trzeszczały, podrzucane beczki i paki podskakiwały, robiąc szalony hałas, a cała ta muzyka przerażała mię w najwyższym stopniu.

Na koniec zmordowany chorobą, znękany przestraczem i zmartwieniem, usnąłem.

Na drugi dzień obudziłem się późno. Słońce wesoło zaglądało przez okienko kajuty. Okręt leciuchno się kołysał.

– A więc burza szczęśliwie minęła, zawołałem zrywając się z łóżka, a że wczoraj nie rozbierałem się wcale, więc pobiegłem na pokład.

Pierwszą osobą napotkaną tam był Wiliam.

– No, i cóż ty, szczurze ziemny, zawołał wesoło, żyjesz przecie! Myślałem, żeś już umarł ze strachu. Było się czego trwożyć.

– Pewnie, że było, odpowiedziałem, zniecierpliwiony trochę jego żarcikami. Jak żyję, nie widziałem podobnej burzy.

– Burzy! Co, burzy? zawołał Wiliam, zanosząc się od śmiechu. Cha! cha! cha! on silny wiatr burzą nazywa. Ciekawy jestem, co byś powiedział, gdyby prawdziwa burza zaryczała. Ale bądź spokojny, tchórzu, okręt nasz, silnie zbudowany i kierowany umiejętnie, nie złęknie się najgwałtowniejszego huraganu. A teraz pójdz, dam ci lekarstwo, które cię w mgnieniu oka z morskiej choroby uleczy.

To rzekłszy, zaprowadził mnie do ojcowskiej kajuty i podał potężną szklanicę gorącego grogu, którego majtek przyniósł całą wazę z kuchni.

– Wypij to, ale do dna – mówił, pijąc sam – to ci dobrze zrobi i przywróci odwagę.

Jak żyję, nie piłem grogu. Rodzice moi nie używali mocnych napojów i oprócz lekkiego piwa nie znałem nawet smaku innych trunków. Gdybym śmiał, byłbym odmówił Wiliamowi, ale on nazwałby mnie znów babą lub niedołągą, a ja chciałem uchodzić za mężczyznę. Krztusząc się, wypilem wszystko, lecz czułem od razu, że mi się głowa potężnie zawraca. Zaledwie też wyszedłem z kajuty, nogi zaczęły mi się plątać, majtkowie, ujrzawszy to, poczęli się śmiać i szydzić ze mnie. Zawstydzony, zrejterowałem do łóżka, trzymając się ścian. Tak to pierwszy raz tylko wyłamawszy się spod czujnego oka rodziców, już się upilem i zostałem pośmiewiskiem prostaków.

Przez parę dni następnych okręt z powodu przeciwnych wiatrów posuwał się bardzo powoli. Kapitan mając interes w Yarmouth skierował ku brzegom. Zaledwie upłynęliśmy parę mil morskich, gdy w oddaleniu na horyzoncie ukazała się czarna linia chmur. Wiatr wilgotny zaczął podmuchiwać i marszczyć powierzchnię morza, pokrywającą się tu i ówdzie białawą pianą.

– Źle, będzie burza i to porządna, zawołał kapitan. Zwinąć wielki żagiel! Kieruj ku lądowi!

Dreszcz przebiegł mnie od stóp do głowy na te słowa. Burza i jeszcze kapitan mówi, że porządna! Ach nieszczęśliwy, teraz już niezawodnie nie wyjdiesz cało, zginiesz w tak młodym wieku, nie dotkniesz nogą ziemi i nie zobaczysz swoich!

Te i podobne myśli trapiły mię srodze. Tymczasem okręt płynął szybko ku brzegom Anglii i niedługo ujrzelśmy port w Yarmouth. Kapitan nie kazał jednak wpływać do portu, ale zarzucić kotwicę w przystani zasłoniętej wzgórzem, gdzie zdawało mu się, iż okręt, nie będąc tyle narażony na wściekłość wiatru, szczęśliwie przeczeka nawałnicę.

Zaledwie kotwica dosięgła dna, kiedy nagle zawył wicher tak gwałtowny, iż o mało nie zerwał nam wszystkich rei i nie zgruchotał masztów. Kapitan kazał natychmiast zwinąć żagle co do jednego i zarzucić drugą kotwicę, bojąc się, aby lina pierwszej nie pękła, a wicher nie roztrącił nas o skaliste wybrzeże. Szalony huragan, dmąc z przerażającą siłą, zginał potężne maszty, które jak giętkie trzciny dotykały prawie szczytami powierzchni wody. Czarna opona chmur zajęła całe niebo, sprawiając niemal nocne ciemności. Co chwila ogniste węże piorunowe rozdzierały obłoki, jaskrawym białą-fioletowym światłem oblewając cały widnokrąg, po czym znów robiło się ciemno. Olbrzymie bałwany, niby góry wodne, pędząc ku lądowi, z taką wściekłością raz po raz uderzały w okręt, że wszystko trzęsło się, trzeszczało. Statek, to w tę, to w ową stronę miotany, szarpał się jak brytan na łańcuchu i zdawało się, że lada chwila potarga grube kotwiczne liny i popędzi ku brzegom. Żagle, reje poszarpane, potrzaskane w kawały odrywały się od masztów; nareszcie przedni, zgruchotany huraganem, padł, pokrywając siecią lin cały przód okrętu. Kapitan rozkazał zrębać wszystko i wrzucić w morze. Lecz przez upadek tamtego, maszt środkowy, straciwszy punkt oparcia, zaczął się chwiać gwałtownie, zagrażając przewróceniem okrętu. Trzeba było i ten, jak pierwszy, zwalić. Niezmordowany kapitan nie szczędził wszystkich usiłowań, aby okręt ocalić, lecz na wybladłej jego twarzy wyraźnie czytać można było, iż niewiele pozostaje nadziei.

Podówczas siedziałem skurczony przy drzwiach pokładu, trzymając się z całej siły żelaznego łóżka, za które obie założyłem ręce. Przerażony w najwyższym stopniu, drżałem jak liść, nie wiedząc, gdzie się schronić, co z sobą począć. Wszystkie słowa ojca, wszystkie jego przestrogi stały mi wciąż na myśli. Choroba morska, jeszcze silniejsza jak przed pięciu dniami, dokuczała mi srodze, a wyrzuty sumienia nieznośnie trapiły.

– Ach, Boże! mój Boże! – szeptałem, odchodząc od zmysłów, ja to wszystkiemu jestem winien. Przez moje nieposłuszeństwo ściągnąłem gniew Twój na tych niewinnych ludzi. Przeze mnie wszyscy poginą! Ach, ratuj mię, miłościwy Boże! Zlituj się nade mną! Nigdy już, dopóki życia, nie zrobię nic bez wiedzy i woli moich kochanych rodziców. Będę im posłuszny we wszystkim. Ach, Panie! Panie! Zmiłuj się! Zmiłuj!

Ale burza wrzała straszliwie, huk piorunów i świst wiatru nie ustawał na chwilę. Dwa statki kupieckie, zerwane z kotwic, przeleciały jak błyskawica koło naszego okrętu i roztrzaskały się o nadbrzeżne skały. Inny okręt, o kilkaset sążni od nas odległy, z całym ładunkiem i wszystkimi ludźmi poszedł na dno. Widziałem starych majtków, doświadczonych marynarzy modlących się na klęczkach i gotujących się na śmierć.

Wtem we drzwiach, przy których siedziałem, ukazał się wybladły utykacz szpar i zawołał przerażającym głosem:

– Otwórz w okęcie! Cztery stopy wody w kadłubie!

– Do pomp! Cała obsada do pomp, krzyknął kapitan, zwołując wszystkich na pomost.

– Wstawaj, próżniaku, zawołał utykacz, potrącając mnie silnie, czy nie słyszysz, co się dzieje? Ruszaj do pompy, bo cię wrzucę w morze, niedołęgo!

Zerwałem się na nogi i pobiegłem pracować z innymi, ale mimo wysilenia, robota nie na wiele się zdała. Po całonocnym pompowaniu zawołano z wnętrza: pięć stóp wody!

Naówczas kapitan, zagrożony zatonięciem okrętu, rozkazał dać ognia z dział na trwogę. Nie obeznany ze zwyczajami marynarskimi, usłyszawszy ten huk, myślałem, że okręt pękł na połowę i zemdlałem ze strachu.

Porwano mnie i odrzucono na bok, sądząc, że umarłem. Każdy tylko sobą zajęty, nie troszczył się wcale o drugich. Już się ściemniało, kiedy odzyskałem zmysły.

Na okręcie panowało zupełne zamieszanie. Pomimo ciągle dawanych wystrzałów, ani od brzegu, ani od innych statków stojących na kotwicach, żadna łódź nie przyplęwała nam na pomoc, a okręt coraz więcej nabierał wody. Wszelka nadzieja ratunku znikła. Na koniec bryg wojenny, wzruszony naszym losem, poświęcił swą szalupę, wysyłając ją ku nam. Długi czas walczyli dzielni majtkowie z rozhukanym morzem, zanim zdołali przybliżyć się. Na koniec uchwycili rzuconą linę i przybili do naszego statku.

Popłoch i zamieszanie mogłyby nas zgubić, gdyby nie energia kapitana, który powstrzymał cisnących się tłumem, nie tylko wszystkich szczęśliwie do szalupy przesadził, ale nadto swoją gotówkę, papiery i kosztowności ocalił. Z początku chcieliśmy się dostać na pokład brygu, lecz o tym ani można było marzyć. Kapitan więc nakłonił sternika szalupy, ażeby skierował ją ku lądowi, biorąc na siebie odpowiedzialność, w razie gdyby zatonięła. Z pomocą wioseł i wiatru szybko przebywaliśmy przestrzeń przedzielającą nas od brzegu. Zaledwie odpłynęliśmy o paręset sążni od opuszczonego statku, kiedy ten pograżył się w przepaściach morskich.

Po nadludzkich wysileniach, zmordowani, przemokli i drżący, dostaliśmy się na koniec do brzegu w pobliżu latarni Winterton.

Mieszkańcy miasta Yarmouth, zgromadzeni w niezmiernej liczbie na brzegu, przyjęli nas z największą gościnnością, zabrali do domów i pokrzepili rozgrzewającą strawą i ciepłym posiłkiem. Właściciele ocalonych okrętów zrobili natychmiast składkę i doręczyli kapitanowi, prosząc, ażeby rozdał ją między potrzebujących. Z pomocą tego wsparcia każdy z nas mógł dostać się do Londynu albo do domu wrócić.

Za wstawieniem się Wiliama dostałem trzy gwinee. Było to aż nadto na drogę do Hull, gdzie, jak każdy z czytelników zapewne mniema, zaraz się udałem dla pocieszenia i prześlągnięcia strapionych rodziców.

Gdybym miał iskierkę rozumu, gdybym miał poczciwe serce, byłbym to niezawodnie uczynił. Posiadając jednak tak znaczną kwotę, nie mogłem się oprzeć chęci zobaczenia Londynu. Razem z niebezpieczeństwem i strachem przeminęły dobre zamiary. Zresztą, wracać do domu po tak niefortunnej próbie, narazić się na gniew ojca i pośmiewisko wszystkich znajomych – nie, na to nie mogłem się odważyć. Zamiast więc myśleć o powrocie, zacząłem błąkać się po mieście, szukając sposobności udania się do Londynu.

Na drugi dzień napotkałem naszego kapitana, idącego z Wiliamem. Kolega mój miał wcale niewesołą minę i z westchnieniem podając mi rękę, rzekł:

– I cóż, biedny Robinsonie, spotkał cię strach niemały, a wszystko z mojej przyczyny.

– Jak to z twojej przyczyny, zapytał kapitan.

– Tak, ojczco, bo to ja go namówiłem, aby z nami popłynął, a tymczasem, zamiast spodziewanej przyjemności, o mało tej wycieczki nie przyplacił życiem.

– Słuchaj, chłopcze – rzekł poważnie kapitan – ostrzegam cię po przyjacielsku, ażebyś więcej nie próbował żeglugi. Wypadek, jakiego doznałeś, powinien cię przekonać, że nie jesteś stworzony na marynarza.

– A pan, czy także już nigdy w życiu nie wsiądzie na okręt, zagadnąłem go.

– Ja, to całkiem co innego, odrzekł kapitan. Żeglarstwo jest moim zatrudnieniem i utrzymaniem. Ale ty wcale się tym nie trudnisz i zapewne tylko nierozsądna namowa mojego syna nakłoniła cię do spróbowania tego niebezpiecznego żywiołu.

– O, nie, panie, odpowiedziałem z zapałem. Żegluga od lat dziecinnych zajmuje mnie i pociąga niezmiernie, tak, iż przeciw woli ojca, wbrew jego najsurowszym zakazom, puściłem się potajemnie na morze, bez którego żyć nie mogę.

– Jak to, zawołał z niezmiernym oburzeniem kapitan, ty dzieciuchu odważyłeś się wbrew rozkazom ojca postąpić? I czymże ja sobie na to zasłużyłem, żeby taki urwis śmiał wstąpić nogą na mój statek! A czy ty wiesz, niepoczciwy synu, że nieposłuszeństwo dla rodziców pociąga za sobą karę Bożą i kto wie, czy nie przez ciebie straciłem okręt? Precz mi z oczu, niecnoto i nie waż pokazywać mi się więcej, ani wdawać z Wiliamem, bo mnie popamiętasz!

Widząc, że splonąłem ze wstydu i oczy mi łzami zaszkły, poczciwy kapitan wzruszył się i rzekł łagodniej:

– No, nie martw się i nie przybieraj sobie do głowy. Jeszcze możesz być porządnym człowiekiem, staraj się więc jak najprędzej naprawić zło, któreś uczynił i wracaj natychmiast do domu.

I uściskawszy mnie za rękę, wsunął w nią dwie gwinee.

Wiliam pożegnał mnie także i ucałował serdecznie.

Na drugi dzień rano, ugodziwszy za parę szylingów furmana wracającego do domu, wsiałem na wóz i pojechałem... do Londynu.

### III

## **Dostaję się do Londynu. Poznanie się moje z kapitanem innego okrętu i co z tego wynikło.**

Stolica Anglii wydała mi się ogromnym miastem, zwłaszcza, że oprócz Hull i Yarmouth, nie widziałem innych miast w życiu. Olśniony wspaniałością pałaców, długością ulic, wielkością kościołów, błąkałem się przez pierwsze dwa dni, przypatrując się wszystkiemu z niezmiernym zadziwieniem. Lecz pobyt tam drogo kosztuje i po tygodniu, wydawszy dwie z pięciu gwinei, przeraziłem się bardzo, co dalej będzie. W tak krytycznym położeniu obudziły się zwykłe wyrzuty sumienia i teraz stanowczo postanowiłem wrócić do domu. Miałem wuja, proboszcza w Hull, człowieka dobrego i lubiącego mnie bardzo. Umyśliłem użyć jego pośrednictwa, a że ojciec považał go wielce, byłem więc pewny, że mi przebaczenie u rodziców wyjedna. Zresztą, odbyłem już podróż do Londynu, mogłem się więc tym pochwalić przed znajomymi, tając niebezpieczeństwa, jakich w mojej wycieczce doznałem.

Ponieważ na podróż pieszą, a tym bardziej na wozie, nie wystarczyłoby mi pieniędzy, umyśliłem więc na Tamizie poszukać takiego statku, ażeby się zabrać do domu. Przybywszy na brzeg rzeki, ujrzałem mnóstwo ludzi zajętych ładowaniem i wyprzątaniem okrętów.

Kogo się tu spytać o odpływający statek, myślałem sobie. A nuż trafię na jakiego łotra, który mię okradnie i na koszu osadzi, trzeba być ostrożnym. I począłem pilnie przypatrywać się flisom i marynarzom, aż nareszcie wpadł mi w oko mężczyzna pięćdziesięcioletni, bardzo łagodnych i miłych rysów twarzy. Stał on oparty o dom celnej komory i uważałem, iż mi się od kilku chwil przypatrywał z zajęciem. Zbliżyłem się tedy ku niemu i pozdrowiłem go grzecznie kapeluszem.

– Czyś kogo zgubił, mój chłopcze, zagadnął nieznajomy, odpowiadając na mój ukłon. Uważam, że błędzisz z miejsca na miejsce, jak gdybyś kogo szukał.

– Panie, odpowiedziałem z ukłonem, raczcie mi powiedzieć, czy nie wiecie o jakim statku, który by do Hull odpływał?

– Do Hull? Hm, to będzie trudno. Dziś ani jeden w tamtą stronę nie płynie i zdaje mi się, że dopiero za kilka dni stary Dick puści się tam z ładunkiem towarów. Zaczekaj więc do soboty i przyjdź tutaj, a ja cię zarekomenduję.

– O, łaskawy panie, odrzekłem nieśmiało, ja tak długo czekać nie mogę, gdyż wydałbym wszystkie pieniądze i brakłoby mi na zapłacenie przewozu.

– A cóż cię tak gwałtownie do Hull pociąga? Myślę, że taki młody chłopak i tutaj znalazłby utrzymanie. Cóż tam będziesz robił, nieboraku?

Zachęcony przyjaznym tonem i współczuciem, z jakim do mnie nieznajomy przemawiał, odpowiedziałem mu otwarcie moje przygody.

Marynarz wysłuchał mnie uważnie, a potem rzekł:

– Hm! hm! A więc wyrwałeś się, sowizdrzale, z domu bez pozwolenia rodziców, to wcale niedobrze; ba, ale cię trochę tłumaczy w moim przekonaniu ta twoja chęćka do żeglowania. Każdy młody ma swoje szaleństwa. Ja ci znowu tego tak bardzo za złe nie mam, bo widzę, że mógłby być z ciebie tęgi marynarz. Gdy powrócisz teraz do domu, ojciec cię pewnie porządnie zburczy. Ja na jego miejscu wyłatałbym ci skórę. Do kroćset masztów, to by ci wcale nie zaszkodziło. Ale żart na stronę, tak wracać nie możesz, wszyscy by cię wyśmiali i bardzo słusznie.

– Cóż więc mam zrobić, wyjąkałem, czerwieniąc się jak wiśnia.

– Wiesz co, kochaneczku, spodobałeś mi się od razu. Jesteś miłym chłopcem i mogą z ciebie być ludzie. Ja byłem takim samym urwisem, a przecież wyszedłem na porządnego człowieka. Nie odradzam ja ci wcale, żebyś do ojca wracał, ale być tylko w Londynie i powrócić z niczym, to jakoś będzie bardzo lichy wyglądał. Jeżeli zaczął się awanturować, to już z próżnymi rękami wracać nie wypada. Słuchaj mnie więc: za trzy dni odpływam do Afryki ku wybrzeżom Gwinei, gdzie dużo gwinei zarobić można. Jeżeli chcesz, wezmę cię z sobą. Mam dzięki Bogu znaczny majątek, dobrą żonę, ale ani jednego dziecięcia. Otóż na tę podróż przybiorę cię za syna i na twój rachunek zaryzykuję czterdzieści funtów szterlingów. Zakupię za nie rozmaitych towarów stalowych, bawełnianych i szklanych. Jeżeli handel pójdzie dobrze, czego się niezawodnie spodziewam, zarobisz ładny pieniądz. Naówczas oddasz mi wyłożoną sumę, a powróciwszy z zyskiem do rodziców, dowiedziesz im, żeś przez te parę miesięcy darmo chleba nie jadł. Podróż nie będzie cię nic kosztowała, gdyż przewiozę cię tam i na powrót za darmo. Przez drogę obznajomię cię trochę z żeglarstwem, a ręczę ci, że ojciec nie tylko da się przebłagać, ale widząc, żeś skorzystał i pieniądze i naukowo, może nawet i pozwoli ci poświęcić się marynarce.

Usłyszawszy te słowa, zgodne z najgorętszymi życzeniami moimi, o mało nie rzuciłem się do nóg kapitanowi. Projekt jego trafił mi zupełnie do przekonania, albowiem miałem teraz czym usprawiedliwić moje nieposłuszeństwo i dogodzić chęci podróży. Z ochotą więc przystałem na wszystko i w trzy dni potem, korzystając z pomyślnego wiatru, opuściłem ujście Tamizy.

## IV

### **Podróż do Gwinei. Ryby latające. Pożar morza. Korzystny handel i powrót do Anglii.**

Z wyjątkiem gęstej mgły, która nas zaskoczyła w kanale La Manche i o mało nie była przyczyną spotkania się z innym okrętem, zakrytym w tumanie, żegluga odbywała się bardzo pomyślnie. Zaledwie wypłynęliśmy na Ocean Atlantycki, natychmiast mgły ustąpiły. Najpiękniejsza pogoda zajaśniała na niebie. Łagodny wietrzyk wzdymał żagle, igrając z banderą. Wody oceanu prześlicznym błękitem zachwycały oko, różniąc się od brudnych i mętnych fal Morza Północnego. W przezroczystym ich zwierciadle widziałem mnóstwo ryb rozmaitej wielkości

i barwy. Niekiedy przemykała się gromada dużych delfinów igrających wesoło koło okrętu. Raz nawet sternik, przywoławszy mnie na tył statku, pokazał ogromnego haja czyli ludojada. Majtkowie mieli wielką ochotę go złowić, ale kapitan, nie chcąc tracić próżno drogiego czasu, nie pozwolił na to.

Przebywszy zwrotnik i zbliżając się ku wyspom Zielonego Przylądka, zauważyłem, że niebo przybierało coraz ciemniejszą barwę, a powietrze, mimo upałów, cudną tchnęło świeżością. Choroby morskiej nie doświadczałem wcale, rozkosz nieznana ogarnęła całą moją istotę, radość ujrzenia cudownych krain nie dawała mi zasnąć. Żal, chęć przebłagania rodziców i poprawy, całkiem mi wywietrzały z głowy.

Jednego dnia przed południem nagle gromada ryb podniosła się z morza. Z początku wziąłem je za stado ptaków, lecz kiedy przelatując nad okrętem, kilka spadło na pokład, przekonałem się, że to ryby latające. Były one długie na pół łokcia, grzbiet ich błękitny, podbrzusza szarawosrebrne. Płetwy długie i szerokie zastępowały skrzydła i dopóki nie obeschły, mogły się na nich latające rybki unosić. Przypatrywałem się im z zajęciem, ale chciwi tego przysmaku majtkowie w lot je pozbierali i zanieśli kucharzowi, który zaraz owe rybki usmażył.

W parę dni potem, późno wieczorem, kiedy już ułożyłem się na spoczynek, kapitan wpadł do kajuty i zawołał z udaną trwogą:

– Pójdź, pójdź co żywo, admirale, straszne nieszczęście, pożar ogarnął morze! Bałwany się palą!

Serce zabiło mi gwałtownie. Zrażony doznanymi wypadkami w pierwszej podróży, wpadłem w przestach bardzo łatwo. Zerwałem się z łóżka i pobiegłem z kapitanem na pokład. Okropny widok przedstawił się mym oczom. Całe morze jaśniało dziwnym światłem. Za każdym poruszeniem fali wytryskiwały smugi ognia, jakby błyskawice wydobywały się z łona wód morskich, albo cała powierzchnia milionami iskier jaśniała. Snopy światła to błękitnawych, to różowych ukazywały się na przemian, a za okrętem widno było szeroką smugą świetlną, oznaczającą drogę, którą przebył.

– Co to ma znaczyć, zapytałem kapitana z przerażeniem.

– Co to ma znaczyć? Alboż ja wiem, rzekł pocziwiec, wzruszając ramionami. W cieplejszych strefach kuli ziemskiej często widywałem to zjawisko, ale żebyś mi nawet śmiercią zagroził, to ci tego wytłumaczyć nie potrafię. Tyle tylko wiem, że światło to nie tylko nie pali, ale nawet nie grzeje.

Długo przypatrywaliśmy się temu wspaniałemu zjawisku, a ile razy ryba plusnęła na powierzchni morza, mieliśmy najwspanialszy fajerwerk. Na koniec kapitan zapędził mnie do łóżka.

Podczas żeglugi kapitan nie dał mi próżnować. To mnie prowadził po wszystkich kątach okrętu, ucząc nazwisk i przeznaczenia każdej liny, każdego narzędzia; to znowu kazał mie-

rzyć wysokość nieba, obliczać szerokość i długość geograficzną, to utrzymywać dziennik okrętowy, zapisywać spostrzeżenia pogody i ruchy igły magnetycznej. Słowem, udzielał wszystkich wiadomości marynarzowi potrzebnych. Nieraz musiałem straż nocną odbywać, albo stać po kilka godzin przy sterze i uczyć się kierowania okrętem. Parę razy musiałem razem z majtkami drapać się po sznurowych drabinach na reje, ściągać lub rozpuszczać żagle albo nawet wartować w bocianim gnieździe. I przyznać trzeba, że w ciągu tej siedmioletniej żeglugi ku brzegom afrykańskim obznałom się z najważniejszymi zasadami sztuki żeglarskiej. Praca ta przykrzyła mi się z początku, lecz widząc, że kapitan, mimo wrodzonej łagodności, ostro karał nieposłusznych i opieszłych, nie śmiałem mu się narazić i pilnie wykonywałem, co mi polecił. A trzeba było dobrze uważać, bo nieraz badał mnie ściśle, a na każde pytanie musiałem porządnie odpowiadać. Wkrótce przekonałem się, że życie marynarskie nie było tak swobodne, jak mi to nieraz opowiadali majtkowie. Na morzu nie tylko darmo chleba jeść nie można, ale trzeba się tego napracować.

Nareszcie ujrzelśmy upragnione brzegi Afryki. Mówię upragnione, bo nie wiem, jak komu, ale mnie się już porządnie przykrzyło zaczęło. Przez siedem tygodni nic nie widzieć, tylko wodę i niebo, a przy tym jeść suchary, solone mięso i pić wodę ciepłą i niekoniecznie świeżą, to wcale nie zachwyca. Toteż dostawszy się na ląd, o mało nie ucałowałem ziemi z radości. Zarzuciliśmy kotwicę w pobliżu Sierra Leone i zaczęliśmy prowadzić korzystny handel z Murzynami.

Czarni znosili nam piasek złoty, kość słoniową, gumę arabską i mnóstwo innych płodów, które ich ziemia wydaje, w zamian za siekiery, piły, noże, zwierciadła, paciorki i bawełniane tkaniny. Kapitan nasz zrobił świetny interes, a ja tak wyszedłem na moim handlu, że nie tylko dobroczyńcy mojemu zwróciłem wyłożone pieniądze, nie tylko wyprawiłem majtkom śniadanie, ale jeszcze do Londynu przywiozłem pięć funtów czystego złota w proszku, za który mi zapłacono w mennicy rządowej 500 funtów szterlingów nowiuteńkimi gwineami.

Cała ta podróż poszła więc nadzwyczaj pomyślnie. Wprawdzie nie przyzwyczajony do klimatu afrykańskiego, dostałem w Sierra Leone silnej zimnicy, ale ta za powrotem do Anglii wkrótce ustała.

## V

### **Śmierć kapitana okrętu. Jego wdowa wysłała nową wyprawę do Gwinei. Przyłączam się do niej. Rozbójnik morski. Bitwa.**

Powróciwszy do Anglii i odebrawszy pieniądze z kasy za złoty piasek, zamyślałem natychmiast do Hull pojechać. Od znajomego londyńskiego kupca, którego spotkałem w stolicy, dowiedziałem się, że moi rodzice żyją, ale martwią się niezmiernie, nie wiedząc, co się ze mną stało, tym więcej, że im doniesiono, iż okręt, na którym odpłynąłem, zatonął pod miastem Yarmouth.

Natychmiast więc poszedłem do portu i dałem zadatek sternikowi, odpływającemu do Edynburga, który mnie obiecał w Hull wysadzić. Wypadało tylko pożegnać dobrego kapitana i podziękować mu za wszystkie dobrodziejstwa.

Ale któż opisze moje zmartwienie, kiedy przybywszy do jego mieszkania, zastałem biedaka w okropnej gorączce, prawiącego od rzeczy, a żonę w największej rozpacz. Na drugi dzień po powrocie zachorował tak niebezpiecznie, iż doktorzy żadnej nie robili nadziei. Nie mogłem nieszczęśliwej kobiety i mego zacnego opiekuna tak pozostawić. Zamiast wsiąść na okręt, przeniosłem się do nich i dzień i noc pielegnowałem chorego. W tym stanie przebył dni

pięć, a w nocy szóstego dnia, nie odzyskawszy ani na chwilę przytomności, skonał na moich rękach.

Trzeba się było zająć pogrzebem, bo rozpaczająca żona nie miała sił o tym pomyśleć. Pochowaliśmy nieboszczyka z wielkim smutkiem. Umierając prawie nagle, zostawił interesy swoje w wielkim nieładzie. Wdowa strapiona nie mogła się nimi zająć. Przebyłem więc jeszcze parę tygodni, pomagając w tej sprawie bratu zmarłego.

Człowiek ten bardzo mnie polubił i kiedy kupiwszy okręt po bracie, zamierzał znów płynąć do Gwinei, począł mię bardzo usilnie namawiać, abym mu towarzyszył. Nie trzeba mi tego było dwa razy mówić. Pomyślność i przyjemność żeglugi oraz korzyść wielka odniesiona w pierwszej podróży, skusiły mnie do spróbowania jeszcze raz szczęścia.

Postanowiłem nie wracać do domu, aż po przybyciu z Gwinei, aby z większym kapitałem przedstawić się rodzicom.

Za połowę sumy posiadanej nakupowałem różnych towarów, najstosowniejszych do handlu z Murzynami. Resztę zostawiłem u wdowy po kapitanie, aby na wypadek jakiego nieśczęścia nie stracić od razu wszystkiego.

Dnia 1 września 1659 roku wyszliśmy pod żagle. Żegluga szła pomyślnie. Wprawdzie nie znacząca burza spotkała nas na odnodze Biskajskiej, ale wyszliśmy z niej bez szkody.

Już brzegi Europy znikły nam z oczu i wszystko zdawało się zapowiadać szczęśliwe przybycie do celu podróży, gdy wtem na wysokości Lanceroty, jednej z Wysp Kanaryjskich, majtek, będący na straży w bocianim gnieździe, dał znać kapitanowi, iż jakiś wielki okręt ukazał się na wschodzie i ku nam wprost płynie. Kapitan wdarł się na maszt i przekonał się, że to statek berberyjski, ścigający nas pod pełnymi żaglami. Zamiast skierować się ku Lancerocie i w tamtejszym porcie szukać ocalenia, jak to roztropność nakazywała, kapitan, ufając szybkości okrętu, kazał rozpuścić wszystkie żagle i płynąć na południe. Mniemaliśmy tym sposobem ująć przed rozbójnikiem.

Wkrótce jednak pokazało się, że korsarz prędzej od nas płynie i za kilka godzin niezawodnie nas dopędzi. Natychmiast więc przygotowano się do obrony. Dziesięć armat okrętowych nabito po części kulami, w części zaś siekańcami. Naokoło wielkiego masztu ułożono stos pik, toporów, szabli i kordelasów oraz kilkanaście nabitych muszkietów. Było nas dwudziestu ośmiu; na pokładzie statku korsarskiego przeszło siedem razy tyle, a osiemnaście armat wychylało swe paszcze z boków.

Około południa rozbójnik zbliżył się na odległość strzału działowego, wywiesił czarną flagę i dał ognia ślepy młotem, wzywając do poddania. Kapitan kazał zwinąć część żagli i zatrzymał się nieco, a gdy rozbójnik tym uspokojony zbliżył się ku nam, powitaliśmy go nagle wystrzałem ze wszystkich dział. Kule dobrze wymierzone strzaskały mu tylny maszt, a siekańce zawały pokład rannymi i trupami. Pozdrowiony tak niespodzianie, począł śpiesznie uchodzić. Byliśmy pewni, że zrażony dzielnym przyjęciem, nie odważy się ponowić napadu, ale rozjuszony korsarz nie popuścił tak łatwo zdobyczy. Około trzeciej po południu dopędził nas na nowo i tym razem, trzymając się w odległości, w jakiej go nasze kule dosięgnąć nie mogły, począł z działa wielkiego kalibru raz po raz dawać ognia. Kilkanaście celnych strzałów obezwładniło nasz okręt, a wtedy z wielką szybkością przypadł i mimo ognia z działa, zahaczył nasz okręt.

Sześcudziesięciu Maurów z gwałtownością burzy wpadło na pokład. Daliśmy do nich ognia z muszkietów, a na zmieszanych tą salwą wpadliśmy z rozpaczą i wyrzucili z pokładu. Lecz rozbójnicy z podwójną siłą uderzyli powtórnie. Po krótkiej, zaciętej walce, pomimo wysień męstwa, zostaliśmy pobici. Kapitan, sternik i ośmiu z obsady padło trupem, reszta otrzymała rany i musiała się poddać. Maurowie w obu spotkaniach przeszło trzy razy tyle ludzi stracili.

Korsarz, złupiwszy okręt, podpalił go, a nas zaprowadził do Sale, miasta portowego na zachodnim wybrzeżu marokańskim. Wyszędłem z tej bitwy bez szkody, pomimo, że walczyłem



równy z drugimi. Towarzyszy moich powieziono w głąb kraju i tam zaprzędano w niewolę. Mnie upodobał sobie właściciel rozbójniczego okrętu i jako niewolnika zatrzymał.

Utrata wolności, przejście nagłe z kupca na niewolnika, zgnębiło mnie niezmiernie. W czasie obu podróży i pobytu w Londynie, nie pomyślałem wcale o prześlągnięciu rodziców. Teraz na nowo zabrzmiały mi w uszach pamiętne słowa ojca:

*kto nie słucha rodziców, temu nigdy Bóg błogosławić nie będzie i marnie zginie.*

Przepowiednia ta ziściła się zupełnie. Chwila kary nadeszła. Byłem najniezszczęśliwszym z ludzi. Oddalony o kilkaset mil od ojczyznej ziemi, niewolnik na wpół dzikich mahometanów, bez pociechy i wszelkiej pozbawiony nadziei, oddawałem się strasznej rozpacz. A jednak był to dopiero początek moich cierpień. Inne, dolegliwsze nierównie cierpienia czekały mnie w przyszłości, jak się o tym, miły czytelniku, w dalszym opowiadaniu przekonasz.

## VI

### **Niewola mauretańska. Mój pan robi mnie ogrodnikiem. Uczę się pracować. Pomieszkanie i pożywienie. Rybołówstwo. Ksury i Mulej.**

Nowy mój pan nie był wcale rozbójnikiem z profesji, ale bogatym magnatem mauretańskim. Wysyłał on okręty na zdobycz, bo mu to korzyść przynosiło, a korsarstwo u Maurów nie było wcale rzeczą hańbiącą, ale czynem bohaterskim, rycerskim. Więc sami nawet członkowie rodziny sultańskiej wysyłali statki na chwywanie i łupienie gaurów (psów chrześcijańskich), a pan mój zrobił wielką fortunę na tych wyprawach.

Za przybyciem do Sale, dozorca niewolników, Akib, obejrzał mnie i przeznaczył na ogrodniczka. Nie mogę narzekać, żeby mnie bito lub dręczono, ale jako chrześcijanin, byłem w pogardzie u Maurów i traktowany na równi z Murzynami, z którymi mieszkać i jeść musiałem. Mieszkaliśmy w ciasnej, podziemnej prawie izbie, zanieczyszczonej brudem i mnóstwem obrzydłego robactwa. Placek z prosa, kawał jęczmiennego grubego chleba i nieco gotowanego ryżu stanowiło nasze pożywienie. Noc była dla mnie najokropniejsza. Leżąc pośród kilkunastu Murzynów, których ciała nieznośny zaduch wydają, dręczony przez owady, nieraz na garści zgniłej słomy, rzewnymi zalewałem się łzami.

Wówczas stawały mi w najżywszych barwach w pamięci szczęśliwe chwile przepędzone w domu rodziców. Jakże mi tam dobrze było w schludnym pokoiku, na czyściutkim posłaniu, otoczonemu troskliwością ukochanej matki! A dziś! Jakiż los mój okropny! I wzburzony tymi myślami, zrywałem się z posłania głośnie wydając jęki, a Murzyni, zbudzeni mym narzekaniem, złorzeczyli mi, grożąc biciem, jeśli im będę przerywał spoczynek.

A jednak mimo tak straszego położenia, myśl o Bogu nie powstała w mej duszy. Złorzeczyłem tylko albo rozpaczalem, lecz nie szukałem pociechy w modlitwie, a kiedy wzruszenie moje uspokoiło się nieco, naówczas rozmyślałem o sposobie ucieczki z niewoli.

Kopiąc lub plewiąc po całych dniach w ogrodzie, miałem dosyć czasu do rozmyślenia. Z początku pocieszała mnie nadzieja, że pan mój, wyprawiając się na morze, weźmie mię z sobą; że przyjdzie szczęśliwa chwila, iż dogoni nas wojenny okręt chrześcijański i pokonawszy korsarzy, wyrwie mię z niewoli. Lecz wkrótce przekonałem się o zwodniczości tych marzeń. Ile razy Maur przedsiębrał wyprawę, zawsze zostawiał mię w domu, pod nadzorem Akiba.

Tak zeszyły dwa ciężkie lata w niewoli. Pomimo trudów wyrosłem i zmężniałem. Położenie moje było wciąż przykre, lecz zyskałem bardzo wiele pod innym względem. Dostawszy się do niewoli, byłem wierutnym próżniakiem, ale bojaźń plag zmuszała mnie do roboty. Wi-

działem nieraz, jak bat dozorczy krwawe znaczył bruzdy na plecach leniwego Murzyna i wcale nie miałem ochoty spróbować, jak to smakuje.

Tak więc ze strachu nauczyłem się pracować. Robota nie tylko nie sprawiała mi przykrości, lecz przeciwnie. W każdy piątek, będący u muzułmanów naszą niedzielą, gdy uwalniano nas od pracy, nudziłem się niezmiernie. I tak, sam nie wiem kiedy, stałem się wytrwałym i roboczym, co mi się w późniejszym życiu bardzo przydało.

Pracowitość moja i uległość nie uszły oku Akiba i doniósł o tym panu. Właśnie wówczas okręt nasz po krwawej bitwie został przez Holenderów zniszczony. Pan mój więc porzucił korsarstwo, ale nawykły do morza, nie chciał się z nim rozstawać. Z rozkazu jego zbudowano ładną szalupę, w której częściej używał przejażdżki, wypływając na połów ryb.

Wskutek pochwał Akiba obrócił mnie do służby na tym statku, co było wielką dla mnie ulgą. Ja i Ksury, czternastoletni Maur, chłopiec cichy i dobry, stanowiliśmy obsadę szalupy, a że byłem zręczny i szczęśliwy w łowieniu ryb, więc czasami wysyłał mnie z Ksury pod nadzorem dozorczy domu, Muleja.

Jednego dnia, podczas pięknej pogody, wypłynęliśmy bardzo rano z Mulejem i Ksury na ryby. Nagle zawiął zimny wiatr z północy i w mgnieniu oka powietrze, przesiąknięte parą, zamieniło się w gęstą, nieprzejrzaną mgłę. O kilka kroków nic widać nie było. Nie mając kompasu, ani żadnego narzędzia żeglarskiego, musieliśmy płynąć na ślepy traf. Przez cały dzień i następną noc błakaliśmy się pośród mglistych tumanów w największym niepokoju. Na koniec, drugiego dnia około dziewiątej rano, kiedy słońce rozpędziło mgłę, znaleźliśmy się oddaleni o siedem mil morskich od Sale. Zgłodniali i utrudzeni, wieczorem dopiero powróciliśmy do domu.

Pan nasz, lękając się, aby jego coś podobnego nie spotkało, kazał zbudować w szalupie kajutę i dorobić pokład. Kajutę zaopatrzone w kompas i dodano skrzynkę z napojami i żywnością tak, aby na kilka dni starczyło.

Jednego dnia pan mnie kazał przywołać do siebie.

– Słuchaj, rzekł do mnie. Jutro z Maroka przyjeżdżają moi krewni. Chcę ich zabawić rybołówstwem. Przygotuj więc statek i zaopatr go w świeże owoce. Niechaj Mulej zanieś do kajuty cztery muszkiety i dostateczną ilość prochu i ołowiu, bo może zapolujemy na ptaki morskie. Pamiętaj, żeby wszystko było w porządku i równo ze dniem gotowe do rozwinięcia żagla. Nie zapomnij o napojach i o wodzie, a teraz precz!

Wypełniłem starannie polecenie pana i o brzasku czekałem na jego przybycie. Tymczasem zamiast niego przyszedł Mulej i oświadczył mi, że goście dopiero po południu przybędą, a pan rozkazał nam trzem popłynąć na ryby, ażeby ich na wieczór dostarczyć.

W tej chwili błysnęła mi w duszy myśl upragnionej ucieczki. Pan, zajęty krewnymi, łatwo mógł o nas zapomnieć. Szalupa zaopatrzone była w żywność na kilka dni, należało tylko powiększyć jej zapasy, broni zaś i amunicji było dosyć. Rzekłem więc do Muleja:

- Mamy płynąć na ryby, ale nie wiem, jak to będzie z żywnością?
- Alboż jej nie ma w kajucie pod dostatkiem, zapytał Mulej zdziwiony.
- Jak to, ty śmiałyś dotknąć chleba naszego pana? Ja za nic bym tego nie uczynił, bo by mi nie przeszedł przez gardło i Ksury niezawodnie myśli tak samo.
- Tak, tak, przyświadczył mi chłopiec.
- Masz słuszość, zawołał przekonany Mulej. Idę więc po chleb dla nas.
- A weź go sporo, rzekłem, bo wszyscy trzej mamy niezgorszy apetyt i nie zapomnij o wodzie. Nużby nas wiatr przeciwny zaskoczył, to byśmy poumierali z pragnienia.
- Mulej odwrócił się i poszedł ku domowi.
- Ale, ale, zawołałem za nim, a przynieś no trochę prochu, bo może co przy tej sposobności upolujemy.
- Dobrze, odrzekł Maur i poszedł.

Wysłałem Ksurego do domu, aby narwał w ogrodzie nieco owoców, a sam, korzystając z nieobecności obojgu, podskoczyłem boczną ścieżką i zabrawszy z budy ogrodniczej dwie siekiery, młot, piłę, świder i worek kaszy, przeznaczonej dla Murzynów, zniosłem to do łodzi i ukryłem w kajucie pod łóżkiem.

Wkrótce nadbiegł Ksury, niosąc kilkanaście pomarańcz i dwa kawony, a za nim niedługo przywłókł się Mulej, dźwigając kosz sucharów, worek prochu i śrutu. Nadto dwaj Negrzy przynieśli po ogromnym dzbanie wody.

Podnieśliśmy kotwicę i wypłynęli na pełne morze. Straż zamkowa, znając łódź mego pana, bez trudności ją przepuściła.

Kilkakrotnie Mulej radził zatrzymać szalupę i zarzucić sieci, ale ja zawsze sprzeciwiałem się, twierdząc, iż tu ryb nie ma. Na koniec, kiedyśmy już byli przeszło o milę morską od brzegu, kazałem Mulejowi zwinąć żagiel i zacząłem połów; lecz, chociaż czułem rybę w sieci, opuszczałem ją niżej, pozwalając ujść zdobyczy. Tak zeszło koło godziny czasu.

– No, i cóż, zagadnął Mulej, czy nic dotąd nie złowiłeś?

– Nie wiem, co to jest, odpowiedziałem, czy czary, czy urok jaki. Mężę się nadaremnie i nic schwytać nie mogę.

– Cóż więc zrobimy, zagadnął Maur niespokojnie. Bez ryb wracać niepodobna. Sidi Mustafa gniewałby się okropnie.

– Znam ja jedno miejsce bardzo w ryby obfite, ale o milę na południe. Tam niechybnie można by mieć piękny połów.

– A więc płynmy, rzekł Mulej, rozwijając żagiel. Skierowaliśmy się ku południowi. Wiatr wiał w tamtą stronę, co się sprzeciwiało moim zamysłom, gdyż do ucieczki ku brzegom europejskim należało mieć wiatr ku północy, lecz mimo to nie zrzekłem się mego planu, postanowiwszy zmykać w jakim bądź kierunku, byle tylko raz wydobyć się z przeklętej niewoli.

## VII

### **Ucieczka z Sale. Przysięga Ksurego. Spotkanie z lwem. Murzyni. Lampart.**

Słońce już chyliło się ku zachodowi, a jeszcze ani jednej rybki nie było w skrzynce. Mulej, nie przeczuwając zdrady, nie zważał na to, że płynęliśmy nierówno dalej niż zwykle. Miasto Sale, chociaż położone na górze, zniknęło już całkiem z oczu, widać tylko było o milę morską pusty brzeg. Naówczas zawołałem na Maura, ażeby żagiel ściągnął i właśnie gdy to uczynił i sznur wiązał do boku szalupy, pochwyciłem pochylonego i wrzuciłem w morze. Mulej zanurzył się zupełnie, ale wnet wypłynął na wierzch, zmierzając do łodzi i zaklinając mnie, abym mu życia nie odbierał. Natychmiast pochwyciwszy muszkiet, wymierzyłem do niego, wołając:

– Precz, nie zbliżaj się, bo ci kulą łeb roztrzaskam. Nie myślę ci nic złego uczynić i nic ci nie zrobię, tylko opuść mnie dobrowolnie. Wiem, że pływasz jak ryba, a więc dostaniesz się łatwo do lądu. Ja postanowiłem uciekać i chociażbym cię miał zabić, nie zrzeknę się tego zamiaru.

Usłyszawszy to, Maur odwrócił się ku lądowi, a ponieważ był wybornym pływakiem, pewny jestem, że się tam dostał szczęśliwie.

Ksury, zbladły i przerażony, przypatrywał się w osłupieniu tej scenie. Kiedy Mulej był już daleko, odwróciłem się do chłopca i rzekłem mu:

– Ksury, mógłbym cię także wrzucić do morza i bądź pewny, że to zrobię, jeśli mi nie przysięgniesz wierności.

Przestraszony chłopak upadł na twarz i wyjąkał żadaną przysięgę, zaklinając się, że nigdy mnie nie zdradzi.

Natychmiast rozwinąłem żagiel i zwróciłem szalupę ku północy, ażeby płynący Mulej sądził, iż zmierzamy ku Cieśninie Gibraltarskiej i tym sposobem zmylił pogoń wysłaną za nami. Lecz gdy noc zapadła, zmieniliśmy natychmiast kierunek, płynąc ku południowi. Nikt by nie przypuścił, abym się odważył uciekać w tę stronę, gdzie nas mogła spotkać śmierć niezawodna, jeżeli nie z rąk Murzynów, to od pazurów dzikich zwierząt.

Pomyślny wiatr i morze spokojne pozwoliły nam szybko żeglować. Toteż na drugi dzień po południu nie tylko wyminęliśmy wybrzeże marokańskie, ale nawet ujście rzeki Draa, uchodzącej do morza na wprost Lanceroty. Było to wiele, ale należało płynąć bez wytchnienia, chcąc się zabezpieczyć od pogoni. Dlatego też przez trzy dni i trzy noce nie zatrzymaliśmy się ani na chwilę. Czwartego dopiero dnia, ku wieczorowi, widząc, że się kończą zapasy wody, skierowałem się ku ujściu niewielkiej rzeczki, zamierzając poszukać źródła.

Ale zanim wpłynęliśmy na nią, już słońce zaszło, i grube zapadły ciemności. Natychmiast przeraźliwe ryki dzikich zwierząt rozległy się dokoła.

– Panie, zawołał Ksury, drżąc od strachu, zaklinam cię na imię Proroka, nie wysiadajmy na ląd, dopóki słońce nie wzejdzie.

– Dobrze, mój chłopcze, odpowiedziałem, ale lękam się, ażeby za dnia, gorsi od drapieżnych zwierząt, nie napadli na nas dzicy Murzyni.

– Wszak mamy strzelby, zawołał Ksury. Na widok ich czarni pouciekają, a tymczasem lampart, albo lew nie zna się na kulach, a ma wściekłą odwagę.

Przyznałem słuszność Ksuremu i zapuściwszy kotwicę, postanowiłem dnia oczekiwać. Noc zesłała dosyć spokojnie, chociaż często ryk dzikich zwierząt sen nam przerywał. Dopiero około trzeciej po północy, jakieś ogromne zwierzę, zaryczawszy tuż nad brzegiem, nabawiło nas trwogi. Pochwyciliśmy strzelby, a wtem potwór ów, rzuciwszy się w wodę, począł prosto ku nam płynąć. Z sapania potężnego poznać można było, że jest silny i straszny. Ksury nalegał po cichu, żeby podnieść kotwicę i uchodzić na pełne morze. Skinąłem, ażeby się zachował spokojnie i w tej prawie chwili spostrzegłem zwierzę zaledwie na odległość wiosła od statku. Nie czekając dłużej, wypaliłem do niego. Potwór z rykiem zwrócił się ku lądowi i zniknął w ciemnościach.

Niepodobna opisać wrzawy, jaka nastąpiła po wystrzale. Najrozmaitsze ryki i wrzaski napełniły powietrze, ale z wolna wszystko ucichło i do rana nic już nie zakłóciło naszego spoczynku.

Na koniec słońce wzeszło. Po obydwóch stronach rzeczki rozciągały się wzgórki krzewami okryte, dalej zaś nieco czerniały ogromne bory. Cisza zupełna panowała w okolicy, jednak nie odważyliśmy się wysiąść, aż gdy dzień całkiem zajaśniał.

– Ja pójdę po wodę, rzekł Ksury, a wy pozostańcie w łodzi.

– Dlaczego nie chcesz, żebyśmy szedł z tobą, zapytałem Maura.

– Panie, zawołał pocziwy chłopiec, w tych krzakach może kryją się jakie drapieżne zwierzęta, albo Murzyni. Jeżeli mnie napadną, przynajmniej sam zginę, a ty będziesz mógł ratować się ucieczką.

– A więc pójdziemy obaj, a napastników położymy trupem, rzekłem, chwytając strzelbę i podając drugą Ksuremu.

Po czym skierowałem szalupę ku brzegowi i pierwszy wyskoczyłem na ziemię. Ksury zaraz spostrzegł potoczek, płynący doliną. Pobiegł więc ku niemu, ażeby napełnić dzbany, ale w mgnieniu oka powrócił zbladły od strachu.

– Dlaczego tak drżysz, zapytałem z niepokojem.

– Tam... tam... bełkotał z cicha, na dole ogromny zwierz. Pan z dużą głową<sup>1</sup>.

Odciągnąwszy kurek i kazawszy iść za sobą Ksuremu, począłem ostrożnie skradać się ku krzewinie, wskazanej przez chłopca. Podchodzimy tuż pod nią, Ksury wskazuje mi na migi, żebym zwrócił się na prawo. Była tam skała stroma, na cztery sążnie wysoka i całkiem odosobniona. Wdzieramy się na nią, przechylam się przez krawędź i spostrzegam ogromnego lwa, leżącego w gąszczu tuż pod skalistą ścianą.

Daję znak Ksuremu, mierzymy obydwaj w głowę i wypalamy równocześnie.

Lew ani drgnął.

– Co to ma znaczyć, odezwał się Ksury z największym zdziwieniem.

– A cóż, odrzekłem, zapewne ugodziliśmy go doskonale i zdechł od razu.

– O nie, mówił chłopiec, przypatrując się pilnie straszliwemu zwierzęciu. Lew nigdy od razu nie ginie, to twardy zwierz.

To mówiąc, zbiegł ze skały. Skoczyłem za nim. Zbliżywszy się do lwa, spostrzegamy ogromną kałużę krwi i szeroką ranę pod lewą łopatką, z której sączyło się jeszcze nieco czarnej posoki.

– Widocznie zginął od kuli i to nie od naszych strzałów. Lecz kto go mógł ubić? Czyżby Maurowie?

– Wiem już, zawołał Ksury wesoło. To ten sam lew, co nas w nocy nastraszył, a ta kula z waszego muszkietu. Raniony śmiertelnie, dowlókł się tutaj i skonał.

Trafne to spostrzeżenie uspokoiło mię zupełnie.

Chciałem zaraz wrócić do łodzi, ale Ksury namówił mnie, aby ściągnąć skórę z lwa, a otrzymawszy pozwolenie, wziął się do tego z nieporównaną zręcznością. Potem wyciął kawał mięsa z grzbietu, rozpałił ogień i upiekł go. Nie mając od kilku dni nic gotowanego w ustach, zjedliśmy z wielkim apetytem lwią pieczeń, chociaż była piekielnie twarda i łykowata.

Po skończonej uczcie i napełnieniu dzbanów wodą, podnieśliśmy kotwicę i wypłynęli na morze. Ksury rozpostarł zdobytą skórę na daszku kajuty, aby wyschła.

Wprawdzie żegluga szła wciąż pomyślnie, ale już szósty dzień upływał od naszej ucieczki, a dotąd nie spostrzegliśmy ani jednego okrętu.

Miałbym wyzwolić się z niewoli na to, ażeby zginąć w falach oceanu, albo stać się łupem dzikiego zwierza? Przyszło mi jednak na myśl, że okręty europejskie zwykły trzymać się na pełnym morzu, z dala od wybrzeży, ażeby uniknąć napaści mauretańskich korsarzy. Nie mogąc puszczać się na ocean dla wątpliwości mojego statku i braku zapasów, postanowiłem żeglować dalej jeszcze na południe, aby dosięgnąć osad europejskich na brzegach Senegambii.

Czwartego dnia po opuszczeniu brzegów, na których zabiłem lwa, a dziewiątego po ucieczce z Sale zapasy żywności były na schyłku, pożeglowałem więc ku brzegom. Kraj tu zmienił się nie do poznania. Zamiast skalistych i jałowych wybrzeży, ujrzelśmy przestrzeń, zarosłą kępami palm.

– To daktyle, mówił Ksury. Przybijmy do lądu, a wedrę się na drzewo i nazrywam tych smacznych owoców.

Ale nie tylko daktyle znajdowały się na wybrzeżu. Zbliżywszy się ku niemu, ujrzelśmy liczną gromadę Murzynów. Wszyscy byli bezbronni. Jeden tylko, stojący na przodzie, długi kij trzymał w ręku.

– Nie przybijaj do lądu! Odpłyn natychmiast, wołał Ksury.

– Dlaczego?!

– Ten Murzyn, co stoi na przodzie, trzyma w ręku dzirynt. Umieją oni rzucać nim bardzo zręcznie na sześćdziesiąt kroków. Może nas zranić.

– Cóż więc uczynimy? Wiesz, że nam żywności całkiem zabrakło i trzeba ją koniecznie dostać. Weź strzelbę, Ksury i miej go na celu – ja wysiądę. Gdyby chciał rzucić dziryntem, połóż go trupem.

---

<sup>1</sup> Tak Maurowie nazywają lwa.

Wysiadłem z łodzi, trzymając także strzelbę gotową do wystrzału. Ale za ledwie dotknąłem nogą ziemi, gdy nagle między Murzynami powstał popłoch niezmierny.

Tylko człowiek uzbrojony w dziryt nie ruszył się z miejsca, reszta pierzchła w nieładzie. Mniemałem, że to moja osoba napędziła im takiego respektu, lecz wtem wybiegł ogromny lampart spoza bliskich krzaków ku Murzynom. W mgnieniu oka wziąłem go na cel i wypaliłem. Lampart podskoczył, zawył przeraźliwie i rozciągnął się, jak długi.

Dzicy przerazili się hukiem wystrzału i niepojętą dla nich śmiercią lamparta. Murzyn, trzymający dziryt, rzucił go daleko od siebie i padł na twarz. Inni uczynili to samo i cała gromada zaczęła pełzać ku mnie na czworakach z największym uszanowaniem, co mnie do śmiechu pobudziło. Znać wzięli mnie za boga, miotającego piorunami. Postanowiłem z tego skorzystać i zacząłem pokazywać na usta, ruszając szczękami. Czarni zrozumieli mnie doskonale. Kilku podniosło się z ziemi i popędziło co sił ku wiosce, na odległym wzgórzu zbudowanej, podczas gdy inni nieporuszeni leżeli na ziemi. Wkrótce wysłańcy powrócili, niosąc dwa kawały suszonego mięsa, zapasy daktyli i prosa. Złożywszy to na brzegu, popadali na ziemię i tyłem pełzając, złączyli się z całą gromadą. Tymczasem Ksury obciągnął skórę z lamparta. Znieśliśmy żywność do łodzi, odbili od brzegu, a ja na pożegnanie dałem ognia w powietrze, co jeszcze bardziej przeraziło Murzynów.

I odpłynęliśmy już daleko od brzegu, a oni jeszcze nie śmieli powstać. Nareszcie popodnosili głowy, a widząc, że straszny władca piorunów już jest o kilkaset sążni, pobiegli na brzeg i rzucili się na mięso ubitego lamparta.

Wkrótce zniknęli nam z oczu zupełnie.

## VIII

### **Ksury spostrzega okręt. Kto na nim był. Żegluga ku wybrzeżom Brazylii. Rozstanie się z Ksuryem. Przybycie do San Salvador.**

Dwie doby płynęliśmy jeszcze ku południowi, zmieniając się podczas nocy w kierowaniu statkiem. Właśnie nad ranem trzeciego dnia, Ksury, sterując z kolei, obudził mnie z wielkim strachem i nic nie mówiąc, wskazał ku północy.

– Co to takiego, zapytałem, czego chcesz?

– Tam, patrzcie... okręt z Sale! Gonia nas. Nasz pan, Akib, Mulej i wszyscy. Ach, zginęliśmy bez ratunku.

Zerwałem się na nogi, wyteżyłem wzrok i w istocie w odległości mili ujrzałem okręt trójmasztowy. Lubo flagi rozpoznać nie było można, poznałem jednak z budowy, że to statek portugalski. Zmierzał on z północy ku zachodowi. Skierowałem szalupę tak, aby mu przeciąć drogę. Po trzech kwadransach zmniejszyła się znacznie odległość pomiędzy nami. Będąc przekonany, że nas usłyszy, nabiłem wszystkie muszkiety i naraz z Ksuryem daliśmy cztery wystrzały. To poskutkowało. Na okręcie poczęto zwijać żagle, bieg jego znacznie zwolnił, a po chwili czółno obsadzone kilku majtkami odbiło od trójmasztowca i z szybkością poczęło przerywać fale. Dla zmniejszenia im trudu, podwoiliśmy nasze siły, robiąc wiosłami. Wkrótce spotkały się obydwie łodzie.

Młody człowiek, dowodzący czółnem, zaczął nam zadawać pytania w języku portugalskim i hiszpańskim. Dałem mu do poznania, że go nie rozumiem. Złożyłem tylko ręce, jak do modlitwy, wskazując na okręt. Pojął mą prośbę. Dwóch majtków przesiadło się na szalupę i pomogło nam płynąć ku okrętowi. Przyjęli nas na pokład, a że kapitan także nie umiał po angielsku, nie mogliśmy się porozumieć. Zaczął do mnie przemawiać po francusku, po włosku,

na koniec po łacinie, lecz i tych języków nie posiadałem. Naówczas dopiero gorzko mi się dało uczuć moje lenistwo. Nieraz ojciec zachęcał mnie do uczenia się obcych języków, ale będąc wierutnym leniuchem i próżniakiem, nie brałem się do nauki.

Właśnie rozmyślałem nad tym, jak by kapitanowi chociaż na migi dać poznać moje przygody, gdy wtem przyprowadzono majtka Anglika, umiejącego po portugalsku. Ten wybawił mnie z kłopotu, służąc za tłumacza. Za jego pośrednictwem opowiedziałem wszystko co mnie od opuszczenia Anglii spotkało.

Kapitan, wysłuchawszy tłumacza, kazał mi powiedzieć, iż płynie do Brazylii i z chęcią nas z sobą zabierze. W zbytku radości ucałowałem mu rękę, prosząc, by wziął wszystko, co posiadam, w zamian za udzielony ratunek.

– Młody człowieku, odrzekł zacny marynarz, i cóż byś począł, gdybym twej nierozsądnej prośbie zadość uczynił. Ogołocony ze wszystkiego, bez grosza, bez przyjaciół, przybywszy do Brazylii, musiałbyś się zaprzedać osadnikom w niewolę, cięższą może od mauretańskiej. Niech mię Bóg uchowa, abym korzystając z twego położenia, miał cię obedrzeć. O, nie, mój panie Angliku, to co czynię, czynię z miłości Jezusa Chrystusa, a jeżeli czynię dobrze, Bóg mi to na sądzie ostatecznym policzy.

Natychmiast kazał sporządzić dokładny spis moich rzeczy, nie zapominając nawet o dzbanach do wody. Potem zapytał mnie, czy bym nie sprzedał mu szalupy i ile za nią żądam. Statek to pięknie i dobrze zbudowany, dodał, i może mi być bardzo przydatny. A kiedy wahałem się ustanowić cenę, szlachetny Portugalczyk rzekł:

– Gdybym kazał umyślnie budować szalupę, musiałbym dać za nią przynajmniej dwieście dukatów. Bardzo będę kontent, jeżeli mi ją odstąpisz za połowę tej kwoty. Za muszkiety, kompas i resztę sprzętów ofiaruję ci dwadzieścia dukatów. Mów, czy przystajesz?

Z wdzięcznością przyjąłem tę korzystną propozycję.

– Cóż zamýślasz z tym młodym Maurem uczynić? Jest on twoją własnością, ale pożytku nie przyniesie ci wcale, a wyżywienie dużo kosztować będzie. Wiesz co, sprzedaj mi go, dam ci za niego pięćdziesiąt dukatów, czy zgoda?

Wzdrygnąłem się na tę myśl, ażebym bliźniego, a jeszcze towarzysza niedoli, miał jak bezrozumne bydłę sprzedawać. Oświadczyłem to kapitanowi, który uznawszy zacność powodów moich, podał mi rękę i rzekł:

– A więc zapytaj go, czy by nie chciał wstąpić w mą służbę. Ofiaruję mu zapłatę, jako wolnemu człowiekowi, pod warunkiem jednakże, że zostanie katolikiem.

Powiedziałem Ksuremu po arabsku to samo, co mi tłumacz mówił po angielsku, ale rozplakał się na myśl rozstania ze mną. Uznał jednakże, że inaczej być nie może i oświadczył, że przyjmie wyznanie chrześcijańskie.

Żał mi go było szczerze, bo pokochałem Ksurego jak brata i rozstanie nasze było nadzwyczaj bolesne.

W cztery tygodnie po spotkaniu się z Portugalczykiem, przy bardzo pomyślnym wietrze, dostaliśmy się do wybrzeża Brazylii. Kapitan zawinął do przystani San Salvador, miasta znacznego i handlowego. Tu wysadził mnie na ląd, wypłaciwszy rzetelnie ofiarowaną sumę. Natychmiast zapoznał mnie z bogatym osadnikiem, który nabył ode mnie skóry obu drapieżnych zwierząt za czterdzieści dukatów i obiecał swoją protekcję. Tak ładunek łodzi mej przyniósł mi sto sześćdziesiąt dukatów, co na owe czasy było bardzo znaczną sumą i z czym przecież mogłem, powróciwszy do Anglii, coś rozpocząć, zwłaszcza, że i tam miałem pieniądze u wdowy złożone.

Ponieważ kapitan portugalski, po zostawieniu części ładunku, płynął do Indii Wschodnich, a żaden okręt w tej chwili nie odpływał do Europy, musiałem więc czas jakiś pozostać w Brazylii.

## IX

### **Dostaję się do osadnika. Zakupuję grunt i zakładam plantację. Handel murzynami. Nowa podróż. Burza. Rozbicie.**

Osadnik, z którym zapoznał mnie kapitan, miał w bliskości San Salvador piękną plantację trzciny cukrowej, a oprócz tego warzelnię cukru. Pojechałem z nim do fabryki i bawiąc tam przez kilka dni, miałem sposobność przekonania się, jak ogromne zyski ciągną plantatorzy i warzelnicy. Przyzwyczajonemu do pracy zaczął dokuczać brak zatrudnienia, ofiarowałem się więc osadnikowi doglądać jego zakładów. Przyjął to bardzo mile, a po paru miesiącach pobytu zaczął mnie namawiać, abym na swoją rękę założył plantację. Grunt można było nabyć za bezcen i robotnik zbyt wiele nie kosztował. Dałem się namówić. Osadnik wyrobił mi pozwolenie pozostania w tym kraju i dopomógł zaręczeniem do rozpoczęcia zawodu plantatorskiego.

Ciężki to był kawałek chleba. Nie posiadając niewolników, musiałem sam pracować z najemnikami. Część pól zasadziłem trzcina, drugą zaś tytoniem. Były wprawdzie zyski, ale nie tak świetne, o jakich marzyłem. Brakowało mi pieniędzy. Wprawdzie przez kapitana portugalskiego, który mnie wyratował, napisałem list do wdowy, ażeby odesłała mi mój kapitał, ale drugi rok już upływał, a nie miałem wcale o nim wiadomości. Zaczęło mi się w tej ciężkiej pracy przykrzyć niezmiernie. Wszystko, co zarabiałem, musiałem oddawać wierzycielowi, który mi sprzedał plantację. Przy tym zawsze coś pociągało mnie do żeglugi i z zazdrością patrzyłem na każdego odpływającego na morze.

Jednego dnia z rana, właśnie gdy z dwoma najemnikami zajęty byłem pakowaniem tytoniu w wory, niespodziewanie wszedł mój przyjaciel, kapitan portugalski.

– No, jak się miewasz, kochany Robinsonie – zawołał, rzucając się w moje objęcia. Przywożę ci resztki twojego majątku z Londynu. Zaczyna wdowa, u której miałeś pieniądze, pozdrawia cię serdecznie. Nie uwierzysz, jak się ucieszyła, dowiedziawszy się, żeś ocalał, a ile napłakała, słuchając opowiadania twych przygód! Może się będziesz gniewał, ale zamiast gotówki przywożę ci rozmaite towary angielskie, któreśmy wspólnie zakupili, chcąc, abyś swój kapitał powiększył.

Podziękowałem szczerze kapitanowi za rozporządzenie moimi funduszami. Udaliśmy się do portu, gdzie na moje towary zaraz kupców znalazłem. Sprzedałem je tak dobrze, że zamiast stu pięćdziesięciu, czterysta funtów wzięłem. To polepszyło niezmiernie mój stan, zwłaszcza, że tytoń sprzedałem, za który mi także paręset dukatów zapłacono. Tak więc za moją wzrosłą, nie byłem już nic winien, a posiadałem kapitał i plantację własną.

I gdybym teraz wziął się całą duszą do mego zawodu, mógłbym w ciągu kilku lat przyjść do znacznych bogactw. Umiałem już dobrze po portugalsku, rzetelność moja była znana wszystkim, sąsiedzi mnie poważali, zbiory trzciny i tytoniu wypadały jak najpomyślniej. Należało tylko pracować szczerze, a uspokoiwszy rodziców doniesieniem o moim teraźniejszym położeniu, prosić ich o błogosławieństwo, a z resztą zdać się na Boga.

Ale żądza włączenia się po świecie wciąż mi nie dawała spokoju. Najmilszym przedmiotem moich rozmów z sąsiednimi plantatorami były wypadki, których doświadczyłem. Nieraz opowiadałem im o zyskownym handlu na wybrzeżach Gwinei, o łatwości, z jaką za korale, szklane paciorki, zwierciadła, noże i siekiery można nabywać piasek złoty, kość słoniową, a nawet niewolników, których brak niezmiernie nam się odczuć dawał.

Opowiadania te zajmowały ich bardzo. Handel niewolnikami nie był jeszcze wówczas rozpowszechniony. Trudniący się nim zdzierali bez litości osadników, każąc sobie dwadzieścia, a nawet trzydzieści razy tyle płacić za Murzyna, ile kosztował na miejscu.



Jednego dnia odwiedziło mnie trzech zamożnych osadników. Po ich minach poznałem, że przyszli z jakimś ważnym interesem. Prosiłem, aby usiedli. Jeden z nich zabrał głos w imieniu towarzyszy w te słowa:

– Panie Robinsonie, wiesz dobrze, że z przyczyny braku niewolników nie możemy rozszerzyć naszych plantacji i ciągnąć z nich większej korzyści. Trzeba temu koniecznie zaradzić. Od półtrzecia roku jak mieszkasz pośród nas, poznaliśmy w tobie rzetelnego i zacnego człowieka. Otóż, postanowiliśmy wysłać okręt po Murzynów do Gwinei, a ponieważ znasz tamte strony dobrze, prosimy cię, abyś się zajął sprowadzeniem niewolników. Damy ci potrzebne fundusze, a kapitan wszystkie twe polecenia wypełniać i od ciebie zupełnie zależeć będzie. W czasie twojej nieobecności ofiarujemy się naszym kosztem uprawiać twoją plantację, a w nagrodę za trudy, każdy dziesiąty Murzyn będzie dla ciebie. Tak nic nie ryzykując, możesz przyjść do niewolników, a przy ich pracy, w kilku latach stać się panem krociovym.

Projekt ten spodobał mi się niezmiernie. Nie namyślając się wcale, przyjąłem go od razu, tym chętniej, iż dogadzał mej chęci podróżowania. Nie mogłem usiedzieć na miejscu i jakieś złe przeznaczenie pchało mię w przepaść zguby. Inny na moim miejscu, mając plantację, wartą już parę tysięcy funtów, byłby siedział i dorabiał się grosza, ale mój charakter niestały i niespokojny pędził mię do nowych przygód. Spisaliśmy akt urzędowy, mocą którego na przypadek śmierci polecałem kapitanowi portugalskiemu, aby plantację sprzedał, połowę sumy za nią wziętej wręczył moim rodzicom, czwartą część oddał wdowie po kapitanie angielskim, resztę zaś dla siebie zatrzymał. Jednym słowem zabezpieczyłem zupełnie moją własność i gdybym tylko połowę tego rozsądku poświęcił rozważeniu mego szalonego zamiaru, nie byłbym się puścił na nowe awantury.

Gwałtowna żądza podróżowania zagłuszała jednak zupełnie głos rozsądku. Przed kilku laty nie słucałem przestróg rodzicielskich, a dzisiaj zatykałem uszy na przestrogi rozumu.

Wyekwipowanie okrętu poszło bardzo prędko. W dniu 1 września 1664 roku rozwinęliśmy żagle. Okoliczność ta zasepiła nieco moje szczęście. Smutne jakieś przecucia ogarnęły mię, gdyż w tym samym dniu i miesiącu przed pięciu laty opuściłem brzegi mojej ojczyzny. Okręt nasz był o dwóch masztach, miał na pokładzie sześć dział i dwudziestu trzech ludzi. Ładunek, składający się z drobnostek, przeznaczonych do handlu z czarnymi, nie ciążył wiele, mogliśmy więc szybko żeglować.

Chcąc dostać się na linię wiatrów, stale ku brzegom Afryki wiejących, należało osiągnąć dwunastego stopnia szerokości północnej, to jest powyżej wyspy Trinidad, należącej do Małych Antylów i stamtąd dopiero skierować ku Gwinei. Puściliśmy się więc wzdłuż brzegów Ameryki Południowej. Oprócz silnych upałów, żegluga szła bardzo pomyślnie, lecz minąwszy Przylądek Świętego Rocha, zostaliśmy niespodzianie zaskoczeni przez gwałtowny huragan wirujący, zwany przez tutejszych marynarzy tornado. Wicher ten, kręcąc statkiem, jak orzechową lupiną, porwał go w stronę północno-wschodnią. Wszelkie usiłowania marynarzy, aby się utrzymać w oznaczonym kierunku, na nic się nie przydały. Musieliśmy się zdać na wolę Opatrzności. Wiatr co chwila się zmieniał: raz wył z północy, to znów z zachodu, to z południowego wschodu. Statek jak fryga latał w najrozmaitszych kierunkach. Dwunastego dnia dopiero nieco się uciszyło. Kapitan, dokonawszy stosownych obserwacji, przekonał się, że statek znajduje się na Morzu Karaibskim, poza Małymi Antylami. Co najprzykrzejsze, że straciliśmy dwóch ludzi bałwanami z pokładu zmiecionych i okręt skołatany w wielu miejscach przepuszczał wodę. Po krótkiej naradzie z kapitanem, postanowiliśmy żeglować do Wyspy Św. Łucji, w porcie tej wyspy naprawić statek i przyjąć innych majtków w miejsce straconych.

Ale zaraz na drugi dzień żegluga zerwała się burza powtórnie, pędząc nas z szaloną gwałtownością ku południowi. Wicher zdruzgotał nam reje, poszarpał w szmaty wszystkie żagle, a na koniec strzaskał maszt przedni. Pół dnia i noc cała przeszły w najstraszliwszym oczekiwaniu rozbicia się lub zatonięcia. Gdyby nawet powiodło się dostać na jakikolwiek bądź ląd w

tych stronach, niezawodnie zamordowaliby nas i pożarli dzicy Karaibowie. Zguba więc była nieuchronna.

Wśród tak straszego niebezpieczeństwa nie miałem czasu do rozmyślania nad moim położeniem. O świcie majtek, będący na straży, zawołał: ziemia! Zaledwie wybiegliśmy z kajuty, ażeby się jej przypatrzeć, gdy nagle okręt z taką gwałtownością rzucony został na ławicę piaskową, iż wszyscy padli na pokład. W tejże chwili bałwany z niepojętą wściekłością rzuciły się na nieruchomy okręt, bijąc weń gwałtownie i zmiatając wszystko, co się na pokładzie znajdowało. Przerażeni marynarze schronili się pod pomost, lecz i tu nie było bezpieczeństwa, gdyż woda przez liczne szczeliny wdzierła się do wnętrza okrętu, grożąc zalaniem nieszczęśliwej obsadzie. Wicher dął tak potężnie, że już sama jego siła wystarczała do zgruchotania statku. O spuszczeniu szalupy przy takim wzburzeniu morza pomyśleć nie było można, czółno zaś zerwał huragan i Bóg wie gdzie poniósł.

Na chwilę, jak gdyby przez czary jakie, wszystko ucichło. Kapitan, korzystając z tego, kazał spuścić szalupę, wszyscy dostaliśmy się do niej szczęśliwie. Odbito od statku i zaczęto usilnie robić wiosłami, ażeby jak najprędzej osiągnąć lądu, ale nagle zrobiła się ciemność jak w nocy. Huragan zawył z nową wściekłością, zakręcił statkiem, a olbrzymia góra wodna przykryła nas wspólnym grobowcem.

Co się dalej stało, nic nie wiem. Pogrążony w odmętach, straciłem zupełnie przytomność. Woda dech mi zapierała, dopiero silne i bolesne uderzenie przywróciło mi zmysły. Ujrzałem się blisko brzegu w miejscu, gdzie woda ledwie sięgała do kolan, ale potężny bałwan pędził od morza i mógł mnie znowu porwać na głębiej. Mimo bólu zerwałem się, biegnąc co sił ku lądowi, lecz morze ryczące i rozżarte doścignęło mnie wkrótce i znowu na trzydzieści stóp najmniej ogromną przykryło falą. Szczęściem przed zanurzeniem uchwyciłem się jakiejś sterczącej skały. Jak tylko bałwan ustąpił, począłem pędzić co tchu naprzód i dostawszy się na bliski wzgórek, kędy już nie sięgał zalew, padłem jak martwy.

Długo leżałem, oddychając po strasznej walce z okropnym żywiołem. Bezsilny, nie czujący władzy w skostniałych członkach, nie mogłem ruszyć się z miejsca. Tymczasem burza coraz bardziej wolniała, znać ostatecznie jej wysiłki roztrzaskały szalupę. Niebo wypogadzać się zaczęło.

Zachodzące słońce krwawym blaskiem oświeciło spienione fale. Na próżno starałem się dojrzeć cośkolwiek, chociażby najmniejszy szczątek okrętu, choćby jednego towarzysza niedoli. Pusto, jak w krainie śmierci. Sam tylko. Sam jeden na nieznanym wybrzeżu. Opuszczony przez wszystkich. Przedemną rozhukanych wód przestwory. Nade mną... Bóg!

## X

### **Nieznana ziemia. Pierwszy nocleg. Głód i pragnienie. Pierwszy posiłek. Przypadkowe odkrycie.**

Smutek i niewypowiedziana tęsknota ogarnęły całą moją istotę. Z początku ucieszyłem się niezmiernie ocaleniem, ale gdym się ujrzał sam w nieznaney okolicy świata, wpadłem w dziką rozpacz. Rzuciłem się na ziemię i jak szaleniec wyrwałem włosy garściami. Gdybym wtedy posiadał trochę uczucia religijnego, byłbym niezawodnie znalazł pociechę w modlitwie. Ale od pięciu lat, żyjąc to między Murzynami, obojętnymi dla religii, to pośród Maurów, a narzeczcie wśród osadników, zajętych tylko robieniem pieniędzy, zapomniałem prawie o Bogu, a imienia Jego wzywałem tylko w ostatecznym strachu lub narzekaniach, więcej z przyzwyczajenia, niż z pobożności.

Ochłonawszy z pierwszego żalu, pomyślałem o moich biednych towarzyszach. A może który z nich został ocalony, podobnie jak ja, może nawet i kilku... Zbiegłem więc z pagórka i szedłem wzdłuż wybrzeża, wypatrując nieszczęśliwych rozbitków. Począłem wołać i krzyczeć na nich po imieniu, ale głos mój powtarzało tylko echo lasów. Nagle zamilkłem. Przyszło mi na myśl, że zamiast towarzyszy, mogę przywabić drapieżne zwierzęta, albo ludożerców Karaibów. Krew ścięła się w mych żyłach. Stałem jak wryty, oglądając się wokoło. Cisza zupełna uspokoiła mnie nieco. Zacząłem się przyglądać z uwagą okolicy.

Miejsce, na które morze mnie wyrzuciło, stanowiło rozległą łąkę, bujną trawą zarosłą. Dookoła niej w półokrąg rozciągał się las z ogromnych drzew złożony. Tysiące roślin pnących, zwieszonych z gałęzi, poplątanych, poprzerzucanych z drzewa na drzewo, stanowiły nieprzebytą zapórę, zagradzając jak gdyby żywym płotem wstęp do lasu. Oprócz tego niezliczone kaktusy kolczastymi liśćmi utrudniały przejście na każdym kroku.

Chciałem zapuścić się w las, dla wyszukania którego z uratowanych, ale ani myśleć o przedarciu się w głąb jego. Widząc niebezpieczeństwo wyjścia, odłożyłem to do jutra, a tymczasem zacząłem myśleć o sobie.

Położenie moje było w istocie okropne. Przemokły do nitki, drżałem od zimna, a nie miałem się gdzie osuszyć. Cała garderoba składała się z drelichowego kaftana, koszuli, spodni, wełnianego pasa i pary pończoch. Kapelusz zdarły mi fale, trzewiki nawet straciłem w walce z rozhukanymi bałwanami. Usiadłszy pod drzewem, zacząłem rewidować kieszenie, czy choć kawałek chleba nie znajdę, bo mi głód srodze dokuczać zaczął. W jednej kieszeni znalazłem mały woreczek z jęczmieniem, którego używałem na okręcie do żywienia ulubionych gołębi. W roztargnieniu rzuciłem workiem i rozsypałem ziarno, jako na nic nie przydatne, lecz w tej chwili gorzko pożałowałem nieuwagi. Wszakże jęczmień ten mógł mnie posilić. Schyliłem się, szukając ziarna. Ba, ani jednego nie znalazłem, przepadły w trawie.

Sięgnąłem powtórnie do kieszeni i wyciągnąłem inny woreczek, napełniony złotem. Widok tego metalu wywołał gorzki uśmiech na moich ustach. I cóż mi po tobie, zawołałem z gniewem, przez zbyteczne zamiłowanie do ciebie, nędzne złoto, jestem dziś nieszczęśliwy. I już miałem je rzucić od siebie, lecz postąpienie nieogłędne ze zbożem przyszło mi na myśl. Ha, któż wie, może przecie na tej wyspie nie umrę, a to złoto pogardzone na coś się przyda – i schowałem je na powrót.

Lecz w tejsze prawie chwili doznałem niewypowiedzianej radości. Znalazłem w kieszeni duży nóż składany. Nie mógł on mi zastąpić broni, ale w moim położeniu był nieoceniony. Och, czemuż nie posiadam strzelby, albo przynajmniej pałasza! Gdybym miał jakąkolwiek broń, mógłbym bez obawy zapuścić się w las i wyszukać moich kolegów.

Tymczasem tarcza słoneczna zapadła w morze, należało sobie wyszukać jaki nocleg, nim się zupełnie ściemni. Olbrzymie rozłożyste drzewo rosło o kilkadziesiąt kroków. Postanowiłem na nim noc przepędzić. Za pomocą wystających sęków i zwieszonych lian wdrapałem się na wysokość kilku sążni, a usiadłszy między dwoma dużymi gałęziami, przywiązałem się do nich moim wełnianym pasem i wkrótce zasnąłem.

Niewygodny to był nocleg. Twarde gałęzie ugniatyły mnie tak nielitościwie, że co chwila musiałem się poprawiać. Nadto najmniejszy szmer budził mnie i przejmował drżeniem. Mimo niezmiernego zmęczenia spałem bardzo czujnie i niespokojnie, a gdy słońce wzeszło, zerwałem się nadzwyczaj uradowany, że się przecie noc nieznośna skończyła.

Liczne ptaszęta wesołym śpiewem powitały rodzący się dzionek, gwar nie do opisania cały las napełnił, ale to wszystko nie zrobiło na mnie wrażenia. Cóż mi przyjdzie z pogody i śpiewu ptasząt, kiedy głód piekielny dokucza. Wolałbym kawałek chleba, aniżeli śpiew wszystkich słowików całego świata.

– I cóż mi po tym, że się drzecie jak opętane, obrzydłe ptaki! Wam dobrze, boście się najadły do syta, wołałem z gniewem, a ja głodny i nieszczęśliwy, znieść waszego wrzasku nie mogę! O Boże, cóżem Ci zrobił, że mnie tak okropnie karzesz. Czyż jestem złodziejem, pod-

palaczem, zbójcą, że znoszę takie męki, że mnie prześladujesz bez litości. Stokroć lepiej, że-  
bym był od razu zginął w bałwanach morskich. Za cóż męczysz biednego robaka i depcesz  
go w nieszczęściu?

Nieraz później żałowałem tych słów bluźnierczych, wyrzeczonych w rozpacz, lecz w tej  
chwili, nie pamiętając o moich błędach, zapomniawszy, iż z własnej winy znajduję się w złym  
położeniu, wszystkie nieszczęścia zwałłem na dobrotliwego Stwórcę.

Ale głód nie dał mi długo wyrzekać. Trzeba było coś zaradzić. Na łące nic nie znalazłem  
zdatnego na pokarm, a więc odważyłem się poszukać w lesie. Może też tam znajdę orzechy,  
jagody, głóg, a choćby i żołądź lub wreszcie posilne korzonki. Cokolwiek, byle tylko za-  
spokoić żołądek.

I zacząłem przedzierać się przez gąszcz, torując sobie drogę najczęściej nożem, przeska-  
kując cierniste krzewy. Ale uszedłem już paręset kroków, a nic się nie znalazło. Kory i liści z  
drzew jeść niepodobna, a tym bardziej przepysznych kwiatów, których sam widok, ma się  
rozumieć przy pełnym żołądku, mógł najobojętniejszą duszę wprawić w zachwycenie. Tysią-  
ce papug, to żółto z niebieskim, to czerwono z szafirem, to białe upierzonych, wydrzeźniało  
się z mojej biedy. Ciskałem w nie kamieniami, ale niewprawna ręka chybiała celu. O, z jakąż  
rozkoszą pożerałbym mięso surowe i wysysał krew tych nieznośnych krzykaczy.

– Otóż masz owe prześliczne lasy podzwrotnikowe, dla widzenia których porzuciłeś szczę-  
śliwe życie w rodzicielskim domu! Patrz, jakie piękne, różnobarwne papugi, złotopióre koli-  
bry, precudowne kwiaty i wspaniała roślinność. Nasyćże nimi pusty żołądek, niedowarzony  
głupcze!

Właśnie kończyłem tę gorzką przemowę do pana Robinsona, gdy nagle w przejściu przez  
leśną łączkę, zawadziwszy o grubą łodygę, upadłem jak długi. Rozjątrzony głodem i upad-  
kiem, porwałem roślinę, chcąc na niej złość wyrzucić, poszarpać ją w kawałki za to, że  
ośmiela się rosnąć na mej drodze; lecz podnosząc ją, uczułem znaczny ciężar. Jakieś duże,  
spowite szerokim liściem kłosa rosły na niej. Rozwijam liść i znajduję kolbę, pokrytą ziarna-  
mi białozółtawymi wielkości grochu.

Zapach dość przyjemny, kosztuję, smak przepyszny, słodkavo-mączysty. Była to, jak się  
dowiedziałem później, kukurydza.

W mgnieniu oka ogryzłem kilka kolb, prawie nie żując, tak mi się jeść chciało. Posiliwszy  
się, spoglądam z trwogą, czy przypadkiem nie jedyna to w całym lesie roślina. Dzięki Bogu,  
rośnie ich mnóstwo, a więc nie umrę z głodu. Ruszyłem naprzód w stokroć lepszym humorze,  
a gdy jeszcze z pobliskiego źródła zaspokoilem pragnienie, znikła uraza do papug. W isto-  
cie były to śliczne i bardzo zabawne ptaszęta.

Poza łączką widać było wysoką górę. Trzeba się na nią wdrapać. Któż wie, czy nie ujrzę  
jakiego okrętu, a może i osady europejskiej? Tegoż mi tylko brakowało! I szedłem bez wy-  
technienia, drapiąc się po stromym zboczu, ażeby jak najprędzej dostać się na wierzchołek.  
Dotrągam go nareszcie i doznaję nowego zawodu.

Góra, na której się znajdowałem, była najwyższą na całej wyspie, gdyż niestety była to  
wyspa, na którą mnie wyrzuciło morze. Rozciągała się ona na kilka mil geograficznych w ob-  
wodzie. Kilka zatok wrzynało się w głąb lądu, a cały środek górzysty pokrywały ciemne bory.  
W oddaleniu dziesięciu mil morskich widać było jakiś ląd, lecz nie mogłem rozpoznać, czy to  
ziemia stała. Na całej wód przestrzeni nie ukazywał się najmniejszy szczątek naszego okrętu.  
Zapewne pochłonął go ocean.

– Jestem więc na wyspie sam jeden! Bez mieszkania! Bez pożywienia! Bez broni! Z daleka  
od ludzi, skazany na śmierć, albo może nędzniejsze od śmierci życie!

Wymówiwszy te słowa, gnany rozpaczą zacząłem szybko schodzić z góry. Biegłem prosto  
przed siebie, nie bacząc, gdzie idę, nie uważając na otaczające przedmioty. Znowu ogarnęła  
mnie gorzka boleść i wszelka zniknęła nadzieja.

Naraz silny cień zwrócił moją uwagę. Podnoszę oczy i spostrzegam wysoką na kilkanaście łokci skalistą ścianę, jakby prostopadle z ziemi wyrosłą. Zamykała ona jakby murem część ładnej doliny; po prawej stronie był las, z którego przed chwilą wyszedłem, w lewo zaś otwarty widok na morze.

Strudzony chciałem się położyć w cieniu skały, lecz jej osobliwy kształt zwrócił moją uwagę. Jedna część wystawała, tworząc rodzaj muru. Obszedłem go dookoła i znalazłem zagłębienie, niby grotę głęboką na pięć metrów, nieco zaś szerszą i wyższą. Słowem, był to rodzaj pokoju kamiennego, wzniesionego o ćwierć łokcia nad ziemią. Wystająca część skały u góry wybornie mogła zabezpieczyć od deszczu. Miałem więc doskonale schronienie.

## XI

### **Obranie siedziby w grocie. Zabezpieczenie jej od napadu nieproszonych gości. Terminuję na murarza. Urządzenie zamku.**

Rozpatrzywszy się w okolicy, uznałem, że nie można znaleźć dogodniejszego mieszkania. Dolina, piękną trawą zarosła, wcale nie była bagnista. O kilkadziesiąt kroków z podnóża skały biło czyste jak kryształ źródło. Tuż obok w lesie rosła obficie kukurydza. Najdalej zaś o ćwierć mili od groty przelewało się morze. Widok na nie był pyszny. Najmniejszy statek nie mógł ujść mego wzroku. Nie potrzebowałem nawet wspinać się na skałę dla śledzenia przepływających okrętów. Nade wszystko zaś jaskinia podobała mi się bardzo. A zatem postanowiłem sobie tu obrać siedzibę, dopóki jakie szczęśliwe zdarzenie nie wyswobodzi mnie z więzienia.

Odkrycie groty tak mnie ucieszyło, iż zapomniałem na chwilę o wszystkich kłopotach. Mam przecież jakie takie mieszkanie, pożywienie i napój. Obawa tylko drapieżnych zwierząt niepokoiła mnie mocno. Jaskinię z prawej strony zasłaniała wprawdzie wystająca skała, ale przód i lewa strona żadnej nie miały ochrony i dostępne były dla nieproszonych gości. Zastanowiłem się jednak, iż gdziekolwiek się obrócę, wszędzie mi grozi jednakowe niebezpieczeństwo. Po cóż więc szukać innego schronienia, trzeba raczej korzystać z tego, jakie jest, a lepiej przecie zamieszkać w grocie i położyć się wygodnie, aniżeli jak kot drapać się po drzewach i wśród gałęzi szukać sobie noclegu. Od czegoż wreszcie rozum? Zamiast trapić się obawą niebezpieczeństwa, lepiej obmyśleć coś, co by złemu zaradzić mogło.

– A więc zostaję tu, zawołałem w głos, trzeba się zaraz przeprowadzić do nowego mieszkania.

Dla człowieka, nie posiadającego nic, przeprowadzka nie była trudna. Nie potrzebowałem ani tragarzy, ani wozów, ani koni, mając wszystko na sobie. Zająłem więc natychmiast apartament, nie troszcząc się wcale o zapłatę komornego.

Przyjrzałem się uważnie nowej rezydencji. Gdyby mi się powiodło od załomku ściany przeprowadzić mur do przeciwnego krańca jaskini, miałbym rodzaj twierdzy, tak przeciwko napadom wrogów, jako też od wichrów zabezpieczonej. Ale jak się tu brać do budowania muru bez cegieł, wapna, kielni i innych potrzebnych przyrządów. Piasku nad morzem było do zbytku, ale przysłowie uczy, że z piasku biczka nie ukrećci.

– Murarze to magnaci, wygodnisie, mrucałem nieukontentowany, bez narzędzi nic zrobić nie potrafią i każą sobie jeszcze za to dobrze płacić. Bodaj to być murarzem! A ja nieborak nie mam odrobiny wapna, a i tak murować trzeba. Jak sobie tu radzić? Wprawdzie wszystkiego brakuje, ale przynajmniej czasu do namysłu jest dosyć. A nim myśl szczęśliwa zaświeci, trzeba naprzód przygotować materiał.

Przy wschodniej ścianie skały znajdowało się mnóstwo większych i mniejszych kamieni. Znać kiedyś musiał się zwalić wierzchołek i rozstrzaskać w kawały. Zacząłem wybierać płaskie głazy, jako do układania muru najprzydatniejsze. Praca ta zajęła mi czas do samego wieczora, a gdy się przypatrzyłem poznoszonym kamieniom, przekonałem się, iż najmniej tydzień czasu upłynie, zanim dostateczną ilość zgromadzę. Noc przepędzać trzeba było jeszcze na drzewie, aż do ukończenia budowy.

Na drugi dzień wziąłem się znowu do znoszenia głazów. Układałem je na kupkach o dwa metry jedna od drugiej, abym w czasie budowy nie potrzebował daleko po kamienie odchodzić. Niektóre z nich były tak wielkie, iż za pomocą uciętego draża podważałem je i przetaczałem z wielkim wysiłeniem. Pracowałem bez wytchnienia, wyjąwszy południe, w czasie którego odpoczywając, zjadałem kukurydzę. Największa spiekota słoneczna trwała blisko trzy godziny i właśnie też czas ten przeznaczałem na skonsumowanie obiadu i wypoczynek.

Tak przeszło kilka dni na przysposobieniu materiału. Podczas znoszenia głazów, uważałem, że niektóre z nich były obrosłe mchem i przy jego pomocy trzymały się silnie skały. Umyśliłem więc mchu nazbierać i na nim, pomieszany z ziemią, osadzić kamienie. Przez następne dni zbierałem mech, a oprócz tego wycinałem nożem darnie: było to moje wapno.

Ukończywszy te roboty przygotowawcze, zabrałem się do murowania. Pierwszy metr biegnący muru kosztował mnie nadzwyczaj wiele trudu, drugi już poszedł łatwiej. Z każdym dniem wprawiałem się w robocie bardziej, ale dopiero ósmego dnia nad wieczorem mur został ukończony. Trzymetrowa wysokość zdawała mi się dostateczna. Nadto sam szczyt uwieńczyłem ostrymi i spiczastymi głazami, co go robiło nieprzebytem. W jednym końcu tej ściany zostawiłem na samym spodzie ogromny głaz płaski. Pod tym głazem był w murze wąski otwór, przez który mogłem wychodzić i wchodzić do mej jaskini. Wewnątrz zaś ogrodzenia zostawiłem drugi duży kamień, dla zamykania na noc bram mego pałacu. Samo przytoczenie pierwszego głazu z odległości 10 kroków kosztowało mnie pół dnia pracy, proszę więc wystawić sobie, jak był ciężki.

Ukończywszy fabrykę, usiadłem naprzeciw wystawionego muru, przypatrując się z dumą i radością mojemu dziełu. Szesnaście dni zeszło mi nad tą pracą, a nieraz tak mi trudności dawały się we znaki, iż niewiele brakowało, bym nie odrzekł się wszystkiego. Ale wypoczynek mój był krótki. Przypominałem sobie, iż jeszcze przed zachodem słońca trzeba było urządzić sypialnię. Dużo mchu pozostało mi od budowania. Z niego więc usłałem sobie w kącie groty wygodne posłanie, mech bowiem był nadzwyczaj miękki i sprężysty.

Przed udaniem się na spoczynek orzeźwiłem się kąpielą w morzu, a wróciwszy do domu i ułożywszy się, zawołałem:

– Otóż mam pałac królewski i cesarskie posłanie. Prawda, że za to kostium dziadowski, a żywność więcej aniżeli skromną, ale cóż robić. Z czasem i to się może poprawi. Dobranoc ci, mój wspaniały zamku. Daj Boże, żebym nie potrzebował długo ci się naprzykrzać.

Wkrótce sen skleił strudzone me powieki.

## XII

### **Usiłowanie rozniecenia ognia. Deszcz i mimowolna kąpiel. Banany. Próbuje cieszolki. Kalendarz. Kompas.**

Słońce wzbilo się już wysoko, kiedy otworzyłem oczy. Nic dziwnego, po takiej pracy i na wygodnym łożu śpi się wybornie, a zresztą nie miałem nic pilnego do roboty, nikt mnie do

niej nie budził. Pierwszy ten spokojny nocleg skrzepił mnie precudownie, uczulem się jakby odrodzonym i poszedłem zażyć przechadzki.

Wiedziony tęsknotą, udałem się na skałę, wznoszącą się ponad moim mieszkaniem, ażeby śledzić statki na morzu. Na próżno wyteżalem wzrok na wszystkie strony, wszędzie pusto i głucho. Wtem przyszło mi na myśl, jakim sposobem, gdybym spostrzegł okręt, dałbym znać o sobie jego obsadzie. Uderzony tą myślą, zacząłem znosić suche gałęzie, obdzierać korę z drzew i z tego materiału układać stos na skałę, ażeby w razie ujrzenia okrętu ogniem i dymem zawiadomić ludzi na nim będących o moim na wyspie pobycie. Już naznosiłem dużo drzewa, gdy uderzył mnie mój nierozsądek.

– Mój Robinsonku, jakież z ciebie ciele, pomyślałem sobie. Ułożyłeś stos, to bardzo pięknie, ale czymże go podpalisz, gdzie krzemień, krzesiwo i hubka? Trzeba nie mieć odrobiny oleju w głowie, żeby się tak spisać. Powróciłem więc z gniewem do domu i zacząłem rozmyślać, jakim by sposobem można ogień rozniecić. Byłaby to dla mnie ogromna korzyść.

Naprzód chciałem spróbować, czy by mi się nie udało skrzesać go tylcem mojego noża, ale wszystkie kamienie były za miękkie do wydobycia iskry, a krzemienia nigdzie znaleźć nie mogłem. Porzuciłem więc ten zamiar, a wiedząc, iż Murzyni rozniecają ogień, trąc dwa kawałki drzewa o siebie, uciąłem stosowne kawałki drzewa i tarłem je bez przestanku przeszło godzinę. Drzewo rozgrzewało się wprawdzie, lecz właśnie wtenczas zaczynało mi sił brakować, a nim je odzyskałem, to wszystko ostygło, i trzeba było na nowo rozpoczynać. Po kilku daremnych próbach, namęczywszy się porządnie i widząc, że nic nie dokazę, rzuciłem je z gniewem daleko od siebie, jakby to z ich winy pochodziło i poszedłem do lasu, ażeby nazbierać większy zapas kukurydzy, gdyż zanosilo się na deszcz, a nie życzyłem sobie wcale chodzić podczas sloty do lasu.

W nocy obudził mnie jakiś szelest. Wprawdzie od czterech blisko tygodni, jak przybyłem na wyspę, nie pokazywało się żadne zwierzę, pomimo to deszcz przeszedł mnie od stóp do głów. Słyszałem wyraźny i nieustanny szelest, który ani zbliżał się, ani oddalał. Wybiegłem ku otworowi jaskini, a gęste krople deszczu objaśniły mię, skąd ów szmer pochodzi. Powróciłem na posłanie i uspokojony usnąłem. Lecz wkrótce inna okoliczność, daleko nieprzyjemniejsza, sen mój przerwała. Skutkiem parogodzinnej ulewy woda nagromadziła się w jaskini i podeszła pod posłanie. Zbudzony niemiłym chłodem, porwałem się na nogi, szukając po omacku suchszego miejsca, lecz dno jaskini było równe prawie i dlatego wszędzie jednakowa wilgoć. Szczęściem trafiłem na kawałek wystającej ściany, tu więc umieściwszy swą godność w najniewygodniejszym położeniu, siedząc skulony, czekałem z niecierpliwością rana. Zaledwie się rozwidniło i deszcz ustał nieco, zacząłem szukać przyczyny nocnej kąpieli. Sądziłem bowiem, że skaliste sklepienie nie powinno deszczówki przepuścić, a niepodobna, aby z zewnątrz zalatywała ulewa. Tymczasem z wielkim zmartwieniem ujrzałem w powale groty szeroką szczelinę, którą woda arcywygodnie dostawała się do wielkiej sali mojego zamku. Trzeba było temu zaradzić, ale jak? Naprzód, przy pomocy miotły, zrobionej z gałązek drzewnych, usunąłem wodę z mieszkania. Potem wyszedłem na wierzch skały, ażeby otwór bliżej zbadać. Wzdłuż opoki biegła rysa szeroka na ćwierć łokcia, a na parę metrów długa; tędy to woda przesiąkała do środka, należało ją więc zaprawić, a raczej zaopatrzyć daszkiem.

– Mój Robinsonku, rzekłem do siebie, zdawałeś w przeszłym tygodniu egzamin na majstra murarskiego, spróbuj no teraz ciesiołki. Muszę cię pochwalić, żeś bez młotka i kielni nieźle się spisał. Zobaczmy, czy też bez siekiery i piły dasz sobie radę?

Naprzód trzeba było postarać się o rodzaj gontów albo dachówek. Widziałem ja w lesie roślinę na pięć metrów wysoką, z szerokimi liśćmi. Umyśliłem użyć ich do zrobienia dachu. Skoro więc deszcz ustał zupełnie puściłem się do boru. Jakoż wkrótce znalazła się owa roślina. Miała łodygę grubą, wysoką na siedem do ośmiu metrów, a od opadniętych liści jakby sęczkami od dołu pokrytą. Za ich pomocą wspierałem się aż do korony liściastej, rozchodzącej się na wszystkie strony w kształcie palmowego wachlarza. Chcąc naciąć liści, objąłem noga-

mi łądygę, a ręką począłem je naginać, lecz odchyliwszy liście, z podziwem ujrzałem żółtawe owoce, długie na 50 centymetrów, kształtem do ogórków podobne. Ścinając liście, nie zapomniałem i o nich, i kilka na ziemię zrzuciłem.

Zszedłszy na dół, spróbowałem owoców i któż moją radość opisze, gdy poczułem w ustach smak słodkawy, przyjemny, orzeźwiający. Ucieszyłem się tym więcej, bo mi się już kukurydza zupełnie przejadła. Owoce ten, jak się później dowiedziałem, nazywa się pizang. Znajdował on się obficie na licznych drzewach i mogłem go do zbytku używać.

Posiliwszy się, natychmiast rozpocząłem zaprawę szczeliny w sklepieniu groty. Nie szło mi jednak tak łatwo, jak z początku mniemałem. Szpara była u góry dosyć szeroka i nie dała się samymi liśćmi przykryć. Należało koniecznie wprzód ułożyć jakieś podpórki, ażeby się na nich mogły oprzeć. Narobiłem z gałązek drzewnych kilkadziesiąt podpórek, ale nie mając gwoździ, nie mogłem ich umocować w szczelinie.

Wtem przyszły mi na myśl liany, znajdujące się obficie w lesie. Naciąłem ich sporo. Następnie, urznawszy dwie długie, proste gałęzie, poprzywiązywałem do nich lianami owe drobne podpórki tak, iż się z tego utworzyła drabina dosyć długa i mocna. Drabinkę tę położyłem wzdłuż na szczelinie, a na tym rusztowaniu umieściwszy kilka warstw liści pizangowych, poprzykrywałem kamieniami, ażeby mi wiatr zbyt lekkiego dachu nie porwał, boki zaś drabiny przytwierdziłem do ziemi kulkami z gałęzi.

Robota ta, tak lekka na pozór, zajęła mi cały dzień i zmęczyła porządnie, tak iż ukończywszy ją późno wieczorem, jak nieżywy ległem na posłaniu.

Nazajutrz pierwsza moja myśl była o pizangach. Pobiegłem po nie i sprawiłem sobie pyszne śniadanie. Wczoraj jadłem je z pewną bojaźnią, lękając się, czy nie mają własności trujących, ale noc ubiegła bez złych skutków, więc mogłem bezpiecznie je spożywać.

Odkrycie to naprowadziło mnie na zamiar zwiedzenia całej wyspy. Któż wie, ile jeszcze pożytecznych przedmiotów znaleźć się mogło. Wszak tak dawno już na niej jestem, a dotąd zasklepiony w ciasnej dolinie, żyję jaki ślimak w skorupie. Postanowiłem więc zabrać się do wycieczki po wyspie, lecz przede wszystkim należało pomyśleć o zapisaniu czasu mego pobytu, gdyż dnie zaczęły mi się w pamięci plątać i dziś na przykład zaledwie przypomniałem sobie, że była sobota. Znalazłem wreszcie sposób zrobienia kalendarza. Wybrałem na ten cel dwa drzewa z gładką korą i na jednym wyciąłem nożem datę rozbicia: wtorek, dnia 23 września 1664 roku. Pod tym napisem wycinałem kreski, znaczące dnie, niedziele oznaczałem dłuższymi. Dziś była sobota 18 października. Był to dwudziesty szósty dzień pobytu mego na wyspie. Miałem zatem kalendarz i nie obawiałem się na przyszłość stracenia rachuby czasu.

W parę dni potem na odłamie skały, tuż obok groty, ujrzałem duży kamień płaski, z otworem w samym środku. To mi nasunęło myśl zrobienia kompasu. Wiedziałem o tym dobrze, iż w południe cień, padający od przedmiotów oświetlonych słońcem, bywa najkrótszy. Wystrugawszy kawałek drzewa płaski na kształt deseczki, ściałem go klinowato. Utkwiłem szerszy koniec w otworze kamienia, cieńszy zaś skierowałem w górę. Potem zasiadłem nad kamieniem, pilnie obserwując. Gdy się słońce wzbilo najwyżej, a cień był najkrótszy, oznaczyłem to miejsce kreską wzdłuż cienia poprowadzoną. Przed zachodem słońca wbiegłem znowu na skałę i zrobiłem znak w punkcie, na który ostatnie promienie słońca rzucały cień. Na drugi dzień zaznaczyłem miejsce wschodu słońca, a ponieważ w okolicach bliskich równika długość dnia i nocy nie ulega wielkiej zmianie, podzieliłem miejsce między wschodem i południem, jako też między południem i zachodem na sześć równych części i wyrobiwszy nożem kreski, poznaczałem je liczbami godzin. Tak zrobiłem sobie zegar, może niezbyt dokładny, zawsze jednak lepszy od żadnego.



## XIII

### **Przygotowania do podróży po wyspie. Sporządzenie przedmiotów do niej potrzebnych. Powroźnictwo i szewstwo. Kapelusze i dzida.**

Życie, chociaż samotne, nie wydawało mi się tak nudne, jak z początku. Powoli zacząłem się przyzwyczajać do mego położenia, a przy tym pocieszała mnie nadzieja, że lada dzień pojawi się jakiś okręt, który mnie wyswobodzi z więzienia. Jedną tylko rzecz była mi bardzo przykra, to jest jednorodność pokarmu. Kukurydza była niezła i posilna, to prawda, pizangi czyli banany przewyborne, ale i najlepszy przysmak uprzykrzy się, gdy się go ciągle zajada. Wspomnienie chleba lub mięsa taką mi przykrość robiło, że na myśl o nich w nieznośny humor wpadałem.

– Cóż, paniczu, mówiłem nieraz do siebie, zjadłbyś tak na przykład kawał polędwicy smacznie upieczonej albo rostbefu i do tego kromkę chleba białego, pszenicznego ze świeżym masłem, co? A nie było ci to słuchać ojca i siedzieć w domu, opływałbyś we wszystko, jak pączek w maśle. Ach, pączki! Jakaż to rzecz przewyborna, a jeszcze prosto z pieca, gorące, z cukrem i konfiturami, jakie zwykle matka na zapusty smażyła. Biedna matka, biedny stary ojciec. Tyle im zmartwienia zrobiłeś, niegodziwcze! Jakże śmiesz teraz narzekać na swe położenie. Dobrze ci tak, bardzo dobrze, niewart jesteś nawet tej kukurydzy i pizanów, na które wyrzekasz. Kiedy ci się zachciało włóczyć po świecie, nie narzekaj na to i używaj kochaneczku na mdłych ziarenkach kukurydzianych.

Kiedy sobie wyciąłem taką perorę, było mi lżej na sercu i godziłem się z moją żywnością. Ale w parę dni potem znowu budziła się tęsknota za lepszym pożywieniem, a więc postanowiłem nieodwołalnie puścić się na wędrowkę, bo lasy przyległe memu zamkowi nie wydawały żadnych innych pożywnych płodów.

Ale do podróży brakowało mi mnóstwo rzeczy potrzebnych: powozu, koni, stangreta, lokaja, kufrów, bez których żaden porządny, a bogaty człowiek nie wybiera się w drogę. Nie byłem ja znowu tak wymagający, żebym koniecznie chciał to wszystko posiadać, lecz z drugiej strony w cholewach od pończoch niepodobna przedzierać się przez lasy, a z gołą głową puszczać się na wędrowkę pod tak palącym słońcem, byłoby prawdziwą niedorzecznością. Nadto, nie wiedziałem, czy znajdę w drodze gdzie pożywienie. Trzeba więc było nabrać bananów i kukurydzy, ale do tego potrzebna była torba, a tej nie miałem. Na koniec, gdyby też tak jaki jegomość zębaty i pazurzasty, na przykład jaguar albo pantera, zastąpił mi drogę, czymże bym się bronił? To dało mi dużo do myślenia i już o mało nie porzuciłem zamiaru podróży, lecz zastanowiwszy się dobrze, rzekłem sobie:

– Robinsonku, nie bądź-no leniuchem. Pieczone gołąbki nie przyjdą same do gąbki. Kto nie ryzykuje, nic nie ma. Jeżeli ci potrzeba kapelusza, obuwia, torby i broni, to je zrób. Wszak pierwotni ludzie bez wszelkiej pomocy różne wynalazki musieli robić, a ty przecie przypatrywałeś się wszelkim rzemiosłom i prędzej sobie poradzić potrafisz. Dalej do roboty, nie trać czasu na próżno!

I zacząłem rozważać. Na zrobienie torby trzeba było płótna, ale widywałem ja w Anglii torby rybackie, bardzo misternie ze szpagatu plecione. Płótna nie było, ale sznurki może by się i dały zrobić.

Przypomniałem sobie, iż zaprawiając szczelinę nad grotą, niemało użyłem trudów z przełamywaniem liści bananowych. Miały one w środku nadzwyczaj mocny nerw, tak że chcąc go przerwać, pokaleczyłem sobie palce i dopiero dokazałem tego nożem.

Uzbierałem więc znaczny zapas liści, poobcinałem blaszki, a nerwy układałem na kupę. Lecz gdy przyszło kręcić z nich sznurki, pokazało się, że były za sztywne i za grube.

Wówczas przypomniałem sobie, że włóścianki w okolicach Hull moczą łodygi konopne w wodzie dla zmiękczenia, a następnie międlą je i czeszą. Zamoczyłem więc cały pęk nerwów bananowych w strumyku, poprzyciskawszy je kamieniami, a tymczasem wziąłem się do robienia kapelusza.

Jeżeli nerwy pizangowych liści były za twarde na sznurki, to za to dały się daleko lepiej splątać, aniżeli gałązki wierzbowe. Trwalsze od słomy, delikatniejsze od wikliny, pozwalały się wybornie użyć do koszykarskiej roboty. Postanowiłem upleść z nich kapelusz i byłem pewny, że mi to pójdzie jak z płotka, nieraz bowiem przypatrywałem się pracy koszykarza, który obok nas mieszkał. Ale męczyłem się i pocilem, odrzucając i biorąc znowu robotę. Nie umiałem zacząć, psułem wszystko i któż uwierzy, że dopiero po trzech dniach zrobiłem coś przedrzeźniającego kapelusz. Nie był foremny, ani bardzo wygodny, lecz mimo to cieszyłem się bardzo z tego wyrobu i nie sprzedałbym go ani za dziesięć gwinei, ma się rozumieć na wyspie.

Ukończywszy jako tako termin kapelusznicy, należało wziąć się do szewstwa. I tu napotkałem niesłychane trudności. Napsułem mnóstwo kory, chcąc sporządzić sobie sandały, ale kora łupała się wzdłuż albo odpryskiwała z brzegów. Dwadzieścia podeszew wykroilem, a wszystkie się potrzaskały. Zaniechałem robienia dziur w korze i poprzywiązywałem podeszwy do nóg lianami, ale w pół godziny liany popękały, kora się porozłaziła i znowu paradowałem boso.

Nareszcie przypomniałem sobie opowiadanie kapitana szwedzkiego w Londynie, że włóścianie z okolic Rygi plotą sobie łąpcie z łyka lipowego. Nazbierałem więc łyka z jakiegoś nieznanego mi drzewa, uplotłem z niego czworoboczne płyty i namoczyłem je na dobę w wodzie, ażeby zmiękły i łatwiej dały się koło nogi obwinąć.

– Jest kapelusz, są buty, zawołałem z radością, teraz trzeba pomyśleć o broni. Podczas mojej ciesielskiej pracy zauważyłem drzewo jedno nadzwyczajnie twarde. Wybrałem więc gałąź prostą, długą przeszło na cztery łokcie i uciawszy ją z niezmiernym mazołem, zastrugałem spiczasto koniec. Miałem więc dzidę tak twardą, że uderzając ostrzem w pnie drzew, robiłem w nich dosyć głębokie dziury, nie uszkodziwszy końca. Była to broń nieszczególna wprawdzie, ale w braku lepszej i ta mnie bardzo cieszyła.

Na tych robotach zszedł mi blisko tydzień. Ukończywszy je, wydobyłem włókna pizangowe, a widząc, że się dobrze wymacerowały i zmiękły, wysuszyłem na słońcu. Gdy wyschły, zbijałem je na kamieniu grubą gałęzią, aż październice pooblatywały i samo pozostało włókno. Teraz dały się wybornie kręcić. Narobiwszy znaczny zapas sznurów, począłem z nich wiązać siatkową torbę. Szło to dosyć mozolnie, a przecież się udało. Dorobiłem do niej szelki dla przewieszenia przez plecy, a tak było w co zabrać na parę dni żywności. Teraz nic mi już nie przeszkadzało puścić się w drogę.

## XIV

### **Pierwsza wędrówka po wyspie. Bataty. Palmy kokosowe. Ból głowy. Kąpiel morska. Parasol. Ostrygi. Ananas. Żółwie jaja. Aguti. Powrót do zamku.**

Następnego dnia o świcie, ubrany w kapelusz i łąpcie, z torbą na plecach naładowaną kukurydzą i pizangami i z dzidą w ręku, puściłem się na odkrycia po wyspie.

Obrałem kierunek na wschód, trzymając się brzegów morskich, tak dla uniknięcia zbłąkania, jak też, aby mieć wciąż morze na oczach i śledzić okręty.

Z początku droga szła bardzo ciężko, miejscami las był nadzwyczajnie gęsty, a liany i inne powojowate rośliny tak drogę tamowały, że trzeba było je nożem przecinać. Lecz z wolna las począł się przerzedzać i wydobyłem się na równinę obszerną, pokrytą trawą i gęstymi krzewami, w kępach rosnącymi. Jakieś osobliwe ziele zaścielało prawie całą dolinę. Łodygi pełzające, węzłowate, splątane, rozpościerając się, tamowały przejście tak, iż kilka razy zawadzawszy, o mało nie upadłem. Mnóstwo kwiatów szkarłatnych pokrywało łodygę. Chcąc się jej lepiej przypatrzeć, szarpnąłem w górę i wyrwałem razem z nią kilka wielkich bulw, wielkości głowy dziecięcia. Na co by się one przydać mogły, czy by przypadkiem jeść ich nie można, myślałem sobie? Skosztowałem. Br, smak słodkawo-nudny, odrażający, zapewne trucizna. Byłbym się zaraz ucęstował i na samym wstępie podróży osiadł na piasku. Dobrze przynajmniej, że smak odrażający ostrzegł o ich szkodliwości.

A jednak, jak się przekonałem później, byłem bardzo nędznym naturalistą, gdyż bulwy owe były to bataty, których wprawdzie surowych jeść nie można, ale za to pieczone lub gotowane mają smak bardzo podobny do pieczonych kasztanów.

Rzuciwszy bulwy, powędrowałem dalej. Na końcu doliny spostrzegłem kilka pięknych palm. Serce zabiło mi gwałtownie, gdyż to były kokosy, których od czasu niewoli mauretańskiej nie widziałem wcale. Wprawdzie rosły wysoko, ale dla nawykłego do wspinania się na maszty okrętowe nie było to nieprzełamaną zaporą. Wdarłem się na palmę i zrzuciłem kilkanaście pięknych orzechów.

Zdobycz nieoceniona, ale jak się dostać do jądra, do mleka w twardej zamkniętej skorupie? W Sale otwierałem je siekierą, lecz tu na próżno łamałem sobie głowę nad rozłupaniem łupiny. Noża nie śmiałem użyć do tego, bo się łatwo mógł złamać. Nareszcie umieściwszy kokos na kamieniu, uderzyłem weń drugim głazem ciężkim. Skorupa pękła, ale maleńkie jądro zgruchotało się od uderzenia, a cały płyn wypłynął na ziemię. Spożyłem jąderko, ale nie mogłem odżałować rozlanego soku. Chcąc sobie to wynagrodzić, wziąłem się natychmiast do otworzenia drugiego. Powłokę zewnętrzną zieloną zdjąć było łatwo, lecz gdy przyszło do otwarcia łupiny, zacząłem obracać orzech na wszystkie strony, czy nie znajdę gdzie sposobniejszego miejsca. Jakoż u góry zauważyłem, że zieleń niezupełnie odeszła. Odkrobałem ją nożem i zacząłem wiercić. W samej rzeczy w tym miejscu skorupa była miększa. Zrobiłem otwór i uraczyłem się przewybornym napojem.

Samo już odkrycie kokosu wynagradzało mi podjętą podróż. Palm rosło kilkadziesiąt w tym miejscu, niezbyt odległym od mego zamku. Wystarczało mi zatem kokosów na cały rok, ale i ten przysmak smutne obudzał myśli. Byłby on przewyborny po smacznym obiedzie, złożonym z mięsa. Ach, gdyby raz chociaż kawałeczek go dostać! Oglądałem się, czy nie zobaczę gdzie jelenia lub sarny, ale nadaremnie. Na gałęziach widziałem wprawdzie papugi i inne ptaki, rzucałem w nie kamieniami, ale i dziś żadnego trafić nie mogłem, a zresztą, cóż mi było po mięsie bez ognia.

Szedłem wciąż dalej pomimo nieznośnego upału. Promienie słońca tak mi ciemną przepaliły, że dostałem silnego bólu głowy. Skierowałem więc kroki ku brzegowi morskemu, ażeby się kąpielą orzeźwić i nieco w cieniu krzaków wypocząć. Zabierając się do kąpieli, widziałem mnóstwo ryb. Można je było łowić, ale czym? Za powrotem postanowiłem zrobić sieć z włókien pizanga i pocieszyła mnie ta myśl, że może chociaż rybiego pokosztuję mięsa, wysuszywszy je na wzór Murzynów w skwarze słonecznym.

Kąpiel, a nawet kilkakrotne zanurzenie się z głową w wodzie, wcale mi ulgi nie przyniosły. Ułożywszy się w cieniu krzaków, cierpiałem bardzo mocno i zaledwie byłem w stanie od czasu do czasu popęłznąć na brzeg morski dla zamoczenia rozpalonej głowy. Na koniec sen mnie zmorzył tak silnie, że nie obudziłem się aż na drugi dzień rano, zdrów zupełnie.

Nikt nie uwierzy, jakie dziwne uczucie mnie ogarnęło, gdy za przebudzeniem się ujrzałem wschodzące słońce. Nie mogłem przypuścić, żebym pół dnia i całą noc przespał bez przerwy. Przeraziła mnie myśl, iż zasnawszy nieoględnie wśród krzaków, mogłem się stać łupem dzi-

kich zwierząt. Jednak wkrótce ustąpiła trwoga. Zwierząt drapieżnych widocznie na wyspie nie było, gdyż od miesiąca, jak ją zamieszkiwałem, ani razu nie doszedł mych uszu ich ryk lub wycie. Zresztą, do tego czasu niezawodnie byłyby mnie wytropiły.

Nauczony wczorajszym cierpieniem, nie miałem wcale chęci i dziś narażać się na to samo. Trzeba było sobie sporządzić coś na kształt parasola. W tej chwili wdarłem się na palmę kokosową i nazrywałem dostateczną ilość liści lśniących i twardych. Potem uciąłem kij, przywiązałem do jego końca cztery długie gałązki, w środku na krzyż przewiązane, połączyłem końce sznurkiem i tak miałem rusztowanie o ośmiu prętach, na którym liście kokosowe zastąpiły tkaninę jedwabną, używaną do parasoli.

Z przyczyny tej roboty podróż opóźniła się nieco, ale zaraz na wstępie doświadczyłem, jak wyborynym nabytkiem był mój parasol. Słońce teraz wcale mi nie dokuczało, a wietrzyk mile chłodził. Cóż za różnica od dnia wczorajszego!

Okolice przedstawiały najrozmaitsze zmiany. Raz nieprzebyte lasy, to znowu rozległe równiny i łąki, kwiatami okryte, to strome masy występujących skał, to pagórki okrągławe, w niektórych miejscach z sześciokątnych, bardzo regularnych słupów złożone. Gdzieś tam płynęły potoki, czasem tak głębokie, że trzeba było po pas brodzić. Wnętrze zaś wyspy składało się z wyżyny, pokrytej lasem, ponad który kilka wystrzelało szczytów. Z każdego wzgórza z tęsknotą patrzyłem ku morzu, czy nie ujrzę zbawczego żagla, ale na próżno. Morze puste, jak spojrzeć okiem, rozciągało się w nieprzejrzaną przestrzeń.

Okolo południa postanowiłem znów się wykapać. Zbliżywszy się ku brzegowi morskemu, z radością ujrzałem mnóstwo ostryg, przyczepionych do skał. Natychmiast rzuciłem się na nie i połykałem je tak prędko, jak tylko można było otwierać nożem. Bankiet ten skrzepił mnie niezmiernie, bo zjadłem coś podobnego do mięsa.

Nazbierawszy do torby zapas tych posilnych małżów, użyłem kąpieli, a wypocząwszy, puściłem się w dalszą drogę. Wszedłszy w las, miałem z parasolem wiele biedy, gdyż co chwila zawadzał o drzewa. Nagle nadzwyczaj przyjemna woń nappełniła powietrze. Niby jabłka, niby gruszki, niby truskawki. Oglądam się wokoło, nic nie widać. Wprawdzie wszędzie mnóstwo kwiatów wyrasta, lecz na próżno przykładam nos: żaden nie wydaje tego rozkosznego zapachu. Naraz spomiędzy liści miga mi jakiś złotawy przedmiot. Przedzieram się przez krzaki i spostrzegam roślinę kolczastą, niby kaktus, a na niej wielki, złotożółty owoc, jakby z czworokątnych sęczków złożony. Od niego to bije ta woń precudna. Zbliżam się, zrzymam, kosztuję... Ach, cóż za smak przepyszny, jak żyję, nie jadłem nic tak dobrego. Był to, jak się dowiedziałem później, ananas. Zjadłszy jeden, zerwałem jeszcze kilka, a choć mi ciężko było dźwigać, zabrałem je z sobą.

Nadchodzący wieczór skłonił mnie do szukania noclegu. Wybrałem sobie na dzisiejszy spoczynek duże drzewo nad morzem, bo tu było bezpieczniej jak w lesie.

Niedaleko od tego drzewa, na piaszczystym wybrzeżu, widać było niewielki kopczyk bardzo regularnie, jak gdyby ręką ludzką usypany. Ciekawy będąc dowiedzieć się, co w nim jest, wbiłem dzidę w środek, a wydobywszy, dostrzegłem na jej ostrzu żółtą ciecz, pomieszaną z piaskiem. Rozgrzebałem kopiec i znalazłem w nim ze trzydzieści jaj dużych. Zamiast skorupy miały one jakby pergaminową skórkę. Były to jaja szyldkretów, czyli żółwi morskich, o czym jednak teraz nie wiedziałem. Chociaż głód mi nie dokuczał, widok nowego przysmaku obudził apetyt i wypilem jaj parę.

Trzeciego dnia wędrówki nie wiodło mi się tak, jak w dwóch pierwszych. Naprzód nic nie odkryłem nowego, po wtóre przyszedłem na brzeg głębokiej zatoki morskiej zachodzącej daleko w łód, w tym miejscu bardzo skalisty i trudny do przebycia. Chcąc dostać się na drugą stronę, trzeba było albo przepłynąć wpław zatokę, albo zapuścić się w głąb lasu i piąć po skałach. Zmęczony dwudniową wędrówką, zrzekłem się tego zamiaru i postanowiłem wrócić do domu.

Zamiast iść brzegiem morza jak dotąd, obrałem drogę wprost przez las ku mej jaskini. Wierchołek owej Wysokiej góry służył mi za drogowskaz. Szedłem raz górzystym wąwozem, środkiem którego płynął strumień, to gęstym lasem, to znowu zielonymi dolinkami. Moja wyspa była prześliczna, brakowało jej tylko miast, wiosek i mieszkańców.

Okolo południa ujrzałem przebiegające zwierzę, z wyjątkiem uszu i najeżonej sierści na grzbiecie, do zająca podobne. Rzuciłem za nim dzirytem, lecz chybiłem i zając zniknął wśród krzaków, ku wielkiemu mojemu zmartwieniu.

– Trzeba koniecznie zrobić łuk i strzały, zawołałem w głos. I nie było to rzeczą tak trudną. Widziałem w Sale dużo łuków murzyńskich nader nędznej roboty, a przecież doskonałych w użyciu.

Obiad popsuł mi jeszcze bardziej humor. Wszystkie ostrygi potęchły zupełnie, kukurydza zeschła także, a pizangi zwiędły. Szczęściem, że przynajmniej żółwie jaja przechowały się wybornie.

Dobrze już z południa wkroczyłem w las gęsty i uszedłem przeszło milę, zanim dostałem się na drugą stronę. Widać stąd było wierchołek przewodniej góry. Po dwugodzinnym pochodzie i przedzieraniu się przez krzaki, ujrzałem nareszcie mój zamek.

## XV

### **Sporządzenie łuku i strzał oraz sieci na ryby. Pierwsze polowanie. Pieczeń. Piwnica.**

W wycieczce, z której wróciłem, udało mi się poznać wschodnią część wyspy, ale zachód i południe całkiem mi były obce. Zamierzyłem jednak, wypocząwszy, puścić się w tamte strony, aby całe państwo zbadać dokładnie.

Pierwszą pracą, do której wziąłem się po powrocie, było sporządzenie łuku i strzał. Dla przysposobienia sznurków zamoczyłem znaczną ilość włókien pizangowych, a następnie upatrywałem stosownego drzewa na łuk. Natrafiwszy wreszcie na gałąź mocną i sprężystą, na cztery stopy długą, nagiąłem ją nieco i na obydwóch końcach zarznawszy rowki, przymocowałem cięciwę zrobioną z sznurków konopnych, służących mi dotąd za podwiązki, pończochy zaś przymocowałem łykiem. Następnie naciałem mnóstwo trzciny nad strumieniem rosnących, dorobiwszy do nich strzały z drzewa żelaznego. Na tej robocie nóż stepił mi się zupełnie, ale za to groty strzał moich były wyborne. Przymocowałem je do trzciny łykiem, piór tylko brakowało.

Przechodząc wczoraj z rana brzegiem morskim, widziałem w bliskości wody mnóstwo piór, pogubionych przez mewy i inne wodne ptaki, ale nie pozbierałem ich wcale. Jakżem tego żałował!

– Wędruj że teraz znowu o dwie mile dla kilku piórek, panie Robinsonie, a na drugi raz wbij to sobie dobrze w głowę, że najmniejsza bagatelka dużo kłopotu kosztuje, a więc wszystko, co zobaczysz, zbieraj skrzętnie, bo nie wiesz, na co ci się przydać może.

Późno wieczorem wróciłem do domu z zapasem piór, a że zaraz zrobiło się ciemno, nie mogłem dokończyć roboty strzał, co mnie wielce gniewało.

Na drugi dzień rano, skończywszy pracę, wziąłem się do prób. Pierwsza strzała, wypuszczona w górę, poszła nadspodziewanie wysoko, a spadając, wbiła się w ziemię. Wycelowałem do drzewa odległego na trzydzieści kroków, ale strzała przeszła krzak o dwa metry obok stojący. Druga poszła także nie lepiej.

– Jak to, a więc to nie tak łatwo strzelać z łuku, zawołałem zdziwiony, któż by się spodziewał, że i tego uczyć się trzeba!

Ha, trudno, musiałem się wziąć do nauki. Odtąd po całych dniach odbywało się strzelanie. Zapaliłem się niezmiernie i strzelałem bez wytchnienia, chcąc pokonać moją niezręczność. Po trzech dniach już mi się udawało trafiać w pnie drzew, a po paru tygodniach takiej nabrałem wprawy, że o pięćdziesiąt kroków trafiałem w cel nie większy od dłoni.

Pierwszą ofiarą mej zręczności była papuga, której przestrzeliłem skrzydło. Żyła jeszcze, kiedy ją podniosłem. Chciałem ją dobić, ale wyjąwszy strzałę z rany ujrzałem, że ma tylko skrzydło strzaskane. Przy tym tak żałośnie na mnie spoglądała, że nie mogłem się odważyć na odebranie jej życia. Związałem zranione skrzydełko, obłożyłem je mchem zwilżonym w wodzie, a biedna ptaszyna po kilku dniach przyszła zupełnie do siebie. Przez czas choroby oswoiła się zupełnie i nie opuszczała jaskini. Przyjemnie mi było mieć chociaż takiego towarzysza samotności.

Zrobienie sieci poszło nierównie trudniej. Nie miałem wyobrażenia, jak ją zacząć, nie widziałem nigdy, jak to robią rybacy. Nareszcie wpadłem na pomysł, ażeby do dwóch długich i prostych gałęzi przywiązywać końce sznurków, drugie zostawiając wolne, a potem wiązać je między sobą. Chcąc jednak to zrobić, trzeba było naprzód przygotować sznurki. Zabrałem się do tej czynności, lecz jeżeli kilka dni strawiłem na ukręcenie sznurków do zrobienia torby, to tu trzeba było najmniej miesiąc poświęcić, a na to nie było czasu.

– Jak to, nie było czasu, pomyślisz sobie czytelniku. A cóż lepszego miałeś do roboty, panie Robinsonie? Oto zima nadchodziła i trzeba było sobie nagotować zapasów, bo jak zacząć lać deszcze po całych dniach, to skąd wziąć żywności.

Umyśliłem więc odłożyć zrobienie sieci do wiosny, a tymczasem, korzystając z pogody, wybrałem się na polowanie. Uzbrojony w łuk i strzały, z parasolem, dzidą i torbą, napełnioną pizangami, poszedłem w górzysty las, spodziewając się ubić zającą, ha, a może i sarnę, jeżeli tylko te stworzenia znajdują się na wyspie. Zaledwie uszedłem paręset kroków, gdy zza krzaków wysuwa się ptak jakiś wielkości indora. Z szybkością błyskawicy, odrzuciwszy parasol, wypuszczam strzałę, lecz zamiast ptaka, ugodziłem pień drzewa, za którym zniknął.

Zniecierpliwiony tym zawodem, zostawiłem w krzakach parasol, a trzymając napięty łuk, posuwałem się z wolna i cicho od drzewa do drzewa, w nadziei podejścia uszłej zdobyczy. Wtem w odległości kilkudziesięciu kroków spostrzegam poruszające się liście. Sprawcą tego był zajączek, siedzący na tylnych łapkach i objadający najspokojniej listki jakiejś rośliny. Z bijącym sercem wypuszczam strzałę, pocisk wypada, a zając rozciąga się jak długi.

Nie jestem w stanie opisać mojej radości na widok ubitej zwierzyny. Podniósłszy ją, zwracam ku grocie i zrywam po drodze parę ananasów.

Przybywszy do domu, wziąłem się do obciągnięcia skóry z zajączka. Miał on niejaki podobieństwo do świnki morskiej, nie wątpiłem jednak, że mięso przyda się na pokarm. Zając obciągnięty i oprawiony leżał przede mną, brakowało tylko różna i ognia, ażeby sporządzić pieczeń.

Zachęcony widokiem mięsa, którego tak dawno nie miałem w ustach, umyśliłem raz jeszcze próbować rozniecienia ognia trąc drzewo, ale tym razem, podobnie jak pierwszym, nie powiodło mi się tego dokazać.

Widziałem jak Murzyn, towarzysz mojej niedoli, zabiwszy raz psa, a nie mogąc go ugotować w kuchni, użył osobliwszego środka przyprawy. Postanowiłem go naśladować.

Położywszy zającą na płaskim kamieniu, biłem go twardym kołkiem dobrą godzinę, tak, iż nie tylko skruszał zupełnie, ale zmienił się w rodzaj masy krwistej. Rozciągnąłem ją na gładzie rozpalonym od słońca i trzymałem z półtorej godziny na upale. Nie wiem czy to łaknienie mięsa, czy zmordowanie przyprawiło tę osobliwszą pieczeń, dość na tym, że mi smakowała wybornie. Gdybyż jeszcze mieć do tego trochę chleba i soli!

Tymczasem deszcze coraz częściej padały. Niekiedy przez parę dni lało jak z cebra, tak że nie mogłem wychylić się po żywność. Na przemian znowu upał wycieńczał moje siły, a powietrze, przesycone parą, niemal dusiło. Skutkiem ulewy wzbierały okoliczne strumienie i zagradzały drogi tak dalece, że nie mogąc ich przebyć, musiałem zrzec się polowania.

Żyć pizangami i kukurydzą wcale nie miałem ochoty, a mięso i ostrygi psuły mi się tak szybko, że na drugi dzień jeść ich nie było można. Wypadało koniecznie obmyśleć jakieś chłodniejsze schowanie.

W jednym kącie mej groty zauważyłem pod wystającym głazem ziemię miękką. Wbiłem w nią dzidę i przekonałem się, że da się kopać, ale czym?

Naraz przypomniałem sobie, że na brzegu morskim znajduje się mnóstwo muszli dużych i twardych. Pobiegłem po nie i wróciłem ze sporym zapasem. W jednej płaskiej powiodło mi się wywiercić okrągły otwór. Wprawiłem w niego kij i tym sposobem miałem rodzaj motyki. Inne muszle miały służyć do wygrzebywania poruszonej ziemi.

Zabrałem się natychmiast do pracy. Wbijając dzidę w ziemię, podważałem bryły, które rozkruszywszy motyką, wybierałem muszlami i wnosiłem na dwór. Robota ta ciężka i męcząca zabrała mi dużo czasu, ale w końcu miałem piwnicę na półtora metra głęboką, a mającą przeszło pół metra średnicy. Ażeby utrudnić przystęp ogrzanemu powietrzu, przykrywałem ją rusztowaniem z gałęzi, na których znowu gruba na pół metra warstwa mchu zatykała ją doskonale. Odtąd mięso mogłem przez dwa dni bez psucia zachować. Pizangi i ananasy także utrzymywały się świeżo, równie jak i żółwie jaja, ale z ostrygami nie mogłem trafić do końca. Na drugi dzień bowiem już nie były przydatne do jedzenia.

Nadeszła wreszcie zima, to jest słoty nieprzerwane, połączone raz z wilgotnym chłodem, to znów, gdy słońce zaświeciło, z dokuczającym skwarem. Trudno wypowiedzieć, ile wycierpiałem w tym czasie. Nieraz głód trapił mię bez litości, bo ciężko było upatrzeć chwilki pogodnej dla postarania się o żywność. Teraz brakło mi już cierpliwości, zima dokuczyła mi już do żywego, bo chociaż mrozów nie było, ale przejęty wilgocią, szczekałem zębami jak w febrze, drżąc od nieprzyjemnego chłodu. Zły humor, tęsknota i dawna rozpacz zaczęły mię na dobre ogarniać.

– Ach, jakież z ciebie niedołęga, panie Kruzoe, zawołałem raz, spojrzawszy na kilkanaście skórek zajęczych, leżących w kącie jaskini. Mając taki zapas skór, żeby też nie pomyśleć o sporządzeniu sobie ubrania. Zamiast dąsać się i wyrzekać na los, weź no się lepiej do krawiectwa.

Zaiste wielki był czas zająć się odzieżą. Kaftan drelichowy, chociaż porządnie zasmolony, trzymał się jeszcze cało. Ale koszula, skutkiem długiego noszenia, pomimo nader ostrożnego prania, wyglądała jak rzeszoto. Reszta ubrania nie była lepsza, a z pończoch ledwie pozostały cholewki.

## XVI

### **Moskity. Krawiectwo i garbarstwo. Igły samorodne. Zwątpienie. Rozmyślanie nad smutnym położeniem. Grenlandzkie nici. Zwalczona trudność. Nowy kostium.**

Do sporządzenia jak najprędzszego nowych sukien przynaglała mnie jeszcze inna okoliczność. Zaraz z początkiem pory deszczowej pojawiły się roje moskitów. Pierwej wcale ich nie widziałem, wyjąwszy raz w lesie, gdy mnie w okolicy bagnistej opadły i mocno pocięły. Ale teraz snadź z tego powodu, że łączka przyległa do mojego mieszkania zamieniła się w błoci-

sko, niezdolne owady zakwaterowały się tu na dobre, obierając sobie za najlepszy przysmak biedne moje ciało.

W dzień jak w dzień, oganiałem się skutecznie, lecz gdy nadszedł wieczór, ani sobie dać rady. Kłuły mnie okropnie po całym ciele, do ust nawet wlatywały, i nieraz musiałem się okładać świeżą ziemią, aby choć trochę ulgi doznać w palącym bólu. Gdyby przynajmniej można ogień rozniecić i dymem odpędzić te krwiożercze stworzenia! Kładąc się spać, włożyłem pod warstwy liścia kokosowego, ale umiały one i przez to pokrycie dostać się do mej skóry.

Nie ma rady, bierzmy się do krawiectwa. Nieraz w domu, rozdarłszy suknie, sporządzałem je po kryjomu, żeby matka nie zobaczyła szkody. Może też potrafię i nowe uszyć.

Nie była to jednak łatwa robota.

Naprzód skórki były nadzwyczaj twarde. Zabiwszy zająca i obciągnąwszy go ze skóry, zwykle rzucałem ją na bok, nie myśląc, aby mi się na co przydała. Zsychały się więc na słońcu jak kości, a gdy wziąłem się do rozprostowania, pękały. Należało je zmiękczyć.

Wiedziałem, że garbarze moczą skóry w korze dębowej, ale dębów na mojej wyspie wcale nie było. A gdyby zmoczyć w wodzie morskiej? Myśl nieźła, lecz mógłby się włos uszkodzić. Korzystając z dzisiejszej pogody, pobiegłem na wybrzeże, porozkładałem skórki włosem do ziemi i z kolei polewałem wodą. Jak tylko skóra odmiękła, tarłem ją w rękach jak praczka chusty. Po kilkugodzinnej pracy udało mi się tym sposobem wyprawić je jako tako. Z każdej za pomocą noża oskrobywałem szczątki żyłek i mięsa; potem, nasypawszy piasku i trąc, nadawałem im pewną miękkość. Nad wieczorem było czternaście skórek gotowych do użycia, bo też tyle ich tylko posiadałem.

Mając materiał, należało go przykroić. Dawna odzież posłużyła za formę, ale mój biedny nóż przez dwumiesięczne użycie, a zwłaszcza od drzewa żelaznego, stępsiał zupełnie. Wyznałem kamyk, począłem pociągać ostrożnie, aby ostrza nie popsuć, a gdym je poprawił, zabrałem się do przykrawania. Kto by mnie widział, ilem się przy tej pracy napocił, uzaliliby się nade mną. Gdybyż ciąg z jednej sztuki materii, to co innego, ale tu trzeba z kilku skórek przykładać, przymierzać, stosować. To mi niezmiernie bałamuciło w głowie, wszystkie kawałki się mieszały. Na koniec tym sposobem trafiłem do ładu, że stan, rękawy i nogawice porozkładałem osobno i każda część odzieży na innym leżała miejscu.

Na nieszczęście skórek było za mało, ledwie na krótką koszulę, a raczej kaftan i spodnie, kolan sięgające, starczyło. O kamaszkach ani myśleć.

Już więc wszystko przyrządzone, tylko siadać i szyć. Ba, gdzież igły i nici? Włókien bananowych wcale do tego nie można było użyć, bo grube i nie bardzo podatne. Na całej wyspie ani len, ani konopie nie rosły, a igła?

Przedsięwziąłem ją początkowo zrobić z przetyczki do fajki, znajdującej się przy scyzoryku. Była to rzecz wyborna, ale jak uszko zrobić, nie mając ognia ani kolca stalowego do przebicia dziurki. Porzuciłem ten pomysł, postanowiwszy zamiast igły użyć kolców kaktusowych, silnych i twardych, a przy tym bardzo ostrych, o czym moje biedne, przez nie podarte suknie, mogły dać doskonale świadectwo.

Pobiegłem natychmiast w zarośla, huk tutaj był igieł, tylko brać. Narwałem ich kilkadziesiąt. Teraz szło o nici. Zdało mi się najpraktyczniejszym popruć pończochę i nie namyślając się długo, sprułem całą cholewkę, nawijając nici na kamyk. Żaden król pewnie nie pysznił się tak, patrząc na najkosztowniejszy diament swego skarbcza, jak ja, przyglądając się kłębowi nici. Uwielbiałem mój pomysł, nie przewidując, jak się grubo na nim zawiodę.

Zaostrzywszy przetyczkę na gładziku, użyłem jej zamiast szydła do przebijania dziurek w skórze. Następnie uwiązawszy nitkę do grubszego końca kaktusowej igły, przewlekałem ją przez dziurki. Ale za trzecim ścięciem, gdym chciał przyciągnąć, nitka pękła. Zawiązałem ją, ale po kilku ścięgach znowu pękła. Snadź pończocha przez długie noszenie zetlała i nici zesłabły. Jakże żal mi było bezużytecznie poprutej cholewki.



Cała robota na nic, bez nici szyć niepodobna. Zasmucony rzucam wszystko na bok i siadam, medytując nad moim oplakany położeniem. Ileż zawodów doznałem już na tej niegodziwej wyspie. Co dzień jakieś zmartwienie, a żadnej pociechy ani nadziei, żeby się to kiedyś skończyło. Snadź okręty europejskie nie mają się po co zapuszczać w te niegościnnie strony i chyba tylko zagnane burzą dostają się w okolice mej wyspy, ażeby rozbić się o jej brzegi. Jestem bardzo, bardzo nieszczęśliwy, nie ma nieszczęśliwszego na całej kuli ziemskiej. Czy nie ma? Ha, może i jest. Rozważmyż, co mnie tu złego i dobrego spotkało.

*Złe:*

Znajduję się na wyspie bezludnej i nie mam nadziei wybawienia.

Jestem odłączony od ludzi, samotny i wygnany, dręczony tęsknotą, a o najmniejszą bagatelę starać się muszę z niezmiernym trudem.

Pozbawiony jestem wygod, nie mam się czym okryć, nie mogę rozpalić ognia, bez którego tak trudno obejść się człowiekowi.

Napracuję się niezmiernie dla opędzenia nędznych potrzeb, gdy tymczasem w Europie miałbym wszystkiego do sytości i używałbym wszelkich wygod.

Nie mam broni do odparcia napadu dzikich ludzi i drapieżnych zwierząt i lada chwila mogę zginąć marnie.

Od trzech blisko miesięcy ani jednego statku nie widziałem, więc nie zobaczę mojej ojczyzny i tu umrę na wygnaniu.

Porównania te pocieszyły mnie nieco i dodały ducha. Jestem nieszczęśliwy, to prawda, ale mogłem być daleko nieszczęśliwszym. Nie porzucaj nadziei, ale staraj się tymczasem uprzyjemnić swój pobyt na wygnaniu. Co do nici, wszak nieraz większe daleko pokonywało się trudności, może i tę pokonać potrafisz.

Jakoż przypomniałem sobie, że podczas pierwszej mojej podróży do Gwinei, wśród obsady znajdował się majtek, służący niegdyś na statku używanym do połowu wielorybów przy brzegach Grenlandii. Opowiadał między innymi, że mieszkańcy tamtejsi używają do szycia, zamiast nici, strun skręconych z kiszek psa morskiego. Umyśliłem ich naśladować i wyprawiłem się z łukiem i strzałami do lasu dla upolowania paru zajęcy.

Zające jak na złość gdzieś się pokryły, trzeba było poprzestać na papugach; żal mi było tych wesołych pajaców leśnych, ale pierwsza miłość dla siebie: ubiłem kilka. Po powrocie do domu, zachowawszy piękne piórka, wypatroszyłem ptaki. Rozprute, zamoczone i wymyte kilkakrotnie kiszki dały się dobrze skręcać. Na drugi dzień leżał przede mną spory pęczek strun cienkich. Dla nadania im giętkości, wysmarowałem je tłuszczem zajęczym. Teraz roz-

*Dobre:*

Ale przecież nie utonąłem jak drudzy i mogę się doczekać lepszych czasów.

Tak, ale nie umieram z głodu, mam jakie takie mieszkanie, a wyspa moja obfituje w różne rodzaje żywności i przepyszne owoce.

Ale żyję w krainie gorącej, gdzie ludzie obchodzą się bez odzieży. A gdy by mnie tak zaskoczyło rozbiecie gdzie w zimnej północy?

Lecz pracujesz dla siebie. Przypomnij tylko niewolę mauretańską, tam cię batem do roboty pędzili i lichy karmili, a tu jesteś wolny i swobodny.

Powiedzże mi, czyś widział na wyspie drapieżne zwierzęta lub Karaibów? Strach bez przyczyny.

Od pięciu lat rodzice ciebie nie widzieli, trzy miesiące wygnania to mała kara, a zresztą czekaj, do końca życia jeszcze daleko.

poczęło się krawiectwo na dobre. Po pięciu dniach kostium był gotowy. Natychmiast ustroiłem się w nową garderobę.

Wykapany i wyelegantowany, miałem podobieństwo do kominiarczyka londyńskiego, gdy się w niedzielę do kościoła wystroi. Podskoczyłem do strumyka ażeby się przejrzeć w tym naturalnym zwierciadle.

Ubiór mój nie pozostawił nic do życzenia, oprócz kamaszy. Kaftan ze skórek zajęczych, obróconych włosiem na zewnątrz, pysznie się prezentował, majtki mogłyby zawstydzić muryńskiego modnisią, na głowie kapelusz z pręcików bananowych wyglądał jak straszdyło na wróble. Jedna noga w cholewce podartej, druga owinięta płótnem, utarganym z podartej koszuli. Twarz zarosła, włosy rozczochrane, bo nie było ich czym, oprócz palców, uczesać. Dodajmy do tego łuk i strzały przy boku, torbę przez plecy, w jednej ręce dzidę, w drugiej parasol, a będziemy mieli wyobrazenie potężnego władcy bezludnej wyspy.

Gdybym się tak pokazał na ulicach Londynu, niezawodnie tłumy uliczników biegałyby za mną, jak za rarogiem. Niejeden zaś spekulant niemiecki mógłby świetny zrobić interes, obwożąc mnie po miasteczkach i jarmarkach, jako dzikiego człowieka z nieznannej części świata, jakiego Azteka, żywiącego się surowymi rybami i mięsem ludzkim.

Jednakże ja byłem bardzo zadowolony z mojego ubioru i długo przyglądałem się w przezroczytych wodach strumienia mojej pociesznej figurze.

## XVII

### **Boże Narodzenie. Wspomnienie rodzicielskiego domu. Nowy Rok. Cud. Trzęsienie ziemi. Huragan i ulewa.**

Nazajutrz po ukończeniu sukien, policzywszy dni na moim kalendarzu, zasmuciłem się bardzo. Dzień dzisiejszy był dniem wigilii Bożego Narodzenia.

Obraz domu rodzicielskiego stanął mi żywo przed oczami. W dniu tym zwykle od południa sklep się zamykało. Ojciec powracał, a później kazał się przenieść do jadalnego pokoju. Tymczasem matka krzątała się około ogromnego plumpuding<sup>2</sup> i nadziewała własnoręcznie indyka. Bez tych dwóch potraw nie obeszło się nigdy. Zwyczaj to był dawny, sięgający niepamiętnych czasów. Nasz domek obchodził go uroczyście. Wieczorem zasiadaliśmy do wspólnego stołu, wraz z domownikami i służącymi, a po wieczerzy ojciec, wzięwszy Pismo Święte, czytał z Ewangelii św. Łukasza rozdział o Narodzeniu Pańskim, zaczynający się od słów:

*I stało się w dni owe, że wyszedł dekret od cesarza Augusta, aby popisano wszystek świat.*

Wysłuchawszy pobożnie i w milczeniu słów świętych, śpiewaliśmy pieśni pobożne, potem zaś rodzice prowadzili nas do osobnego pokoju, gdzie stał wielki stół, białym zasłany obrusem, a na nim leżały rozmaite podarki dla dzieci, domowników i służących, przykryte piękną serwetą. Po czym ojciec, zdjawszy ją, z kolei wszystkim podarunki rozdawał. Ileż to było radości, oglądania i uciechy.

Pamiętam dobrze te czasy, kiedy jeszcze wszyscy trzej byliśmy w domu. Starsi bracia odbierali w podarunku różne części ubrania, ja zaś, najmłodszy, zapas rozmaitych zabawek, mających mi wystarczyć do dnia urodzin. Rozkosz to była niewypowiedziana, dlatego też zwykle nie mogliśmy się doczekać uroczystości wigilii Bożego Narodzenia i zawsze na parę tygodni wprzód rachowaliśmy, wiele jeszcze dni do niej mamy.

---

<sup>2</sup> Rodzaj słodkiego budyniu z rodzynkami i migdałami.

Kiedy mi się to wszystko przypomniało tak żywo, serce ścisnęło się gwałtownie i głośnym wybuchnąłem płaczem. Długo tak, bardzo długo płakałem, nie mogąc się uspokoić. Nareszcie lzy ukoili tęsknotę, ale do żadnej pracy nie byłem zdolny. Przez cały dzień siedziałem na wzgórku przyległym do mojej jaskini, patrząc w stronę, gdzie podług mego przypuszczenia Anglia znajdować się powinna. Piękna kraina podzwrotnikowa, do której tak tęskniłem w domu, zdawała mi się obrzydłą ze swą zielenią w dniu wigilii. Z jaką radością powitałbym biały całun ojczyztego śniegu, rozkoszował się mrozem i skrzepłymi lodem rzekami.

Boże Narodzenie jeszcze smutniej mi przeszło. Deszcz lał jak z cebra, skazany więc byłem na siedzenie w jaskini. Dręczony tęsknotą, drugiego dopiero dnia nad wieczorem wyszedłem z domu, gdy się nieco wypogodziło.

Nowy rok 1665 nadszedł za dni kilka. Powinszowałem sam sobie jak najprędzszego wyswobodzenia z bezludnej wyspy, bo mi nie miał kto winszować. Po południu poszedłem na polowanie. Upał nieznosny zmusił mnie do wytchnienia w cieniu drzew. Gdy słońce już mniej dopiekało, przebiegłem kilka ładnych dolin w głębi wyspy, nieznanymi mi dotąd. Nagle, wyszedłszy z lasu, spostrzegłem stadko kóz. Zdziwiła mnie nadzwyczajnie obecność tych zwierząt. Dotąd nigdy ich nie widziałem.

Serce zabiło mi gwałtownie. Któż wie, może w głębi wyspy znajduje się jaka osada Europejczyków, hodujących kozy. Natychmiast pobiegłem ku zwierzętom, wabiąc je bekiem, jak to u nas w zwyczaju, ale kozy w mgnieniu oka pierzchyły w zarośla. Puściłem się za nimi w nadziei, że mnie doprowadzą do ludzkiej zagrody, lecz nachodzący się niemało, zabłąkałem się wreszcie, co nie tylko zmusiło mnie noc przepędzić w lesie, lecz dopiero drugiego dnia nad wieczorem, po długim krążeniu znalazłem swój zamek.

W miesiąc po tej wycieczce, przechadzając się w pobliżu miejsca, gdzie mnie morze wyrzuciło, z największym zadziwieniem spostrzegłem zielone kłosa, zupełnie podobne do jęczmienia. Im lepiej się przyglądałem, tym bardziej byłem przekonany, że mnie wzrok nie myli. Trudno wypowiedzieć pomieszenie, jakie mnie na ten widok ogarnęło. Zboże europejskie tu? W tym miejscu? Co to może być! Skąd się wzięło?

Jeżeliś pilnie zważał, czytelniku, to zapewne nie uszło twej uwagi, że aż dotąd zupełnie zapomniałem o Bogu. Na widok kłosów, nie wiadomo jak wyrosłych, uczułem niepojętą radość i w pierwszej chwili byłem pewny, że Bóg mi okazuje szczodroblive dowody swej Opatrzności.

Myśl ta wzruszyła mnie niezmiernie. I czymże ja, nędzny grzesznik, zasłużyłem sobie, aby Bóg cuda dla mnie czynił? I już padłem na kolana podziękować za tę łaskę Wszechmocnemu, kiedy nagle spostrzegłem pod drzewem mały woreczek od zboża, rzucony w dniu przybycia mego na wyspę. Zrywam się z kolan, zawstydzony moją łatwowiernością, jak gdybym nie doświadczył tylu łask i nie miał za co innego Bogu dziękować.

Tak to wiecznie płochość i lekkomyślność kierowały moimi postępkami. Miałem zasady religijne wpojone przez matkę, ale puściwszy się na burzliwe żeglarskie życie, zapomniałem o wszystkim. Kiedy mi się dobrze wiodło, nie myślałem o Bogu, a gdy bieda dokuczała, zamiast modłów, skargi i złorzeczenia z ust wylatywały. Nie pomyślałem nawet o tym, że zrządzeniem Bożym te kilkadziesiąt ziarn upadło właśnie w miejscu, zasłoniętym od skwaru słonecznego na ziemię bujną, a nie na twardą opokę i wzrosły tutaj jedynie dla mojego pożytku. Gdyby padły w przeciwną stronę na piasek, mógłżebyem z nich korzystać?

Co się stało z tymi ziarnami, opowiem później.

W połowie miesiąca maja o mało cały zamek mój nie runął, a ja sam nie straciłem życia. Siedziałem właśnie przy wyjściu w murze, strugając nożem widelec z drzewa, kiedy nagle jakiś dziwny, jakby podziemny grzmot, daje się słyszeć. Zrywam się przerażony, podnosząc wzrok w górę, aby zobaczyć, skąd nawałnica nadciąga. Wtem z przerażeniem widzę, jak cały szczyt skały panującej nad grotą drży, wstrząsa się gwałtownie. Na koniec ze straszliwym

hukiem zwała się w dolinę, zasypując gruzami strumień. W największej trwodze przesadam mur i uciekam ku brzegowi morskiemu, ażeby mnie gruzy nie przywały.

– To trzęsienie ziemi, zawołałem, szczękając zębami ze strachu. I obejrzałem się błędnym okiem wokoło, oczekując, rychło mnie ziemia pochłonie.

Za chwilę powtórzyło się wstrząśnienie, słabsze wprawdzie od pierwszego, ale słyszałem huk jakiś wewnątrz mej jaskini, a z odległości wyraźnie można było widzieć, jak zachwiały się szczyty wzgórz, a jeden nad morzem z łoskotem piorunu wpadł w fale oceanu i wyrzucił na trzydzieści metrów wysoki słup wody.

Jak żyję, nie doświadczyłem jeszcze trzęsienia ziemi. Przy pierwszym uderzeniu zaczęło mi się mieszać w głowie. Za drugim padłem u stóp ogromnego drzewa, wołając bezmyślnie w najokropniejszym strachu: Boże mój! Boże, zmiłuj się nade mną!

Na chwilę się uciszyło, nabrałem więc nieco ducha, ale nie śmiałem do mieszkania powrócić. Siedząc pod drzewem, załamywałem ręce z rozpacz. Tymczasem powietrze stawało się coraz cięższe. Całe niebo czarne zaciągnęły chmury. Zerwał się wichur, który w pół godziny później przeszedł w najgwałtowniejszy huragan. Morze wrzało jak ukrop, a jego powierzchnia, zbielona pianą, tworzyła coraz ogromniejsze bałwany. Fale rzuciły się wściekle na brzegi, wyrывая drzewa z korzeniami. Po trzech godzinach szalonego wichru rozwarły się niebieskie upusty. Nie był to deszcz, ale potoki wody z chmur, leciały jedną nieprzerwaną nawałnicą.

Zlany, przemokły do ciała, siedziałem na błotnistej ziemi. Wstrząśnienia nie powtarzały się więcej, a więc postanowiłem wrócić do grotty, bo na takiej ulewie niepodobna było wysiedzieć. Brnąc w wodzie blisko po pas, przeszedłem łączkę zalaną wodą. Strumień, zawalony skałami, nie mogąc wolno odpływać, był tej powodzi przyczyną. Na koniec z niezmierną trudnością po ciemku dostałem się do wnętrza jaskini, drżąc z bojaźni, aby nie ponowiło się trzęsienie i nie pogrzebało mię pod gruzami, ale z drugiej strony niepodobieństwem było zostawać dłużej pod gołym niebem. Wyszukawszy suche miejsce w grocie, usiadłem i całą noc przepędziłem, drzemiąc.

Deszcz lał do rana. Kiedy nareszcie rozjaśniło się na polu, rzuciłem okiem dookoła. Któż opisze mój przestach, gdy ujrzałem większą część jaskini zasypaną ziemią i odłamkami skał. Gdyby trzęsienie nastąpiło w nocy, już bym nie żył. Cud mię jedynie ocalił, gdyż miejsce, gdzie spałem, oraz piwnica, były zupełnie przywalone.

Około południa rozjaśniło się na koniec. Wody ustąpiły i spłynęły ku morzu. Trzeba się było zabrać do wyprzątnięcia grotty. Przeraziła mnie ta robota. Nie było ani taczek, ani wózka do wywożenia kamieni i ziemi. Jedynym mym narzędziem była licha motyka z muszli. Jednakże nie dałem się odstraszyć, pracowałem ciężko przez cały dzień do wieczora i nareszcie, uprzątawszy ziemię sponad piwniczki, mogłem dostać się do mych zapasów.

Pomimo usilnej pracy przez cały dzień nic nie jadłem. Zatrudniony robotą, nie pomyślałem nawet o posiłku. Dopiero odgrzebawszy piwnicę, zabrałem się do jedzenia. Ale nic mi nie smakowało. Piłem przez cały dzień, a ciągle miałem pragnienie. Kilkakrotnie przebiegł mnie dreszcz, czasami znów krew uderzała do głowy.

Czując się słabym, położyłem się jeszcze za dnia na posłaniu suchego mchu, przykrywając się kołdrą z zajęczych skórek, którą właśnie skończyłem przed kilku dniami. Przy posłaniu przygotowałem dwie duże muszle, napelnione wodą, nie chciałem bowiem narażać się w nocy na wychodzenie do źródła.

## XVIII

### **Choroba. Cierpienia. Brak pomocy. Rozpacz. Gorączka. Marzenia straszliwe. Dwa dziwne sny.**

Zaledwie sen skleił moje powieki, kiedy nagle przebudziło mnie nadzwyczajne zimno. Sądziłem, że znów woda podpłynęła pod moje posłanie, lecz niebo wypogodzone, pięknie i jasno świecący księżyc przekonały mnie o mylności tego mniemania. Czuję w całym ciele tak silne dreszcze, iż zęby szczękały od nich i drżałem, jakby wśród najtęższego mrozu. Nadaremnie otulałem się kołdrą, nic to nie pomagało, zdawało mi się, że zmarznę.

Tak męczyłem się blisko do rana. Wówczas zimno zaczęło mnie opuszczać, a w miejsce jego powstała tak silna gorączka, że pozrzucawszy z siebie kołdrę i odzież, jeszcze nie mogłem wytrzymać. Czuję wewnątrz palący ogień, pragnienia nie mogłem ugasić, a głowa mało nie pękła z bólu. Na koniec zmęczony cierpieniem, mocno usnąłem.

Kiedym się przebudził, słońce zbliżało się już ku południowi. Zimno, gorąco i ból głowy opuściły mnie zupełnie, lecz czuję się tak bardzo osłabiony, że niepodobna wstać było. Wyteżywszy siły, zwlokłem się nareszcie z posłania, ale nogi drżały pod mną i nie mogłem kroku postąpić. O wyprzątaniu dalszym ziemi z jaskini ani myśleć. Niezawodnie przenoszenie się podczas burzy mi zaszkodziło. Myśl o chorobie dręczyła mnie straszliwie. Jeżeli nie ustąpi, któż mnie będzie pielęgnował, kto mi poda wody, kto jaki pokarm przyrządzi!

Ku wieczorowi było mi nieco lepiej, a nawet uczułem chęć do jedzenia. – A więc to tylko słabość przemijająca, chwala Bogu, zawołałem z radością, wszystko skończyło się na strachu.

Radość ta jednak niedługo trwała. Wprawdzie na drugi dzień miałem się jeszcze lepiej i nawet mogłem cokolwiek pracować, ale w nocy powtórzyły się wszystkie poprzednie objawy choroby. Powtórnie wstrząsnęło mną zimno i znowu po nim nastąpiła gorączka. Tym razem było daleko gorzej, nie przysposobiłem wody, a zdawało się, że mię spali pragnienie. Próbowałem wstać i dopełnić do źródła. Sił mi brakło. Rozpacz mię ogarnęła, a okropny ból głowy mieszał mi zmysły.

W tym niewymownym cierpieniu znów mi stanął w oczach obraz rodzicielskiego domu. Przypominałem sobie, jak troskliwie kochana matka pielęgnowała mię w najłżejszej słabości, z jaką trwogą nad moim łóżem czuwała i najdrobniejsze życzenia wypełniała z pośpiechem. Jak ojciec, zwykle surowy, okazywał się podczas mojej choroby pełnym troskliwości, a gdy wyrzekł, że mi lepiej, radość rozjaśniała jego twarz szanowną. A teraz nie ma przy mnie nikogo, któż wie, czy to nie koniec mojego życia. Może nigdy, nigdy ich nie zobaczę!

Starałem się wszelkimi siłami odepchnąć myśl o śmierci, lecz cisnęła się jeszcze tym natrętniej. Stan mój był okropny. Krew wrzała w żyłach, a oddech stawał się coraz szybszy i krótszy.

W tym niebezpiecznym położeniu pierwszy raz szczerze pomyślałem o Bogu. Zacząłem przypominać sobie słowa pacierza, którego od pięciu lat nie mówiłem wcale, lecz rozpacz nie dawała mi się modlić. Strach śmierci tak mię opanował, że sobie rady dać nie mogłem, a trwoga ta o wiele jeszcze zwiększyła moje cierpienia. Zdaje mi się, że umarłbym już z samej bojaźni, gdyby ciało, zmęczone tak długim wysileniem, nie uległo potędze snu.

Nazajutrz znowu mi było lepiej, ale czuję większe jeszcze osłabienie jak przedwczoraj. Od trzech dni nic prawie nie jadłem. Gdyby skąd dostać można talerz rosółu, choćby kleiku! Jak przykre jest położenie biednego wygnańca, zmuszonego żyć surowiznami, nie mającego czym pokrzepić zwątlonych sił.

Żułem owoce bananowe, wysysając sok tylko, a odrzucając miążgę. Przeświadczenie, że dostałem febry, dopełniło kresu mego zmartwienia. Wiedziałem, że ta choroba zabija Europejczyków na wybrzeżach Gwinei. Rzadko który unika śmierci, a ja, jeżeli nie umarłem podczas pierwszej podróży, winienem to tylko kapitanowi, który mnie przewiózł do Anglii. Jedynie zmiana klimatu mnie uleczyła.

Gdzież teraz ucieknę przed zabójczą chorobą, pozbawiony wszelkiej pomocy lekarskiej. Niezawodnie skończę życie w najokropniejszych cierpieniach, a nikt nie będzie wiedział, co się ze mną stało.

W nocy dostałem znowu zwykłego napadu febry. Pragnienie jeszcze silniej mnie dręczyło niż podczas poprzednich paroksyzmów. Do tego przyłączył się silny ból w lewym boku, myślałem, że skończę życie tej nocy. Na szczęście przygotowałem sobie znaczny zapas wody i tylko to przynosiło mi słabą ulgę. Nad ranem gorączka znacznie się zwiększyła, okropne marzenia przerywały sen co chwila. Raz zdawało mi się, że walczę z rozhukanym morzem. Krzyczałem z przestachu i zrywałem się jak szalony. Za chwilę znów widziałem mnóstwo potworów: lwów, tygrysów, lampartów rzucających się na mnie z rykiem. I uciekałem przed nimi, a nogi płątały się pode mną. Potykałem się co chwila, upadałem, a zgłodniała czereda rozjuszonych bestii już, już dosięgała mnie swymi kłami. To znów wrzawa i wystrzały bitwy napępiały powietrze. Korsarze mauretańscy wywijali nade mną szablami, jakiś olbrzymi Murzyn pochwycił mnie w objęcia i dusił, dusił tak silnie, że już tchu w piersiach zabrakło. Zmęczony, spocony, zziębnięty obudziłem się na chwilę, nie wiedząc, czy to były okropne marzenia, czy straszna rzeczywistość.

Po chwili zapadłem znowu w sen głęboki. Zdawało mi się, że siedzę pod tym samym drzewem, gdzie podczas trzęsienia ziemi szukałem schronienia. Gęste kłęby chmur poczęły opuszczać się z nieba i zakryły przed moim okiem całą wyspę. Nic nie widziałem, tylko czarne, nieprzejrzone tumany. Nagle straszna błyskawica rozdarła chmury, z wnętrza ich wystąpił olbrzym, niewypowiedzianą jasnością okryty. Gdy wyszedł z łona szkarłatnych obłoków i nogą dotknął ziemi, wstrząsnęła się cała wyspa, a gromy zahuczały tak gwałtownie, jak gdyby świat miał runąć. Zbliżywszy się do mnie, wznosił w górę oszczep i zawołał głosem, na który krew ścięła się w mych żyłach:

Nędzny! Tyle dobrodziejstw doznanych od Opatrzności nie wzruszyło twego zakamieniałego serca! Trwasz w twych złościach, a więc giń, jak żyłeś, marnie!

I wznosił oszczep, aby mię przebić. Co się dalej stało, nic nie wiem.

Kiedy mi się zdawało, że przyszedł do przytomności, wszystko zniknęło. Znajdowałem się niby na jakiejś nieprzejrzonej równinie tak pięknej zieloności, jakiej nie oglądałem w życiu. Błękit nieba rozstaczał nade mną swój precudny namiot. Nie było tam ani słońca, ani księżycy, ani gwiazd, tylko jakaś dziwnie miła jasność, a powietrze tchnęło niby wonią, czy świeżością, czego opisać nie umiem.

Jasność ta rozlewała się ze sklepień niebieskich, rosła, potężniała tak, iż oczy spuścić musiałem, a gdy je znowu wzniosłem na chwilę w górę, ujrzałem krzyż promienisty.

Padłem na twarz, nie śmiejąc prawie oddychać, gdy wtem głos słodszy, aniżeli wszystkie ziemskie melodie, zabrzmiał z góry:

*Wzywaj mię w dzień utrapienia, a wyrwę cię, i czcić mię będziesz.*

Obudziłem się, wszystko zniknęło.

Nie wiem, nie umiem powiedzieć, co się działo w mej duszy. Radość, nadzieja, żal, skrucha, bojaźń, ufność w Bogu, wszystko to razem przeniknęło moją istotę.

– O, Boże! Mój Boże! Mój Boże, zawołałem, dzwigając się na kolana. – O, Ojczy mój, jakże Ty dobry jesteś! Tyle lat zapomniałem o Tobie, Stwórco mój najlepszy, nie dziękowałem za Twe dobrodziejstwa, a Ty jeszcze mi pozwalasz poznać moje winy i żałować za nie!

O, Panie mój! Jeżeli to jest ostatnia choroba moja, jeżeli mam umrzeć, pozwólże mi choć tak długo żyć, abym mógł szczerze żałować za grzechy moje i Twój przebłagać majestat. O, Boże, wzywam Cię w dniu utrapienia mojego, wyrwij mię...

Nie mogłem dokończyć modlitwy, potok łez zalał wyrazy, wzniosłem ręce ku niebu i płakałem jak dziecko, zanosząc się i łkając.

Modlitwa wyczerpała resztę sił moich. Czarne płatki wzrok mi zaćmiły, zaszumiało w uszach, padłem jak nieżywy.

## XIX

### **Podwójne przebudzenie się. Niespodziewani goście. Skutek snów. Rozważanie dotychczasowego życia. Żal i poprawa. Przybytek Pański.**

Kiedy odzyskałem zmysły, a raczej przebudziłem się z głębokiego snu, sam nie wiem. Czy spałem noc, czy więcej, nie mogłem zgadnąć. Zdaje mi się że musiałem bardzo długo być pogrążony w letargu czy śnie, bo sił mi tyle przybyło, że łatwo podniosłem się z postania.

Za długością snu przemawiało wycieńczenie i wychudzenie członków i całego ciała. Co mnie najbardziej zadziwiło, to obecność trzech kóz w mojej zagrodzie. Skąd one się tu wzięły? Biedne stworzenia wcale się nie lękały. Jedna nawet przybliżyła się ku mnie, przypatrując się ciekawie.

Później dopiero rozwiązałem tę zagadkę. Kozy snadź wdarły się na skałę ponad jaskinię, zeszyły na mur, a skoczywszy z niego do środka zagrody, nie mogły znaleźć wyjścia. Mur był zupełnie pionowy, a zatem wdrapać się nań nie mogły. Głód z braku paszy tak je osłabił, że straciły wrodzoną dzikość.

W tej chwili jednak co innego mnie zajmowało.

Głód potężnie dokuczał. Wyczołgałem się z jaskini i założywszy z wielkim wysiłkiem wejście kamieniami, ażeby kozy nie uciekły, poszedłem bardzo wolnym krokiem ku zaroślom. Pizangi tam się znajdowały, ale nie miałem siły wdrapać się po nie. Porzuciłem ten zamiar i powlokłem się nad brzeg morski dla poszukania ostryg. Na szczęście dość daleko jeszcze od morza natrafiłem na gniazdo szyldekretów, a parę jaj pokrzepiło mnie bardzo.

Posiliwszy się, usiadłem na wzgórku i począłem rozważać wszystko, co mnie od początku choroby spotkało. Wiedziałem, że podwójne moje widzenie było tylko marzeniem, ale jakże cudownym marzeniem. Wyraźnie rozpoznać można w nim było łaskę Stwórcy, pociągającego mnie ku sobie. Jakież to było moje dotychczasowe życie?

Kiedym po raz pierwszy objawił ojcu chęć puszczenia się na morze, powiedział mi owe pamiętne słowa: *kto nie słucha rodziców, temu nigdy Bóg błogosławienie będzie, ten marnie zginie*.

Czyż te święte wyrazy jego nie spełniły się prawie zupełnie? Wzgardziłem twą przestroga, drogi mój ojcze, zawołałem ze łzami, sprawiedliwość Boża dosięgnęła mię. Mogłem przy was, najmilsi rodzice, być tak szczęśliwym i spokojnym, być wam pomocą i opieką w podeszłym wieku, a zamiast tego wtrąciłem was w przepaść smutku i zatrąłem ostatki dni waszych. O, jeszcze Bóg dobry obszedł się ze mną zanadto łaskawie. Na stokroć większe zasłużyłem kary.

– Czyż chociaż raz wzniosłem myśli moje do Ciebie, Stwórcu mój, mówiłem w głos ze łzami. Czyż podziękowałem Ci chociaż za jedno dobrodziejstwo? A przecież Ty stworzyłeś ten cały świat i utrzymujesz w takim porządku. Tyś stworzył tę ziemię, na której znalazłem ocalenie, źródła, które mnie napoiły, owoce, które mnie ocaliły od śmierci z głodu. Twoim dziwnym zrządzeniem wpadły do mojej zagrody kozy, mogące mi tyle przynieść pożytku. Tyś mnie ocalił z rozbitego okrętu w Yarmouth, wstrzymał miecze korsarzy nad moją głową, wybawił z niewoli mauretańskiej i na drogę mą sprowadził okręt, który mnie z Ksurym wybawił z oceanowych przepaści. Tyś mnie ochronił spośród dwudziestu dwóch mych towarzyszy i samemu tylko życie zachować dozwolił. A ja, ślepy, tego wszystkiego nie widziałem i nieraz, zamiast dziękować, bluźniłem Ci, Panie mój, słowami rozpaczy!

O, Panie mój, nędzny jestem człowiek i nic Ci dać nie mogę, bo wszystko, co posiadam, jest Twą własnością, ale racz przyjąć ode mnie skruszone serce, przejęte miłością dla Ciebie, szczerzy żal i chęć poprawy, którą racz swoją łaską wesprzeć.

Pokrzepiony tą modlitwą i postanowieniem, zwróciłem się ku domowi. Przyszedłszy pod zagrodę, usłyszałem beczenie kóz, snadź bardzo zgłodniałych. Na ile mi sił starczyło, naściłałem trawy i zaniósłem biednym stworzeniom. Brały ją z rąk moich i jadły z niezmiernym apetytem, a gdym odszedł, szły za mną, becząc żałośnie, jak gdyby dopominały się strawy.

Napoiłem je z muszli, a robota ta tak mi wyczerpała siły, że ległem jak nieżywy na posłaniu.

Przespawszy parę godzin, doznałem uczucia głodu.

– Mój Boże, zawołałem głośno, czymże się nędzny posilę? Ani kukurydzy, ani pizangów jeść nie mogę. Mięsa nie mam, a choćbym je nawet miał, nie wiem, czy by mi przeszło przez gardło.

Wtem przypadkiem rzuciłem wzrok na kozy, których wydęte wymiona świadczyły, że mleko w nich być musi. Mleko? Ach, sama myśl dostania go napełniła mię niewypowiedzianą radością. Udałem się znowu za ogrodzenie i nazbierałem trawy. Wróciwszy, ułożyłem pęk na kamieniu na łokieć wysokim, a gdy koza zaczęła w najlepsze jeść trawę, wziąłem się do dojenia. Poczciwe stworzenie nie bronilo się wcale. Otrzymałem z półtorej kwaterki mleka do podstawionej muszli.

Nikt nie jest w stanie wypowiedzieć mojej rozkoszy, kiedym się letnim posilił mlekiem. Od sześciu miesięcy nie miałem go w ustach, nie kosztowałem żadnego innego napoju, oprócz zimnej wody i kokosowego mleka, nie mogącego przecież iść w porównanie z kozim.

Wypiwszy je, padłem na kolana i pierwszy raz dziękowałem Stwórcy za Jego dary.

Mleko wydojone z drugiej kozy zostawiłem na noc.

Późno już było, gdym się udawał na spoczynek i znowu od przybycia na wyspę pierwszy raz zakończyłem dzień modlitwą.

Z rana wstając, czułem się daleko lepiej, a co najważniejsze, że chociaż w tym dniu według mojej rachuby, przypadła febra, wcale jej, prócz nic nie znaczących dreszczy, nie miałem.

Oslabienie nie pozwoliło mi się wziąć do pracy. Nazbierałem tylko trawy dla kóz i wydoiłem obydwie. Młody koziołek, ich towarzysz, posilony paszą, nabrał dobrego humoru i ubawił mnie wesołymi skokami.

Po śniadaniu, składającym się z koziego mleka, poszedłem zajrzeć do kalendarza i powyrzynać kreski, co w czasie choroby zaniedbałem. Słabość napadła mnie 9 kwietnia, we wtorek. Według mojego wyrachowania był dzisiaj poniedziałek, 15 kwietnia, chorowałem tedy blisko tydzień.

Od czasu mego ozdrowienia, wstając i kładąc się spać, modliłem się na kolanach i postanowiłem uroczyście obchodzić niedzielę, nie podejmując żadnej roboty, oprócz dojenia kóz, co koniecznie nawet dla zdrowia moich karmicielek uczynić należało. Wieczorem zwykle rozważałem, czym nie zawinił co przed Panem.

Postępowanie to napełniło duszę moją nieznaną dotąd błogością. Dawna tęsknota ustąpiła zupełnej ufności w miłosierdzie Boże. Postanowiłem zupełnie i we wszystkim zdać się na Jego wolę, pomyślność i zawody pobożnym sercem i z poddaniem się przyjmować i nigdy nie szemrać przeciwko wyrokowi Opatrzności.

Odtąd życie moje zupełnie się zmieniło, a pobyt na wyspie jeżeli nie przyjemnym, to przynajmniej stał się znośnym.

– Masz mieszkanie i jakie takie wygody, zawołałem raz do siebie, a dla twego dobroczyńcy dotąd nie wybrałeś przybytku, gdzie byś mógł Mu w dniu święte i uroczyste składać dziękczynienia. Bóg wprowadzie nie potrzebuje świątyni, bo cały świat jest Jego kościołem. Czym-



że jednak stworzenie okaże wdzięczność swoją Stwórcy? Wybierz my jakieś miejsce i nadajmy mu nazwę kościoła. Niechaj i na tej bezludnej wyspie wzniesie się przybytek Boży.

Łatwiej to jednak było wypowiedzieć, jak wykonać. O zbudowaniu świątyni myśleć nie mogłem. Lecz za to w miejscu, gdzie szukałem schronienia podczas trzęsienia ziemi, w tym samym miejscu, gdzie w marzeniach moich gorączkowych widziałem ducha mściciela, postanowiłem pomiędzy dwiema palmami postawić krzyż i u stóp jego co święto składać modlitwy.

Z dwóch gładkich gałęzi, ściętych z wielkim mazołem, po dwóch tygodniach pracy wyrobiłem godło zbawienia. Krzyż ten wkopałem na pagórku pomiędzy palmami. Na przeciwległym wzgórzu umieściłem ławeczkę kamienną, abym mógł swobodnie w dzień świąteczny po południu przesiadywać i rozmyślać w ciszy, naprzeciwko krzyża. Miejsce to, wyniesione nad morze, prześlicznie położone, było bardzo urocze.

Odtąd, ile razy mnie tęsknota napadła albo smutek opanował duszę, przychodziłem do tego ustronia i nigdy nie opuściłem go bez pociechy.

Na pamiątkę zaś cudownego snu, który taką przemianę w sercu mym sprawił, wyciąłem na pniu drzewa, w bliskości krzyża, napis:

*„Wzywaj mię w dzień utrapienia, a wyrwę cię i czcić mię będziesz”.*

## XX

### **Zagroda dla kóz. Bambus. Przypadek na polowaniu. Nowy parasol. Ogień. Pieczeń. Dwa głosy.**

Bardzo powoli powracały mi siły, tak iż dopiero po dwóch tygodniach mogłem się wziąć do dalszego wyprzątania groty, a że to była robota męcząca, więc tylko po godzinie rano i wieczorem pracowałem.

Skutkiem wstrząśnienia oderwała się część sklepienia i bocznej ściany. Jaskinia zyskała na obszerności, a co większa, owa szczelina, przez którą woda dostawała się do środka, całkiem zniknęła. Dach nawet sporządzony przeze mnie pochłonęła ziemia tak, iż śladu z niego nie pozostało.

Z tym wszystkim mieszkanie w jaskini zdało mi się bardzo niebezpieczne. Gdybym się był w nim znajdował podczas trzęsienia ziemi, byłbym niezawodnie zginął. Postanowiłem więc zbudować szałas, potrzeba było tylko się namyślić, gdzie sobie obrać nową siedzibę. Lecz, gdy rozważyłem dobrze, że moje dotychczasowe mieszkanie jest nadzwyczaj dogodny, chroni mnie doskonale od deszczu, gdym pomyślał, ile mnie trudów będzie kosztowało zbudowanie nowego domu, do czego nie posiadałem żadnych narzędzi, skłoniłem się do pozostania w grocie. Zresztą, gdyby mi projekt ten przyszedł przed dziwnym snem i cudownym nawróceniem moim, byłbym się wziął do jego wykonania, ale teraz miałem ufność w Bogu, a wiedząc, że bez Jego wiedzy i woli nikomu włos z głowy nie spadnie, pozostałem w mojej grocie, nie doznając najmniejszej bojaźni.

Natomiast nie posiadając się z radości przyswojenia kóz, umyśliłem dla nich zbudować stajenkę, gdyż razem ze mną w jaskini przebywać nie mogły.

W tym celu udawszy się o świcie do lasu, szukałem dogodnych gałęzi do wystawienia stajni, której plan w głowie mej był gotowy. Mając z sobą jak zawsze łuk i strzały, zapuściłem się za jakimś ptakiem leśnym w nieznaną mi dolinę. Na środku rosły wysokie na kilka sążni drzewka, równe i proste, a gdym się zbliżył, aby je obejrzeć z bliska, przekonałem się, że to trzcina bambusowa.

Odkrycie to ucieszyło mnie bardzo. Zyskałem materiał lekki, do budowy nadzwyczaj zdantny, a nietrudny do ścięcia. Porzuciłem więc myśl polowania, a wziąłem się do ścinania bambusów, wybierając drzewka centymetr, a najwyżej półtora centymetra średnicy mające. Cały dzień zabrała mi ta praca, a jednak nie szło to tak bardzo łatwo, gdyż wieczorem zaledwie było ich trzydzieści.

Niepodobna było wszystkie zabrać naraz. Potrójną więc odbyłem wędrowkę do groty, przeszło pół mili odległej i dopiero trzeciego dnia przystąpiłem do budowania.

Niedaleko od mej groty rosły dwie palmy, w odległości pięciu metrów jedna od drugiej. Do nich w wysokości dwóch i pół metra nad ziemią przywiązałem żerdź bambusową. O tę żerdź opierałem pochyło żerdki bambusowe z obu stron, tak że przez to powstała chatka w kształcie dachu, opartego o ziemię. Pokryłem ją z wierzchu podwójnym pokładem liści kokosowych, u góry bambusy przytwierdziłem pizangowymi włóknami.

Chata ta była z dwóch stron otwarta. Zagrodziłem ją ściankami, wtykając w ziemię odpowiedniej długości żerdki bambusowe i przeplatając je dla mocy gałązkami chrustu, podobnie jak u nas robią płoty. Z jednej strony zrobiłem drzwiczki do wpuszczania i wypuszczania kóz.

Tak więc towarzyszki mego wygnania miały bardzo wygodne mieszkanie, chroniące je zarówno od upału, jak i od deszczu.

Wkrótce przyzwyczyły się do swej stajenki i przed wieczorem same podchodziły do drzwiczek, naprzykrzając się bekim, aby je wpuścić do środka. W dzień jednak miałem z nimi dużo kłopotu. Puszczając wolno na paszę było nieroztropne, bo mogły uciec do lasu i więcej nie wrócić, a gdy wyszedłszy na polowanie uwiązałem je do drzewa, to znowu biedne zwierzęta nie mogły się najeść do woli i udój był bardzo skąpy.

Jednego dnia, wracając z polowania, obciążony ubitym zającem, stąpiłem na coś ostrego i przebiłem sobie nogę. Krew lała się ciurkiem i zaledwie zdołałem ją zatamować.

Cierń kaktusowy nie mógł przebić tak głęboko nogi. Zacząłem więc szukać sprawcy mej rany i znalazłem ostry krzemień. Jeżeli ból dokuczył mi bardzo, to chętnie jeszcze raz dałbym się skaleczyć za tak kosztowny nabytek. W pierwszej chwili zapomniałem o bólu, a dobywszy nieodstępного noża, począłem krzesać ogień. Widok diamentów nie zachwyciłby mnie tak, jak te prześliczne, od tylu miesięcy nie widziane iskry.

Śpieszyłem do domu, jak mogłem, pomimo dokuczającego cierpienia, lecz dopiero wieczorem ukazała się luba zagroda. Mimo najgorętszego pragnienia nie można było myśleć o roznieceniu ognia, bo do tego potrzeba próchna lub hubki, suchych liści i gałązek, a tego wszystkiego nie było.

Szukać po nocy niepodobna, tym bardziej ze zranioną nogą. Trzeba wszystko odłożyć do jutra.

Któż nie domyśli się, że na drugi dzień rano pierwszą moją myślą było rozniecenie ognia. Co chwila budziłem się w nocy, bo mi szczęście spać nie dawało, a gdym zasnął, wciąż mi się śniło, że siedzę przed wielkim płomieniem. Od czasu zamieszkania na wyspie nie doświadczyłem takiej radości.

Ale znać podobało się Panu Bogu wystawić mię na ciężką próbę. Już w nocy uczułem mocny ból w nodze, a kiedy ją z rana obejrzałem, cała podeszwa była spuchnięta. Pomimo moczenia w wodzie, przez cztery dni stąpać nie mogłem. Gdyby nie zapas żywności, głód byłby mi się dał dobrze we znaki.

Przez ten czas zatrudniałem się sporządzaniem nowego parasola. Stary, zrobiony z kokosowych liści, wcale był dobrą ochroną od promieni słonecznych, lecz podczas deszczu na nic się nie zdał. Doświadczyłem tego w czasie pory zimowej i dawno już trzeba było coś innego wymyślić, lecz dzień za dniem schodził na innych robotach, później zaś trzęsienie ziemi, wyprzątanie jaskini, choroba, w tym mi przeszkodziły. Nareszcie brak skórek, z których miał być nowy parasol zrobiony, stał na zawadzie.

Sporządziłem go z cienkich gałązek bambusowych. Zajęcie skórki dostarczyły pokrycia. Lecz największą trudność stanowiło otwieranie i zamykanie. Udało mi się ją pokonać, ale z jakimże mozołem. Ani sprężyn, ani drutów, ani zgoła najmniejszego nie posiadając narzędzia, wymyśliłem przecież rodzaj baldachimu, nie wyglądającego paradnie i psującego się często, ale i z tego byłem bardzo zadowolony.

Po zabliznieniu się rany poszedłem do lasu, aby poszukać hubki. Zamiast niej znalazłem pień wypróchniały. Zebrawszy czyr, wysuszyłem go na słońcu. Porywam stal i krzemień, krzeszę ogień, padają iskry, jedna chwyta się czyru. Dmuchałem, serce bije mi gwałtownie, płomienia wzniecić nie mogę. O Boże mój! Boże, miałoż by wszystko spełznąć na niczym. Na koniec wybucha płomień, zapalają się suche listki, gałązki.

Na ten widok jakieś dziwne osłabienie owładnęło mną. Zdawało się, że zemdleję. Ten ogień wydawał mi się czymś tak kosztownym, że nie zdołałem tego wypowiedzieć. Biegałem ja szalony, znosząc gałązki, drzewo, krzewy. Zdaje mi się, że spaliłbym las cały. Olbrzymi płomień bije na pięć metrów w górę. Dym wznosi się ponad szczyty skały. Tańczę, biegam, skaczę z radości około ognia, nareszcie łzami zalany padam na kolana, dziękując Stwórcy za to dobrodziejstwo.

Wy, lube dziatki, używając wszelkich wygod w domu rodzicielskim, nie zdołacie pojąć szczęścia biednego wygnańca, który po ośmiu miesiącach życia, pełnego niewygód, ujrzał na koniec płonącego ognia i cieszył się, że wreszcie ciepłą strawą będzie mógł skrzepić znużone ciało.

Chciałem napić się gorącego mleka. Wydołem więc kozę i przystawiłem je w muszli do ognia. Po chwili muszla pękła z trzaskiem, a popiół uraczył się moim przysmakiem. To mnie bardzo zasmuciło, lecz nie tracąc czasu, porywam kawał drzewa, zaostrzam go, pakuję wczoraj zabitego zajączka i piekę. Przyjemna woń pieczonego mięsa napełniła powietrze, zaledwie miałem cierpliwość doczekać się, aż będzie gotowe.

Zajadając zajączka, wystawiłem sobie, że jestem na uczenie królewskiej. Cóż to za smak wyborny! Teraz nie zdołałem wyobrazić sobie, jak mogłem jeść surowe mięso jak wilk jaki? Ach, czyż może być większe dobrodziejstwo od ognia!

Wyznam ze wstydem, że rozłakomiony smakiem mięsa, już zamyślałem poświęcić mego koziołka na pieczeń. Lecz oburzyła mnie ta niewdzięczność. Jak to, biedne stworzenie przyszło szukać u ciebie schronienia, a ty w dowód prawdziwej gościnności chcesz je wsadzić na rożen? To bardzo brzydko, panie Robinsonie. Ot, nie leń się, weź łuk i strzały i idź na polowanie. Są kozy w lesie, będziesz miał pieczeń, a nie okażesz się okrutnikiem.

– Tak, ale mi tymczasem ogień wygaśnie.

– Naznoś więc grubszych gałęzi, ostatni huragan niemało ich natrzaskał. A zresztą choćby ogień wygasł, masz krzesiwo i krzemień, to znowu rozniecisz.

– A jak się nie uda?

– Udało się raz, to uda się i drugi. To są tylko wymówki i nic więcej. Marsz do lasu, będziesz miał kozią pieczeń, a może i rosół.

– Ciekawy jestem, w czym go ugotuję?

– Widziałem ja pod skałą glinę, z gliny garnki robią garncarze, masz teraz i ogień, możesz wypalić. Próbowaleś murarki, ciesiołki, szewstwa, krawiectwa, byłeś dość zręcznym parasolnikiem, może też i garncarstwu podolasz.

– Nie tak łatwo, a gdzież kółko garncarskie?

– Nie wymawiaj się, kochaneczku, nie święci garnki lepia, a bez pracy nie będzie kołaczy, ani też pieczone gołąbki nie przyjdą same do gąbki. Trzeba troszkę czoła zapocić.

W ten sposób prowadziłem sam z sobą dyskurs. Kto by słuchał z boku, mógłby się naśmiać potężnie. Często w mej duszy odzywały się dwa różne głosy. Jeden, przedstawiający moje lenistwo, wątplenie i wszystkie złe nałogi. Drugi surowy, karcący każdą złą myśl, nie przepuszczający najmniejszego przewinienia. Ile razy zachodziła między nimi sprzeczka, ten

drugi miał zupełną słuszność i z łatwością obalał wszystkie wymówki lenistwa. Poznałem, że był to głos sumienia, głos prawdy i zawsze w końcu szedłem za jego radą.

I teraz, zabrawszy łuk i strzały, nie ociągając się dłużej, poszedłem do lasu z głową nabitą garncarstwem.

Ma się rozumieć, że przed odejściem naznosiłem na ogień dużo drzewa, a kozy zamknąłem w stajence.

## XXI

### **Zastrzelenie kozy. Sól. Pieczeń. Próby garncarstwa. Różne trudności. Piec garncarski. Nieudana robota. Odkrycie polewy. Rosół.**

Chcąc zastrzelić kozę, należało zapuścić się w stronę, gdzie je pierwszy raz widział. Przebiegłszy część lasu, wydostałem się na równinę, poza którą ciągnęły się skaliste wzgórza. Tam skierowałem moje kroki, ale parę godzin przeszło na błakaniu się między urwiskami, a nie pokazała się ani jedna koza. Gdybym miał psa, wszystko poszłoby pomyślniej, ale tak, samemu trzeba było być gończym.

Znużony próżnym szukaniem i zmęczony chodzeniem, usiadłem w cieniu skały wypocząć. Po niejakej chwilce spostrzegam parę kóz na szczycie przeciwległego urwiska. Nie śmiejąc wyjść z mojej kryjówki, aby mnie nie dojrzały, zacząłem wabić je ku sobie bekiem. Wkrótce kozy posłyszały ten głos zdradziecki, zaczęły wokoło się oglądać, nareszcie zbiegły ze skały. Ukryty wśród krzaków, czekałem, aż przyjdą bliżej, od czasu do czasu becząc. Jakoż nie zawiodła mnie nadzieja. Kozy, odpowiadając mi, biegnęły ku miejscu, gdzie stałem, a gdy się jedna zbliżyła na trzydzieści kroków, przeszyłem ją strzałą. Dwie inne, nie wiedząc, co się z ich towarzyszką stało, obwąchiwały ją przez chwilę, a potem oddaliły się, becząc.

Zabrawszy zdobycz, ruszyłem ku domowi. Po drodze skierowałem się ku brzegowi morskemu, aby z tuzin ostryg uzbierać. Kiedym, złożony kożę, zbiegł w parów, prowadzący ku wodzie, naraz ujrzałem u brzegu coś błyszczącego. Nachyliłem się, odrywam lśniący kamień i poznaję sól. Zdaje mi się, że znalezienie najbogatszej kopalni złota nie sprawiłoby mi takiej radości, jak ta wyborna przyprawa, bez której tyle miesięcy musiałem się obchodzić. Snadź z morskiej wody osadziła się sól w parowie.

Zabrawszy kawał soli i zapamiętawszy dobrze miejsce, gdzie się znajdowała, zawróciłem do domu, obciążony podwójnym łupem. I znowu w duszy uczułem głęboką wdzięczność ku łaskawemu Stwórcy, który mi nowe dobrodziejstwo wyświadczył.

Za powrotem do domu pobiegłem zaraz ku ognisku. Płomienie wprawdzie już zgasły, ale za to zarzewia było niemało, z którego natychmiast rozdmuchałem ogień. Na wieczrę upiekłem kawał koziny. Przyprawiona solą, smakowała mi wybornie.

Mając teraz mięso i sól, mogłem sobie ugotować rosółu, brakowało do tego małej tylko rzeczy, to jest garnka.

Raz tylko w życiu byłem u garncarza. Widziałem, jak kładł glinę na jakimś kółku, które obracało się poziomo na stoliku, ruszał po tym nogą, a pod palcami formowały mu się garnki i miski.

To jednak nie mogło mnie wiele nauczyć.

Jedną tylko rzeczą, z jakiej skorzystałem podczas mej bytności, była wiadomość, że im lepiej ugniecie się glinę, tym łatwiej formować z niej naczynia.

Na drugi więc dzień nakopałem sporo gliny, a umieściwszy ją w wielkiej żółtwej skorupie i nalawszy wody, zacząłem deptać. Po paru godzinach zdawało mi się, że już jest doskonale wyrobiona i postanowiłem wziąć się do formowania garnków.

Murarstwo, ciesiołka, krawiectwo i wszystkie rzemiosła, których dotąd próbowałem, były igraszką, zabawką dziecinną w porównaniu do garncarstwa.

Gdyby kto z boku przypatrywał się wszystkim niezgrabnym karykaturom garnków, naśmiałyby się ze mnie, a może i pożałował.

Ułożywszy na kamieniu dno garnka z gliny, potem dookoła lepiłem ściany. Nie udawało mi się zupełnie. Jakieś koślawe szkaradzieństwa wychodziły z rąk moich. Nieraz ciężar gliny psuł gotowe już naczynie, czasami ucho nazbyt ciężkie wrywało bok cały – nie mogłem sobie w żaden sposób poradzić. Nareszcie ulepiłem coś, mającego podobieństwo do garnków. Wiadomo mi było, że garncarze roboty swe naprzód suszą na słońcu. Otóż przenosząc owe naczynia na miejsce, gdzie schnąć miały, potłukłem je na drobne kawałki i trzeba było wszystko od początku zaczynać. Innym razem znowu popękały od nagłej spiekoty słonecznej, trzeba więc było suszyć je wprzód w cieniu.

W kilka dni po tych pierwszych nieudolnych próbach, znalazłem o pół mili od mojego mieszkania gatunek glinki białej, daleko łatwiej ugnieść się i wyrobić dającej. Z tej, po dobrym wyrobieniu, udało mi się ukształtować dwa naczynia, którym nie umiem dać nazwy. Nie były to bowiem ani garnki, ani rynki, przerażały swą niezgrabnością, ale przecież mogły się na coś przydać.

Kiedy je słońce dobrze wysuszyło, wstawiłem je w ogień, a obłożywszy dookoła, paliłem w nim przez parę godzin. Gdy zdawało mi się, że już mają dosyć, wyjąłem z żaru i chcąc spróbować, czy nie przeciekają, nalałem wody. Wtem obydwie naraz pękły i tak przepadł owoc kilkudniowej pracy.

Zmartwiło mnie to niezmiernie, ale nie odstręczało bynajmniej od dalszych prób. Doświadczenie nauczyło mnie dwóch rzeczy. Naprzód, żeby nie robić zbyt wielkich naczyń, bo te daleko łatwiej się psują. Po wtóre, aby wysuszywszy pierwiej na wietrze, wystawić następnie na słońce, a potem wypalać wprzód wolnym, potem coraz mocniejszym ogniem, w końcu zaś znowu żar zmniejszyć i zostawić aż do zupełnego wygaśnięcia w ognisku.

Nadto uważałem, że naczynia wypalają się bardzo źle, jeżeli wiatr miota ogniem. Z zebranych zatem kamieni ułożyłem pod skałą coś na kształt pieca. Kamienie ustawione w półokrąg, przypierający do skalistej ściany jedną stroną, miały z boku mały otwór u dołu, dla lepszego ciągu powietrza. W tym tedy piecu zamierzałem odbywać dalsze próby garncarstwa.

Wyrobiwszy kilkanaście większych i mniejszych garnuszków, wstawiłem je w piec, obłożyłem dookoła gałązkami i podpaliłem je, dokładając potem drzewa coraz więcej. Na koniec, gdy garnki rozpały się do czerwoności, zostawiłem je w tym stanie przez parę godzin. Po wyjęciu i ostudzeniu okazały się wcale dobrymi. Wprawdzie nie miały pięknej formy, ale do użytku nadawały się doskonale i zaraz też sobie ugotowałem w jednym koziego mleka.

Przepyszny był to przysmaczek i od tego czasu codziennie już miałem gorące śniadanie.

Dopiąwszy tak szczęśliwie celu długich zachodów, zabrałem się do robienia większych garnków. Tamte bowiem nie miały większej objętości nad kwaterkę. Już teraz robota szła mi daleko łatwiej, bo nabyłem wprawy, ale zawsze jeszcze garnki nie odznaczały się regularnością ścian. Mniejsza o to, byle tylko służyły do użytku.

Wyrobiwszy z wielką trudnością dwa duże koślawce, podobne do wiader, wypaliłem je należycie, a mając wczoraj zabite koźlątko, postanowiłem ugotować rosół. Nalałem więc wody, osoliłem dobrze i przystawiłem do ognia. Ale ku wielkiemu mojemu smutkowi glina przepuszczała wodę, tak że cała robota na nic się nie zdała. Przyczyną tego zapewne było złe wypalenie. Wstawiłem je więc na powrót w żar, trzymając w nim przez parę godzin.

Po wyjęciu, gdym je począł oglądać, spostrzegłem z podziwem, że garnek w którym była woda, nabrał wewnątrz szkliwa, czyli polewy, drugi zaś wcale nie. Co mogło być tego powo-

dem? Rozważając długo, przyszedłem wreszcie do wniosku, że zapewne sól to sprawiła. Rozpuściwszy więc garść soli w troszce wody, polełem tym roztworem wewnątrz i zewnątrz garnek nie polewany i powtórnie włożyłem w ogień. Wynik przeszedł moje oczekiwania. Garnek nabrał pięknego szkliwa i przystawiony z wodą do ognia, nie przepuszczał jej wcale. Tak więc zdałem egzamin na majstra garncarskiego.

Już było późno na gotowanie obiadu, więc dopiero nazajutrz zająłem się kuchnią. Do wrzącej i osolonej wody włożyłem mięso. Nie było wprowadzić ani włoszczyzny, ani żadnych innych korzeni do przyprawy, ale kto by tam dbał o takie bagatele. Za to w miejsce kaszy lub ryżu, nasypałem wyłuszczonego ziarna kukurydzy.

Chcąc zaprosić się na obiad wytworny i uczcić należycie dzień skosztowania rosółu, nakryłem kamień liściem kokosowym, postawiłem na nim coś podobnego do miseczki, którą przedwczoraj zrobiłem, położyłem obok tego widelec, wystrugany z drzewa, mój nóż i łyżkę, zrobioną z muszli na patyczku osadzonej. Z jednej strony otwarty kokos, z drugiej ananas, miały reprezentować wety. Tak przygotowawszy wszystko, zasiadłem do stołu i odmówiwszy modlitwę, wziąłem się do jedzenia.

Ale rosół mój wcale nie odpowiadał wyobrażeniu, jakie sobie o nim robiłem. Miał smak wodnisty i był bardzo cienki. Ziarnka kukurydzy odznaczały się za to daleko przyjemniejszym smakiem, aniżeli surowe, a mięso było przewyborne. Późniejsze doświadczenie nauczyło mnie, że chcąc mieć dobry rosół, trzeba mięso nastawić w zimnej wodzie, o czym wie dobrze każda kucharka, a czego niestety nie wiedziałem i co dopiero w parę miesięcy później przypadkowo odkryłem.

Nieraz przypadek naprowadził mnie na jakiś nowy wynalazek. I tak razu jednego zbierając w lesie chrust na ogień, zabrałem gałąź z patatami sądząc, że korzenie grube i bulwiaste będą się paliły wybornie. Po wygaśnięciu ogniska ujrzałem je nie spalone, ale tylko zwęglone z wierzchu. Obdarłszy skórę, znalazłem wewnątrz miążgę żółtą, mączystą, wydającą przyjemny zapach. Kosztuję, smak bardzo miły, podobny do ziemniaków, których jeszcze wówczas nie znałem, bo dopiero podczas mego wygnania zaczęły rozpowszechnić się w Anglii.

Od czasu rozniecenia ognia i zrobienia garnków życie moje wielkiej uległo zmianie. Nie żywiłem się teraz, jak dziki człowiek, surowiznami, lecz co dzień na śniadanie miałem garnek grzanego mleka, a do tego zamiast bułki, ziarnka gotowanej kukurydzy. Na obiad rosół, albo dla odmiany kawał pieczeni to koziej, to zajęczej, niekiedy znowu pieczone z papugi lub innego jakiego ptaka. Deser stanowiły kokosy, ananasy lub banany. Wieczereczkę miewałem z mięsnych resztek obiadu, z dodaniem dwóch lub trzech patatów, upieczonych w popiele. Przystawkami do tych dań bywały ostrygi, żółwie lub ptasie jaja na twardo albo na miękko ugotowane oraz morskie raki, które nieraz po odpływie morza chwytalem.

Jadło to pożywne, bardzo zbawiennie wpływało na moje zdrowie, wycieńczone przebyta chorobą. Wyglądałem czerstwo i odzyskałem dawne siły.

## XXII

### **Zbiór i siew. Nieudane zniwo. Kosz i buty. Wycieczka w głąb wyspy. Czarowna dolina. Pałac letni. Melony. Zabłąkanie się. Bawelna. niespodziewany przyrost inwentarza.**

Podczas tych zatrudnień zaglądałem do kłosów jęczmienia, wznoszącego się na brzegu morskim, nie mogąc doczekać się ich dojrzenia. Zapewne sądzisz, czytelniku, że miałem ochotę zrobić z ziarna jaką potrawę? Bynajmniej. Chodziło mi o rozmnożenie tego użytecznego zbo-

za na mojej wyspie. I dlatego też, gdy dojrzały, ściałem je nożem i zaniósłem do domu. Po wykruszeniu było przeszło półtorej kwarty jęczmienia. Mając od dawna obrane miejsce w pobliżu jaskini, skopałem je moją motyczką i zasiałem połowę zboża, zachowując drugą na przypadek nieurodzaju.

Przezorność ta wyszła mi na dobre, gdyż jako niedoświadczony rolnik nie wiedziałem, że siew należy przedsięwziąć po przeminięciu pory deszczowej, a to już większa połowa lata upłynęła. Zasiany jęczmień wypaliło słońce, a choćby był wzrósł jak należy, kłosa nie miałyby czasu dojrzeć. Tym sposobem cały zbiór przepadł.

Wtedy dopiero przypomniałem sobie, że w Brazylii ani tytoniu nie sieją, ani nie sadzą trzciny cukrowej w lecie. Nauczka ta posłużyła mi na przyszłość, czekałem więc z resztą zasiewu do przeminięcia pory deszczowej, mającej już wkrótce nastąpić.

Parę odkryć w ostatnich czasach dokonanych, mianowicie też soli i patatów, nakłoniło mnie do przedsięwzięcia podróży na większą skalę, w celu dokładnego poznania całej wyspy. Postanowiłem więc skorzystać ze schyłku lata i zapuścić się jak będzie można najdalej.

Przed rozpoczęciem podróży użyłem kilku dni na uplecenie kosza, mającego mi służyć zamiast tłumoczek do zbierania różnych znajdujących przedmiotów. Robota ta nadspodziewanie poszła szybko i udatnie, tak iż miałem spory kosz na plecach, do którego przyprawiłem szerokie pasy z włókien bananowych.

Następnie zająłem się obuwem. Moje łapcie łykowe dawno się już podarły i znosiłem ze dwie pary innych. Trzeba było użyć trwalszego materiału. Skóry kozie, jako tako wyprawione, posłużyły mi na ten cel wybornie. Wykroiłem z nich wierzchy z wysokimi cholewami, a podeszwę dałem z grzbietu podwójnie złożonego. Pomiedzy te dwie skóry włożyłem podeszwę z grubego łyka, ażeby kamienie i ciernie nóg mi nie kaleczyły. Zamiast zaś dratwy, posłużyły struny z kiszek zwierzęcych ukrecone. W ten sposób udało mi się sporządzić buty nadzwyczaj niezgrabne, ale cieszyłem się nimi jak mały chłopiec, gdy go rodzice pierwszymi butami obdarzą.

Wyekwipowany i uzbrojony już zabierałem się do wyjścia, gdy wtem przyszło mi na myśl, że przez czas mojej nieobecności kozy zamknięte pozdychają z głodu, albo też puciekają do lasu, jeżeli je na wolności zostawię.

Nowy kłopot i zwłoka w wycieczce. Przez dwa tygodnie blisko zbierałem po całych dniach siano i suszyłem dla moich żywicieli. Nareszcie zgromadziłem dwa duże stogi wewnątrz zagrody kamiennej i tam też z wielkim trudem umieściwszy kozy, mogłem puścić się w drogę. Napoju miały pod dostatkiem w pobliskim źródle.

Podróż rozpocząłem, idąc w górę strumienia przerywanego moją doliną. Ciągnął on się dosyć daleko w głąb wyspy, przechodząc to przez lasy, to znowu przez ładne łąki i równiny. W niektórych miejscach pędził z szumem, w innych płynął bardzo wolno i rozlewał się w różnej wielkości jeziora. Obydwa brzegi okrywała bujna roślinność. Napotkałem dziki tytoń, ale krzew ten na nic mi się przydać nie mógł. Znużony drogą, uszedłszy przeszło dwie mile, przenocowałem na drzewie.

Na drugi dzień wszedłem w obszerne lasy, których olbrzymie drzewa zasłaniały mi niebo. Cisza tu panowała niezmierna. Zdawało się, że wszystkie zwierzęta pierzchły z tej posępnej i głuchej puszczy. Lękałem się napotkać jadowite węże, zwykle w takich miejscach przebywające, na szczęście jednak nie widziałem ich wcale.

Spiesznie, o ile można, przebywałem las, ażeby jak najprędzej wydostać się na pole. Poza lasem ciągnęła się piękna dolina, z północy dotykająca boru. Od wschodu i zachodu otaczały ją wzgórza skaliste, od południa zasłaniały znacznej wysokości góry. Długość jej mogła wynosić milę, szerokość nieco więcej niż pół mili angielskiej.

Pyszna zieloność trawy, zaścielającej dolinę nadobnym kobiercem, nadzwyczajnie mię zachwycała. Tu i ówdzie rosły gaiki palm kokosowych, urozmaicając okolicę, z boku zaś błękitna wstęga czystej jak kryształ rzeczki dopełniała piękności tego miłego ustronia. Dodajmy do

tego, że góry, zasłaniające je od południa, łagodzą skwar klimatu, nie dopuszczając gorącego wiatru.

Pół dnia przepędziłem w tym miejscu, zwiedzając we wszystkich kierunkach rozkoszną dolinę. Zdawało mi się, że jestem w jakimś przepysznym ogrodzie. Dlaczegoż nie znalazłem jej zaraz po moim przybyciu na wyspę i nie obrałem tutaj mieszkania!

Zachwycenie moje jeszcze się powiększyło, gdy w jednym miejscu znalazłem dużo dzikich melonów. Były one wprawdzie kwaskowate, ale przez przesadzanie i pielęgnowanie mogły nabrać właściwego i przyjemnego smaku. Urwałem parę i wrzuciłem do kosza.

Noc przepędziłem na stromej skale, zabezpieczającej mnie od napadu drapieżnych zwierząt. Lecz powiedziawszy prawdę, nie bałem się ich zupełnie, bo nie widziałem dotąd ani jednego.

Nazajutrz zamiast iść dalej, zacząłem się namyślać, czy by nie lepiej było przenieść się tutaj ze wszystkimi bogactwami. Ale zastanowienie, iż stąd morza wcale nie widać, nakłoniło mnie do pozostania przy moim warownym zamku. Tutaj bowiem, mieszkając lat kilkanaście, nie ujrzałbym pewnie okrętu, mogącego wybawić mnie z wyspy.

Jednakże po długiej rozwadze przyszło mi na myśl zrobić tutaj letnie mieszkanie i czasami, dla urozmaicenia, bawić czas niejaki. Mają królowie letnie rezydencje, magnaci wille, dlaczegoż byś ty, panie Robinsonie, jedyny władca tej pięknej wyspy nie miał sobie założyć letniego pałacu?

Nie zwłóczęc długo, wziąłem się do ścinania bambusów, a nagromadziwszy potrzebną ilość materiału, zbudowałem chatkę podobną nieco do zagrody, dla kóz zrobionej. Żerdki bambusowe wkopywałem w ziemię, o trzy centymetry jedna od drugiej w czworobok. Ściany przeplatałem chrustem, a dach pokryłem liściem kokosowym. Ażeby zaś kozy albo inne zwierzęta nie dostały się do mej chaty, ogrodziłem ją parkanem z żerdek. Robota ta zabrała mi blisko dwa tygodnie.

Wielki był czas do powrotu. Co też tam biedne moje kozy porabiają. Może im siana nie starczyło i pozdychały z głodu. Myśl ta dreszczem mię przeniknęła. Porzuciłem więc czarowną dolinę i puściłem się ku domowi. Przed odejściem jednak, na wzgórzu, z którego było widać morze, ułożyłem stos kamieni jako znak dokąd na wycieczce zaszedłem, ażebym później mógł rozpoznać to miejsce, jeżeli z innej strony zapuszczę się na wędrowkę po wyspie.

Zaledwie wszedłem do lasu, gdy niebo zachmurzyło się i deszcz zaczął padać. Przez trzy godziny przeszedłem siedziałem we wnętrzu wypróchniałego drzewa, chroniąc się przed burzą. Ale i przez ten czas nie próżnowałem, zbierając próchno drzewa, obficie tu się znajdujące, a mogące mi posłużyć do rozniecenia ognia.

Po ustaniu deszczu, opuściwszy mą kryjówkę, znalazłem się w bardzo przykrym położeniu. Słońce ukryło się za chmurami, a ja zupełnie zapomniałem, w którą stronę iść należy, ani rozpoznać nie mogłem, skąd przyszedłem. Trzeba było puścić się na los szczęścia. Kilka godzin przeszło na daremnym błąkanii się po lesie. Nareszcie się ściemniło, i musiałem znowu na drzewie szukać noclegu.

To mię zaniepokoiło niezmiernie. W takiej gęstwinie można i tydzień błądzić, a tymczasem w domu wszystko marnieje. Na koniec przypomniałem sobie, iż ktoś opowiadał mi przed laty, że drzewa w lasach zwykle z północnej strony porastają mchem. Zacząłem pilnie przypatrywać się pniom i w istocie po jednej stronie obfitowały w porosty, a ponieważ zamek mój leżał na południu, należało więc iść w przeciwnym kierunku, co też uczyniłem.

Po całodziennym prawie wędrowce rozpoczętej na drugi dzień, wyszedłem na koniec z lasu. Niechaj się nikt nie dziwi, że pochod mój trwał tak długo, albo nie myśli, że bór był bardzo obszerny. Przeciwnie, długość odbytej drogi nie wynosiła więcej jak pięć mil, ale kto nie przebywał lasów podzwrotnikowych, ten nie ma wyobrażenia, jak mozolnym jest pochod w tych nieprzebytych zaroślach. Dlatego też szedłem bardzo powoli, z mozołem torując sobie



drogę nożem wśród liści lian i innych powojowatych roślin, zarastających na każdym kroku przejście.

Miejsce, na które wydostałem się z lasu, było wybrzeżem morskim, wcale mi nieznanym. I to znowu zaskoczyła mnie nieświadomość, w którą stronę obrócić kroki wypada, ażeby dostać się do domu. Zdawało mi się, że trzeba puścić się ku zachodowi, lecz ponieważ w czasie dawniejszej wycieczki zwiedziłem stronę wschodnią, a do tego miejsca nie doszedłem, więc rzecz oczywista, że mieszkanie moje leżało na wschodzie.

Idąc w tym kierunku, napotkałem w jednym miejscu szeroko rozścielone krzaki, jak gdyby pierzem porosłe. Zbliżywszy się ku nim, ujrzałem kolczaste, zielone, popękane owoce, z których wydobywał się jakiś mech biały. Natychmiast przyszła mi na myśl bawełna, której wprawdzie rosnącej nigdy nie widziałem, ale opowiadano mi, jak wygląda krzew ją wydający. Wydobyte zaś kłaczki były nadzwyczaj podobne do waty, tylko mnóstwem ziarenek zanieczyszczone. Nazbierałem ich sporo i zabrałem ze sobą.

Raz jeszcze przenocowawszy na drzewie, po kilkugodzinnym pochodzie dostałem się przecież do domu. Zrzuciwszy kosz z melonami i bawełną, przeskoczyłem co żywo mur zagrody, ażeby zobaczyć, co się dzieje z kozami. Biedne stworzenia na mój widok zaczęły żałośnie beczeć, jakby skarżąc się, że o nich zapomniałem. Ze stogu siana prawie nic już nie pozostało. Gdybym jeszcze parę dni zabawił, pozdychałyby z głodu.

Ale zdziwienie moje było ogromne, gdy zamiast trzech kóz, zastałem pięć. Podczas mej wędrówki urodziło się dwoje koźląt, a ujrzawszy mnie, zaczęły pocieszne wyprawić skoki. Zwiększona trzódka wymagała pieczy. Przyniosłem świeżej trawy, stare kozy rzuciły się na nią chciwie, a kozioł na podziękowanie palnął mnie porządnie rogami.

Takie zuchwalstwo poddanego nie mogło ująć bezkarnie. Wykropiłem też prętem koziołeczka, a lekarstwo to tak posłużyło, że od tego czasu był dla mnie z największym respektem.

Ponieważ dla kóz nie mogłem zaniedbywać wycieczek, należało więc dla nich zrobić zagrodę, w której mogłyby się paść bez możliwości ucieczki do lasu. Ogrodzenie to powinno być obejmować kawał łąki, zarosłej trawą i krzewami. O łąkę nietrudno, ale z czego zrobić ogrodzenie?

Zostawmy to do jutra, a tymczasem, nakarmiwszy kozy, trzeba pomyśleć o posileniu siebie. Wziąłem się zatem do rozniecenia ognia i po półgodzinnym usiłowaniu buchał wesoło jasny płomień, a przy nim obracał się na drewnianym rożnie zajacek, którego zastrzeliłem po drodze. Pieczeń smakowała mi znakomicie, bo też od osiemnastu dni nic ciepłego nie jadłem, żywiąc się podczas wycieczki kukurydzą i owocami.

## XXIII

### **Ogrodzenie dla kóz. Opuncje. Rocznicą przybycia na wyspę. Jak ten dzień przepędziłem. Rozmyślenia nad upłynionym rokiem. Modlitwa.**

Nazajutrz rano siedziałem parę godzin pogrążony w myślach, z czego zrobić dla mych kóz ogrodzenie. Najlepszy byłby bambus, lecz naprzód rósł bardzo daleko, a po wtóre nóż mój stępsiał bardzo, a nie chciałem go zbyt często ostrzyć, aby się za prędko nie zużył. Wreszcie ścinanie bambusów było rzeczą mozolną. Podczas budowania letniego mieszkania poodgniałem sobie skórę na dłoni i przez parę dni cierpiałem z tego powodu.

Przeleciało mi przez głowę, ażeby zrobić ogrodzenie z kamienia, ale myśl ta była tak niedorzeczna, że ją natychmiast porzuciłem. Ogrodzenie powinno być obejmować przestrzeń

przynajmniej parę morgów zajmującą. Trzeba więc było ułożyć parkan z kamieni, przynajmniej 60 metrów długi, a znoszenie i układanie wymagało najmniej dwóch lat pracy.

Nareszcie wpadłem na pomysł, oszczędzający mi czasu i pracy. W pobliżu mego mieszkania rosło mnóstwo opuncji, kolczastych roślin, dochodzących nieraz do ośmiu stóp wysokości. Roślina ta, podobna do kaktusa, mnożyła się i rosła prędko. Silne kolce nie pozwoliłyby umknąć kozom przez taki żywopłot. Zamiast jednak zakładać ogrodzenie na otwartym polu, postanowiłem przeprowadzić je koło skalistej ściany półokręgiem tak, żeby dwoma końcami dotykała skał.

Natychmiast zaznaczyłem kamykami okrąg i wziąłem się do poruszania ziemi. Grunt był w tym miejscu pulchny, robota więc szła łatwo. Po skopaniu kawałka, zasadzałem go zaraz opuncjami. Tylko znoszenie tych kolczastych roślin kosztowało mnie nie tyle zachodu, ile zadraśnień, bo ostre ciernie kłuły mi ręce i plecy. Aby tego uniknąć, zrobiłem rodzaj sanek z gałęzi, nakładałem na nie wykopane rośliny i przywłóczyłem do miejsca przeznaczenia. Tym sposobem co dzień 10 do 12 metrów bieżących zasadzało się żywopłotem, a ponieważ on trzystu pięćdziesięciu metrów długości nie przechodził, więc w przeciągu miesiąca skończyłem zagrodę.

Mimo to kozy trzymałem wciąż zamknięte w oborze, znosząc im trawę. Przykrzyło się biednym zwierzętom, lecz nie mogłem ich dotąd wypuszczać, dopóki się nie przyjęły rośliny. Ma się rozumieć, że stajenka znajdowała się wewnątrz ogrodzenia.

Podczas roboty upały były tak wielkie, iż musiałem zdjąć zajęcze ubranie, a przywdziać dawne. Ale i to nowe tak się podarło, że trzeba było pomyśleć o innym.

Razu jednego, licząc kreski na moim kalendarzu, narachowałem ich 365, a ponieważ rok był przestępny, zawierający 366 dni, zatem nazajutrz wypadła rocznica przybycia mego na wyspę, czyli dzień: *23 września 1664 roku*.

Postanowiłem go uroczyście obchodzić, a porzuciwszy wszelkie zatrudnienia, poświęcić go rozmyślaniu. Przysposobiłem trawy dla kóz, aby jutro i tym sobie nie rozpraszać uwagi.

W jakim uczuciu obudziłem się drugiego dnia ten tylko pojmie, co oddalony od rodzinnej ziemi, od ukochanych rodziców i krewnych, w smutku i samotności dni przepędza.

Od ranka nie wziąłem wcale w usta pokarmu, postanowiwszy pościć dzień cały na pamiątkę okropnych chwil rozbicia, na podziękowanie Stwórcy za cudowny ratunek.

Potem udałem się do mej świątyni i tam u stóp krzyża długo, długo modliłem się ze łzami.

Następnie usiadłszy na ławce kamiennej, począłem wspominać wszystko, co mnie spotkało od opuszczenia domu rodzicielskiego.

Dostałem się do niewoli w Sale 25 września i morze wyrzuciło mnie na wyspę w tymże samym dniu. Był to więc dzień jakiś fatalny, czyli jak starzy ludzie nazywają, feralny dla mnie. Zdawało się, że przez dopuszczenie nieszczęść na mnie w dniu potajemnej ucieczki z domu kochanych rodziców, Bóg chciał wyraźnie mi okazać, iż karze mnie za nieposłuszeństwo.

W pierwszych miesiącach mego wygnania, nieraz z niecierpliwości i tęsknoty bluźniłem Stwórcy, ale jeżeli mnie jakie pomyslnie spotkało zdarzenie, nie pomyślałem wcale, aby podziękować Opatrzności za nie.

Tymczasem przyciśniętemu ciężką niemocą zesłał najmiłosierniejszy Ojciec, cudowny, że tak powiem, sen, który mnie nawrócił i w innego przemienił człowieka.

Dzisiaj spokojnie spoglądam w przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Dziś w każdym wypadku szukam dobrej strony i wszystko przyjmuję w pokorze, co Bóg na mnie ześle. Nie narzekam na brak rozmaitych rzeczy, do uprzyjemnienia życia niezbędnych, ale dziękuję za to, co mi Opatrzność mieć dozwoliła.

Co dzień wstając i kładąc się spać, dziękuję Panu memu za moje położenie, za wytrwałość w znoszeniu niewygód i natchnienie do pokonywania rozmaitych trudności i nieraz myślę o tym, że jest bardzo wielu ludzi, którzy doświadczywszy jakiejś przeciwności, wyrzekają z

placzem: o Boże, czyż może być kto nieszczęśliwszy ode mnie! A jednakże, gdyby porównali los swój z nieszczęściami i przeciwnościami tysiąca bliźnich swoich, gdyby rozważyli, co by się działo z nimi, jeżeliby podobało się Opatrzności wtrącać ich w takie położenie, zaręczam, że przestaliby narzekać na swą niedolę, z bojaźni, aby Bóg w gorszą ich nie wtrącił.

Życie moje, kiedym się dobrze nad nim zastanowił, nie było tak oplakane, jakby się to niejednemu czytelnikowi wydawać mogło. Czy nie zasłużyłem na daleko gorsze położenie? Wychowany w domu rodzicielskim w zasadach religii i moralności, uczony bojaźni Bożej i wypełniania obowiązków względem bliźnich, jakież prowadziłem życie, wyszedłszy w świat? Czyż żyjąc pomiędzy marynarzami, choć raz zwróciłem myśl ku Bogu? Czyż trudniąc się plantatorstwem, dziękowałem Stwórcy za urodzaje lub o błogosławieństwo prosiłem? Czyż choć raz ukorzyłem się przed Sędzią sprawiedliwym, prosząc o przebaczenie popełnionych błędów?

Łaski doznane od Boga, niemal cudowne, jak na przykład ucieczka z mauretańskiej niewoli, przyjęcie przez kapitana portugalskiego, ocalenie życia, wtenczas kiedy wszyscy moi towarzysze zginęli, świetne powodzenie w pierwszej podróży do Gwinei i podobnie w Brazylii, czyż, powtarzam, te łaski wywołały z ust moich choćby te słów parę: dzięki Ci, Boże!? Wspominałem wprawdzie Twe święte Imię, ale tylko w strachu, gdy zagrożony utratą życia, wołałem: o mój Boże, ratuj mię! Lecz gdy niebezpieczeństwo przeminęło, ani pomyślałem, że mię Bóg ocalił.

Od czasu mego snu i nawrócenia się, wspomnienie dawnego życia ciążyło mi okropnie i nieraz drżałem na myśl, że Bóg jeszcze bardziej ukarać mnie może. Ale gdy rozważyłem, jak Stwórca, z nieograniczoną dobrocią, na którą nie zasłużyłem wcale, wspierał mnie na każdym kroku i zamiast ukarania, wciąż nowymi obdarzał łaskami, naówczas nabierałem otuchy i nadziei, że może zdołam przebłagać sprawiedliwość Sędziego, że może raczy przebaczyć skruszonemu sercu i serdecznemu żalowi i nie odmówi swego miłosierdzia.

Wieczorem, odchodząc od krzyża ustrojonego w najpiękniejsze kwieciste wieńce, czułem w sercu tęsknotę, jak gdybym się z objęć rodzicielskich wydzierał. Zawróciłem raz jeszcze i uklękawszy, modliłem się długo nie za siebie, ale prosząc Boga o zdrowie, długie życie i pocieszenie moich osieroconych rodziców.

Tak zakończył się dzień pierwszej rocznicy mego wygnania.

## XXIV

### **Zima. Uporządkowanie mieszkania. Dwa kostiumy. Rozprze- strzenie jaskini. Lampa. Wata. Olej z orzechów kokosowych. Stół i krzesła.**

W połowie października rozpoczęła się na dobre pora dżdżysta, a z nią bardzo przykre chwile, bo nieraz po całych dniach musiałem siedzieć w domu. Przy tym znowu jak w zeszłym roku pojawiły się chmary moskitów. Przez niejaki czas nie mogłem sobie z nimi dać rady, lecz raz, gotując obiad spostrzegłem, że uciekają od dymu. Ucieszony tym odkryciem, przeniosłem kuchnię do wnętrza jaskini, czego nawet wymagała potrzeba, gdyż chociaż dawna znajdowała się pod wystającą skałą, ale i tak często ją deszcz zalewał.

– Poczekajcie, nieproszeni goście, zawołałem rozpalając ogień, ja was tu zaraz nauczę, co to jest cisnąć się tam, gdzie kogo nie lubią. Wnet dym napełnił wnętrze groty, a szanowne zgromadzenie wyniosło się z pośpiechem. Odtąd po całych dniach tlił się ogień, a chociaż

dym nieraz porządnie gryzł mnie w oczy, wolałem znosić tę niedogodność, aniżeli narażać się na ostre ukłucia skrzydlatych pijawek.

Pomimo przymusowego siedzenia w domu nie brakowało mi wcale roboty i nie doświadczałem nudów. Czasami, gdy deszcz przestał padać, wybiegałem zastrzelić zająca lub ptaka, bo o kozach, przebywających daleko od mieszkania, nie można było myśleć. Zbierałem też pataty i kukurydzę, a w jednej z takich wycieczek odkryłem nową pożyteczną roślinę, to jest ignamy, które i smakowały mi bardzo, i urozmaicały zastawę stołu.

Jedna tylko rzecz wielce mi dokuczwała, a mianowicie brak suchego drzewa. Nie zaopatrzyłem się w nie podczas lata, a teraz ani o tym myśleć nie było można, bo chociaż czasem dzień lub dwa słońce świeciło, to wszystko w lesie było tak przejęte wilgocią, iż w przypadku zagaśnięcia ognia nie byłbym go w stanie rozniecić. Pilnie więc utrzymywałem ognisko, dokładając na noc gałęzi, a z rana rozdmuchując troskliwie tlejące węgle.

Korzystając z pory zimowej, umyśliłem załatwić się z kilku ważnymi robotami, ażeby, gdy nadejdzie lato, mieć więcej czasu do wycieczek i polowania. Robotami tymi było przysposobienie sukien, uporządkowanie mieszkania i zrobienie sieci.

Miałem kilka skór kozich i kilkanaście zajęczych, było więc dosyć na dwa garnitury. Dwóch też koniecznie potrzebowałem. Jednego lżejszego na lato, drugiego zaś dogodnego na porę deszczową.

– Jaki z ciebie elegant, panie Kruzoe, mówiłem, uśmiechając się. Przed pół rokiem chodziłeś obtargany jak dziad, teraz już ci się zachciewa dwóch garniturów. Niedługo może będziesz potrzebował karety i cugowych koni. Możesz sobie jednak pozwolić na zbyt kowne ubranie, boś na nie zapracował.

Pokrajałem suknie na wzór dawniejszych, a naprzód z odpadków pozostałych zrobiłem wysoką spiczastą czapkę, włosom na wierzch obróconą, ażeby osłaniała mnie od deszczu. Potem uszyłem kaftan krótki, spodnie do kolan i kamasze. Wszystko to było krajane obszernie, aby nie przylegało do ciała.

Po ukończeniu pierwszego garnituru, zrobiłem drugi lżejszy, także obrócony włosom do góry, a uszyty z samych zajęczych skórek. Obydwa wyglądały arcykomicznie, ale z tym wszystkim były bardzo wygodne, bo gdym pierwszy raz ubrał się w kostium kozi i wybiegł na deszcz, ani kropelka wody nie dostała się do skóry.

Następnie zabrałem się do rozprzestrzenienia jaskini. Dzida i motyka były jedynymi narzędziami, jakie do tej pracy posiadałem. Wkrótce pomnożyło je trzecie. Znalazłszy nad morzem dużą muszlę, szeroką i dość płaską, sporządziłem z niej rodzaj jakiejś takiej łopaty, służącej do nakładania ziemi. Wynosiłem ją w koszu na plecy, wysypując wzdłuż muru od środka.

Praca ta jednak była bardzo męcząca i dlatego tylko z rana, mając świeże po wyspaniu się siły, zajmowałem się kopaniem, całe zaś popołudnie obracałem na robienie sieci. Włókna leżały jeszcze przysposobione od wiosny, ale robota szła nadzwyczaj trudno. Wiązanie było bardzo mozolne, a co chwila włókna plątały się, co mnie tak niecierpliwiło, że nieraz chciałem się wyrzec posiadania sieci.

– Zrażasz się taką drobnostką, mówił mi głos wewnętrzny, a gdzież wytrwałość i cierpliwość?

– Ależ bo to robota nieznośna, odpowiadałem sam sobie.

– A rybki czy smaczne?

– Bez wątpienia, lecz można się bez nich obejść.

– To prawda, ale bardzo niepięknie zaczynać jaką robotę, a nie dokończyć z powodu lenistwa.

– Nie wiem, czy to można nazwać lenistwem, jeżeli się komu nie darzy.

– Nie znam innego wyrazu na oznaczenie tej mniemanej niezdarności. Wszak wiele różnych trudnych dokonałeś rzeczy. Dołóż tylko pilności, a zobaczysz, że się siatka uda.

Przekonawszy tak sam siebie, brałem się na nowo do pracy, lecz wieczór wcześniej zapadający nie dozwalał mi długo pracować, a robota szła wolno. Przy blasku ogniska robić nie mogłem, bo płomień był ciemny i migotliwy.

– Aj, aj, Robinsonku, zawołałem raz, uderzając się w czoło. Jakież z wasindzieja mazgaj. Masz glinę, ogień i tłuszcz kozi i nie pomyślałeś dotąd o lampie. Widocznie się starzejesz i zaczyna ci konceptu brakować.

Dalej więc po glinę i nuż ją ugniatać, a potem formować lampkę. Hm, jaki jej tu kształt nadać, jak i gdzie knot umieścić, żeby się dobrze palił? Nareszcie zrobiłem miseczkę objętości kwaterki, mającą z jednej strony dzióbek do umieszczenia knota, z drugiej uszko. Wypaliłem ją dobrze, a potem pomazałem gęstym roztworem soli kuchennej i znowu w ogień. Polewa udała się przepysznie, a lampka była dość zgrabna.

Teraz szło o knot. Chciałem go zrobić z rękawa starej koszuli, lecz płótno nie dało się dobrze skręcić, a mogło przydać się na co innego. Chodziłem po jaskini, szukając czegoś na knot stosowniejszego. Wtem ujrzałem mech bawełniany, przyniesiony z ostatniej wycieczki. Przewyborna rzecz, trzeba tylko wprzód oczyścić bawełnę z ziarenek, których miała mnóstwo. Położyłem ją na kamieniu płaskim, a potem bijąc kijem, oddzieliłem ziarna od puchu. Mimo to nie dała się skręcić. Ha, trzeba ją zgęplowić, pomyślałem i natychmiast wziąłem się do wykonania tego zamiaru.

Ciekaw jesteś zapewne, młody czytelniku, gdzie się nauczyłem gęplowania waty. Otóż powiem ci pod sekretem, że kiedy byłem w twoim wieku, to jest miałem około dziesięciu lat, w podwórzu naszego domu mieszkała stara Alicja, waciarka. Jak tylko upatrzyłem chwilę wolnego czasu, biegłem natychmiast do staruszki i nieraz tak się zagapiłem, patrząc na jej robotę, że mię ojciec za uszko wyciągał, pędząc do nauki.

Alicja miała sprzęt podobny do harfy, tylko daleko węższy i o jednej grubej, kiszkowatej strunie. Umieściwszy go na stole, nakładała surowej bawełny i brzdąkała palcem po strunie, która ją wybornie roztrzepywała. Z niej później układała arkusze, smarowała po obydwóch stronach białkiem od jaja, z czego powstawała wata.

Ani myślałem wówczas, że przypatrywanie się tej robocie kiedyś mi się przyda. Nie miałem wprawdzie harfy, ale były gałęzie i struny, a z tego można było gęplarkę sporządzić. W pół godziny była gotowa. Zamiast na stole, rozłożyłem bawełnę na dużej płycie i zacząłem trącać w strunę.

Zaledwie jednak trąciłem kilka razy, kiedy ten szelest znany żywo mi przypomniał szczęśliwe chwile dzieciństwa. I ja, mężczyzna dwudziestosześcioletni, rozplakałem się jak dziecko. Długo, długo nie mogłem się utulić. Dom rodzicielski stanął mi w oczach. O, Boże, mój Boże, jakże te szczęśliwe dni prędko minęły.

O, mój młody przyjacielu, gdy czytasz te wyrazy, jesteś jeszcze szczęśliwy, jak ja niegdyś byłem. Używasz na łonie drogich rodziców błogich chwil spokoju, jakiego w późniejszym czasie nigdy nie zaznasz. Szanujże je, ciesz się każdą godziną i zachowaj w serduszku. A gdy przyjdiesz do lat moich, wspomniawszy o nich, zawołasz mimo woli: świętą prawdę mówił Robinson, jakże prędko minęły te dni szczęśliwe.

Ale wróćmy do lampy. Z ugęplowanej waty ukłęciłem knot. Pozostało jeszcze tylko postarać się o tłuszcz. Nie myśląc, że go kiedyś będę potrzebował, rzucałem na bok kawałki koziego łoju, jako bardzo nieprzyjemnego w jedzeniu. Jakże mi go teraz żal było. Wynalazłem wprawdzie w pobliżu dawnej kuchni nieco odpadków, ale były nieświeże, trzeba je było przetopić.

I oto nowa robota! Musiałem zrobić płaską rynkę do wytapiania łoju, opatrzyć polewą, a potem dopiero zająć się tłuszczem. Całego dnia wymagało wypalenie. Dwie rynki pękły, aż trzecia dosyć mi się udała.

Trzeba było widzieć, z jakim zadowoleniem zasiadałem wieczorem przy mojej lampce, wiążąc do późna sieć. Ale radość niedługo trwała, bo po czterech dniach skończył się zapas tłuszczu.

A więc cztery dni tylko miałem światło. Trudno, trzeba się tym cieszyć, co jest, ale za to jeżeli. Boże broń, zostanę na drugą zimę na wyspie, to niezawodnie przysposobię zapas drzewa i tłuszczu, ażebym nie potrzebował tak jak w tym roku biedować.

Po jakimś czasie umyśliłem wybrać się naumyślnie przy pierwszym lepszym pogodnym dniu na orzechy kokosowe, dla spróbowania, czy mi się nie uda z nich wycisnąć oleju. Jako też w tydzień potem, wzięwszy kosz, poszedłem do miejsca, gdzie rosły obficie. Aby jednak skorup darmo nie dźwigać, rozbijałem je na miejscu, przy czym opilem się dużo mleka. Za powrotem do domu dostałem dreszczy i bólu głowy. Przeraziło mnie to bardzo. Myślałem, że febra wraca znowu. Rozpaliłem ogień i ugotowałem rosół, a wypiwszy gorący, okryłem się dobrze i społem. Szczęściem skończyło się na strachu. Widać, że zbyt użył mleka kokosowego, a może też wilgoć w lesie, przyprawiły mnie o tę słabość. Postanowiłem unikać jej jak ognia.

Drugiego dnia rano zabrałem się do fabrykowania oleju. Na gładkim kamieniu tłukłem naprzód ziarna kokosowe na miazgę, ogrzewałem potem w rynce przy ogniu, mieszając, aby się nie przypaliły. Nareszcie, umieściwszy w woreczku od zboża i zawiązawszy go sznurkiem, wygniatałem pomiędzy dwoma rozgrzanymi kamieniami. Tym sposobem otrzymałem przeszło pół kwarty tłuszczu. Nieco wsiąkło w worek, a trochę się rozlało. Tak znowu mogłem przez cztery dni cieszyć się światłem mojej lampy.

Z tym wszystkim siedzenie na ziemi było mi nieznośne, brak stołu i krzesła wciąż odczuć się dawał, a nie wiedziałem, jak mu zaradzić. O nogi mniejsza, te można było zrobić z gałęzi, ale skąd wziąć deski, wszakże jej nożem nie wystrugam.

A gdybyś uplótł sobie płyty na stół i krzesło z prętów, koszykarską robotą? Pomysł wcale niezły, trzeba go tylko wykonać. Natychmiast naciałem gałązek z drzewa nieco do wierzby podobnego, zacząłem pleść, a po kilku próbach udało się sklecić upragnioną płytę. Wkopawszy cztery gałęzie równej wysokości w ziemię, umieściłem na nich płytę i przymocowałem ją spodem włóknem pizangowym.

Teraz należało zrobić stół przenośny. Namęczyłem się nad nim krwawo, nie umiając sobie poradzić. Nareszcie wybrawszy cztery równe paliki, powiązałem je poprzeczkami u góry i dołu. Tak powstało rusztowanie, na którym położyłem płytę.

Mając stół i krzesło, mogłem zasiąść sobie po europejsku przy lampie do wieczerzy i w istocie niepodobna wypowiedzieć, z jakim ukontentowaniem to robiłem. Ręczę, że Aleksander Wielki nie z większą uciechą siadał na Dariuszowym tronie.

## XXV

### **Wiosna. Wycieczka do letniego mieszkania. Uprawa roli. Pułapka na kozy. Przestrach. Ucieczka. Nocleg na drzewie. Powrót do domu.**

Zaledwie słoty minęły, a już wyspa przybrała się w szatę prześlicznej zieloności, lasy okryły się świeżym liściem, łąki świeżymi trawami, powietrze nabrało balsamicznego zapachu, wezbrane strumienie powróciły do swych łóżysk, a roje ptactwa znowu napełniły bór wesołym gwarem. I mnie też tęsknota opuściła, a na widok odradzającej się wiosny i dusza odżyła, i nadzieja wstąpiła w serce.

Gospodarz, rolnik, posiadacz tak znakomitych obszarów ziemi, nie mógł gnuśnieć w bezczynności. Trzeba było pomyśleć o wysianiu trzech kwaterek jęczmienia. To nie żarty grunt pod niego uprawić?

Zabrawszy więc motykę, łopatę, łuk i strzały, wpakowawszy kosz na plecy, osłonięty parasolem, wyelegantowany w letni kostium, puściłem się w drogę do owej pięknej doliny, przed zimą odkrytej. Rozważywszy dobrze jej położenie, udałem się drogą daleko bliższą, wprost przez las.

Zapomniałem powiedzieć, że w ciągu zimy, a osobliwie też przy jej schyłku, zupełnie mięsa mi brakowało. Zające gdzieś się pokryły, o kozach ani słycho, ptaki wyniosły się w inne strony, jednym słowem odbyłem post bardzo ścisły i wyglądałem jak niedźwiedź na wiosnę. W końcu żyłem tylko gotowaną kukurydzą, której miałem zapas i mlekiem. Kozy mało go dawały nie mając paszy dostatecznej, a i tą trochę musiałem dzielić się z kozłętami. Otóż na drugą zimą postanowiłem przygotować zapas solonego mięsa, powiększyć moją trzódkę, aby czasem z niej można wybrać na rzeź kozłatko, a nareszcie postarać się o zapas tłuszczu.

Po trzygodzinnej wędrówce przybyłem do miejsca przeznaczonego. Nic się nie zmieniło od czasu ostatniego mego tutaj pobytu. Na dachu chatki tylko liście pogniły, ale zaraz zastąpiłem je świeżymi i miałem przewyborne letnie mieszkanie.

Całe popołudnie poświęciłem próżniactwu. Jutro, myślałem sobie, wezmę się do pracy, a dziś trzeba użyć wiosny. I, jak chłopiec piętnastoletni, uganiałem się za motylami, zrywałem kwiaty, plotłem wieńce i nareszcie użyłem w czystej jak kryształ rzece kąpieli, która mi posłużyła doskonale. Oczyszczona z zimowych wyziewów skóra stała się elastyczną, a członki dziwnej nabrały giętkości.

Przepędziwszy przyjemnie noc w moim pałacyku, wziąłem się na drugi dzień do uprawy roli. Zdawało się, że to będzie łatwa robota, a tymczasem trzeba było nad nią dobrze się napocić. Naprzód należało ścinać trawę, korzenie jej powydobywać, ażeby chwast zasiewu nie głuszył, a dopiero potem ryc ziemię. W ten sposób pracując, w dwa dni oczyściłem kilkadziesiąt metrów przepysznego czarnego gruntu, zasiałem, a raczej zasadziłem w nim jęczmień, robiąc co osiem centymetrów dołek i kładąc weń ziarnka, po czym wyrównywałem wszystko, przydeptując z lekka.

Że jeszcze spory kawałek ziemi wolnej pozostał, zasadziłem na niej kilkanaście sadzonek melona w dołkach, umyślnie nieco głębiej dla utrzymania wilgoci i ochrony od wiatru. Ukończywszy te roboty, ogrodziłem półko płotkiem z źerdeł bambusowych, powtykanych na krzyż w ziemię, ażeby zające antylskie albo kozy zasiewu nie zniszczyły.

Nad wieczorem poszedłem ku bliskim skalistym wzgórzom, chcąc obejrzeć znak przed zimą zrobiony ale całkiem inna okoliczność zajęła mą uwagę. Pomiedzy skałami a wąwozem wiła się drożyna, jakby wydeptana. Przyglądając się uważnie tej ścieżce, dostrzegłem liczne ślady kóz. Widać więc, że tędy przechodziły na sąsiednią dolinę. Widok tych tropów naprowadził mnie na myśl urządzenia pułapki. Miałem wprowadzić w domu cztery kozy i kozła, ale w czasie zimowym brak mięsa dotkliwie uczuwać się dawał. Zwierzęta te pierzchliwe, były bardzo trudne do podejścia. Nieraz chcąc je zastrzelić, musiałem pełznąć ku nim na brzuchu, kryjąc się za krzakami i to pod wiatr, bo poczuwszy mnie węchem z daleka, natychmiast uciekały. O schwytaniu zaś żywcem niepodobna było marzyć. Raz tylko puściłem się za jedną, lecz mimo wysilenia, nie mogłem jej doścignąć. Dawno już więc rozmyślałem nad urządzeniem pułapki, ale brakowało mi konceptu.

Dzisiaj, spostrzegłszy wąską ścieżkę między skalistymi ścianami, znalazłem bardzo dogodne na ten cel miejsce. Trzeba było tylko dość głęboki dół wykopać, przykryć go gałęziami dla niepoznaki i tym sposobem kozy chwytać. Ile namęczyłem się, aby tego dokonać, nikt nie uwierzy. Grunt tu był twardy i kamienisty, a ja żadnych do kopania nie posiadałem narzędzi, ale praca i wytrwałość zwalczy największe przeszkody. Kilkakrotnie rozpoczynałem i porzucałem znowu kopanie. Nareszcie po pięciu dniach niewypowiedzianych trudów zrobiłem dół,

prawie na dwa metry głęboki, a przeszło metr średnicy mający. Zagłębieniu temu dałem szerokość większą od dołu jak od góry, ażeby kozy wyskakiwać z niego nie mogły. Na wierzchu ułożyłem cieniutkie pręciki bambusowe na krzyż, tak aby tylko znieść mogły ciężar trawy, pokrywającej te gałązki.

Cztery dni przeszły w daremnym oczekiwaniu, nareszcie piątej nocy znalazłem młodą kózkę w dole. Spuściłem się na dno i powiązawszy jej nogi, z trudnością wywindowałem na wierzch moją zdobycz. Koza była nadzwyczaj trwożliwa. Drżała mi w ręku. Zaniósłem ją do chatki i za ogrodzenie wpuściłem. Przez dwa dni nie dostała nic jeść, trzeciego złagodniała wskutek postu i jadła z ochotą trawę podaną jej ręką.

W ten sposób w ciągu tygodnia złapałem jeszcze dwie kozy i kozłatko, w parę dni zaś potem wpadł duży i stary kozioł do pułapki. Obawiałem się zleźć do niego do dołu, bo rył ziemię racicami i groźnie łbem wstrząsał, spoglądając na mnie. Z chęcią wyrzekłbym się tej zdobyczy, lecz jak ją wypuścić z więzienia? Wreszcie spuściłem nogi, chcąc zleźć, ale kozioł skoczył ku mnie z nastawionymi rogami, tak iż tylko przez prędkie cofnięcie się uniknąłem uderzenia.

Wtem przyszło mi do głowy, ażeby go głodem ukorzyć. Przez trzy dni zostawiłem mego panicza w dole, czwartego z rana leżał osowiały na ziemi, porzuciwszy nieprzyjacielskie zamysły. Dał się związać, nie stawiając najmniejszego oporu, ale był tak ciężki, że go zaledwie do zagrody zawlokłem i przywiązałem przy innych kozach.

Miałem więc teraz trzódkę, licząc pozostałe w domu, z dziesięciu kóz złożoną, należało ją tylko przetransportować do zamku, dokąd nazajutrz umyśliłem wrócić.

Powiązałem kozy za rogi i trzymając w ręku sznur, poganiałem prętem mą trzódkę, która szła dosyć powolnie. Przebywszy dolinę, na krańcu lasu rozłożyłem się na południowy wypoczynek, lecz pędzenie i naganianie kóz tak mnie zmęczyło, że nie mając zresztą potrzeby tak bardzo śpieszyć się do domu, postanowiłem tu noc przepędzić. Przywiązałem więc kozy do drzew, a sam zająłem się szukaniem żywności.

Były wprawdzie rośliny bananowe w pobliżu, lecz chciałem uraczyć się kawałkiem mięsa i ostrygami, dlatego puściłem się przez bliskie pagórki nad brzeg morza. Dostawszy się na szczyt, ujrzałem go wprawdzie, lecz w odległości trzech ćwierci mili. Mimo nużącego upału odważyłem się na odbycie tej drogi, tym bardziej, że nęciła mnie dawno nie używana kąpiel morska. Jakoż przyszedłszy na brzeg, znalazłem dość ostryg i orzeźwiłem się nimi, ale przez całą drogę ani zająca, ani ptaków nie spostrzegłem.

Po kąpeli i odpoczynku należało wrócić do kóz, lecz chęć dostania mięsa kusiła mnie, aby tu zabawić do wieczora i doczekać się nocnych wycieczek sztyldkretów na ląd. Wszak kozy mają dość trawy i wodę tuż przy sobie, zwierząt drapieżnych na wyspie nie ma, a więc im się nic złego stać nie może, choćby im tutaj przyszło przenocować.

Wieczór był prześliczny, zaraz po zachodzie zajaśniały miliony gwiazd na niebie. Kto nie był w krajach podzwrotnikowych, wyobrażenia mieć nie może o świetności tamtejszego nieba. Zdaje się, że iskrzące diamenty pokrywają precudny szafir, a gwiazd nierównie więcej w tym przejrzystym powietrzu dostrzec można, aniżeli na naszym smutnym i bladym widnokręgu.

Leżąc na wznak i wpatrując się w niebo, czekałem, rychło żółwie zaczną z morza wylazić dla obejrzenia gniazd swoich, lecz nagle jakiś czerwony blask okrył zachodnią część nieba. Zerwałem się przestraszony. Byłżeby to blask księżycy? Nie, to wyraźnie łuna. Czy jaki palący się okręt zagnały wiatry na zachodni brzeg wyspy? I to nie, bo łuna była zanadto wielka, aby ją mógł wydać palący się statek. Przestрах ogarnął mię niezmierny, miałżeby się las zapalić na wyspie, lecz z czego? Wszak burzy nie było wcale, tylko piorun mógł rozniecić pożar. Byliżby to ludzie? Tysiące myśli przeciwnych i krzyżujących się z sobą przejęło mię niewypowiedzianą trwogą. Z szybkością wiatru puściłem się ku miejscu, gdzie zostawiłem kozy, lecz potem strach wybił mi nawet z myśli trzódkę. Co mi po wszystkim, szeptałem



drżącymi ustami, jeżeli jaki nieprzyjaciel najechał wyspę i podpalił lasy? Trzeba co żywo umykać do domu.

I biegłem wciąż, dopóki zmęczenie zupełnie mi sił nie odjęło. Padłem znużony na ziemię, serce biło mi gwałtownie, a szybki oddech, zdawało się, że mi pierś rozsadzi. Złapałem też parę guzów na czole, rozbijając się w ciemności o drzewa, a raz wpadłem po pas w wodę, natrafiwszy niespodzianie na głęboki potok. Po chwili przyszedłem nieco do siebie. Łuny zakrytej lasem nie było widać. Zacząłem nieco zimniej rozważać moje położenie.

– Głupcze, zawołałem wreszcie sam do siebie, i czegoś uciekasz? Czy cię kto goni? Czyś widział nieprzyjaciela? Czy zresztą nie pamiętasz, że Opatrzność czuwa nad tobą, a bez Jej woli włos z głowy ci nie spadnie? Dlaczegoż nie polecisz się opiece Boskiej i nie wracasz spokojnie do domu? Strach, to najgorszy doradca, zamacony nim umysł nie zdoła przedsięwziąć odpowiednich środków ostrożności, tylko pędzi na ślepo na manowce, nie wiedząc sam, co robi. Rozważ wszystko dobrze. Wszak ogień mógł powstać w trawach skutkiem ciągłych upałów, gdzie lada iskra może wzniecić pożar.

– To prawda, odpowiedziałem, ale skądże się ta iskra wzięła?

Ale porzuciwszy na chwilę trapiące myśli, ukląknęłam i zacząłem się modlić. To mnie porzepiło i wlało męstwo w serce. Uspokojony, wdrapałem się na drzewo i przepędziłem na nim tę noc okropną.

Na drugi dzień obudziwszy się, spostrzegłem, że jestem w nieznannej okolicy lasu. Na próżno usiłowałem sobie przypomnieć jakie drzewo znajome. Pamiętałem tylko, że wczoraj biegłem ku wschodowi, chcąc więc dostać się na powrót w miejsce znajome, trzeba było kierować się na zachód. Mimo spieszego pochodu, dopiero w trzy godziny ujrzałem wzgórze wczoraj opuszczone. Przestrzeń tę w nocy przebyłem w godzinie, bo też strach dodawał mi skrzydeł.

Na próżno z najwyższego pagórka upatrywałem śladów pożaru, nic nie było widać, zapuszczać się zaś bliżej dla wyśledzenia przyczyny nie miałem odwagi. Trzeba było do kóz powrócić. Znalazłem je na wczorajszym stanowisku, ale kozioł zerwał się i uciekł, snadź go pożar wystraszył, jak mnie.

Zabrawszy pozostałą trzódkę, ruszyłem przez las ku mojemu zamkowi, gdzie też szczęśliwie przed zapadnięciem nocy przybyłem.

## XXVI

### **Przygotowania na zimę. Rozmaite zapasy. Masło i sery. Druga rocznica. Pory roku na wyspie. Uwagi.**

Po szesnastodniowej nieobecności zastałem w domu wszystko w należyтым porządku. Kozłeta podrosły, a kozy sporo dawały mleka. Wnet poznały się i zaprzyjaźniły z nowymi swymi towarzyszkami, a nikt nie uwierzy, z jaką przyjemnością przypatrywałem się mojej licznej trzodzie.

Najpierwszą pracą po powrocie było rozprzestrzenienie i wyprzątnięcie do reszty jaskini, trzęsieniem ziemi zawalonej. Kopiając w jednym miejscu, gdzie zamiast litej opoki był grunt ziemisty, odrywałem z łatwością spore bryły i zapuszczałem się coraz dalej, drążąc jakby rodzaj podziemnego korytarza. Mógł on być mi bardzo pożyteczny na skład różnych narzędzi, dlatego nie ustawałem w pracy, wybierając ziemię aż do czystego kamienia. Na koniec raz za silniejszym uderzeniem dzidy posypała się ziemia, błysnęło światło i ujrzałem, że przekopałem grotę na wylot.

– To wcale niemądrze. Robinsonie, rzekłem z nieukontentowaniem, miałeś grootę bezpieczną, teraz, bez najmniejszej potrzeby zrobiłeś drugie wyjście, ułatwiając przystęp nieprzyjacielowi.

– Ba, to rzecz najmniejsza, wszak nieprzyjaciół na wyspie nie ma.

Ach, ta luna sypiać mi nie dawała. Aż dotąd byłem tak spokojny, tak szczęśliwy, a teraz za najmniejszym szelestem zrywałem się przestraszony. Życ w ciągłej trwodze, to rzecz bardzo nieprzyjemna. Wprawdzie miałem ufność w opiece Boskiej, ale jak to mówią, strzeżonego Pan Bóg strzeże, więc też otwór, jak mogłem założyłem na powrót kamieniami.

Ponieważ opuncje nie mogły rozrosnąć się tak prędko, a przywiązane do drzew kozy jakoś mi smutniały, utraciwszy nagle wolność, zamierzałem więc zrobić dla nich ogrodzenie tymczasowe z bambusowych tyczek. Nowa wycieczka po nie do letniego mieszkania pocieszyła moje serce, gdyż jęczmień zazielenił się ładnie, a melony przyjęły. Z powrotem nabierałem do kosza dużo kukurydzy, zamierzając często chodzić po nią, aby dostateczny zapas uzbierać na zimę.

Szło o to tylko, w czym ją przechować w czasie pory deszczowej. W jaskini było dość wilgotno i ziarno mogło ulec zepsuciu. Wyrobiłem więc kilka wielkich naczyń glinianych w kształcie wiader, wysuszyłem je na słońcu. Po wypaleniu okazało się, że lubo są niezgrabne, ale mocne. Dorobiłem do nich pokrywę.

Zbieraną kukurydzę, wykruszoną z kolb, a wysuszoną dobrze na słońcu, zachowywałem w naczyniach w korytarzu grotu. Podczas tych zatrudnień wychodziłem często na polowanie, tak dla żywności, jako też dla przysposobienia na zimę zapasu mięsa, skór i tłuszczu. Łowy nie bywały osobliwe, najczęściej strzelałem ptaki, mniej zajęcy, a najmniej kóz, bo chcąc na nie polować, trzeba było zawsze cały dzień poświęcić, a mimo to nieraz wracało się z próżnymi rękami. Zabiwszy kozę, oddzielałem najtroskliwiej najmniejszy kawałek łożu, a wytopiwszy go, zlewałem do naczynia glinianego. Z zajęcy daleko mniej bywało. Ani jednego, ani drugiego tłuszczu nie mogłem używać na okrasę, bo miały woń nieprzyjemną, a nawet odrażającą.

Jednego dnia przyszło mi na myśl spróbować, czy nie potrafię zrobić masła. Kozy dawały tak dużo mleka, że nieraz się psuło. O maślnicy z drzewa marzyć nie można było, ale za to zrobiłem ją z gliny. Bijak należało z drzewa wyciąć, lecz nie miałem na to deseczki. Wyrobiłem ją z kory twardego drzewa, powycinawszy nożem otwory i umocowawszy w środku kijek bambusowy. Następnie przez parę dni zbierałem śmietankę, a gdy jej miałem sporo, przystąpiłem do roboty, która nadspodziewanie się udała. Otrzymałem dość dużą bryłkę masła. Smak miało nieprzyjemny, zalatujący wonią kozią, ale po przetopieniu znacznie się polepszyło, nie różniąc wiele od krowiego.

Od tego czasu często robiłem masło, płuczac je starannie i solac, a potem przetapiając do kuchennego użytku. Z pozostałego mleka kwaśnego po zagotowaniu tworzył się twaróg. Nie było go w czym wycisnąć na ser i marnował się w części.

Trzeba mi było koniecznie płótna, ale skąd je wziąć? Na koniec zrobiłem rodzaj tkaniny z włókien pizangu. Niewielki ten płat kosztował mnie kilka dni mozolnej pracy, bo nie mając wyobrażenia o warsztacie tkackim, przekładałem pojedyncze sznurki osnowy poprzecznym szpagatem. Płatało się to często, ale przecież w końcu był worek jaki taki do wyciskania sera.

Od czasu do czasu zebrawszy trochę mleka, robiłem ser, ale mimo wielkiej chęci, spróbowałem tylko raz mały kawałek, a resztę suszyłem i chowałem na zapas zimowy.

Oprócz tego niemało czasu zajmowało mi przygotowanie drzewa opałowego, którego brak w zeszłym roku tak mi dotkliwie odczuć się dawał. Huragany jesienne nałamały w lesie mnóstwo drzew. Gdybym miał siekierkę, zbiór byłby łatwy, ale w braku wszelkich narzędzi musiałem je wylaamywać, dopomagając sobie w tej pracy biednym, wysłużonym nożem. Uzbierało się jednak sporo suszu. Znosiłem go w powrozie na plecach i układałem pod sklepieniem jaskini jakby ściankę, mogocą mnie zasłaniać od wiatru.

Zbyteczne znów kozie mięso solilem w wielkich garnkach, trzymając w piwnicy. Lecz i tę musiałem jeszcze o parę łokci pogłębić, bo gorąco, mimo przykrycia starannego wielką kupą gałęzi, przeciskało się, i raz kilkadziesiąt funtów nadpsutego mięsa wyrzucić musiałem.

Na tych robotach zeszło lato. Czas było pomyśleć o żniwie. Wybrałem się na folwark, tak bowiem nazywałem moje letnie mieszkanie. Zboże dostało już zupełnie. Zebrałem pięć sporych snopów jęczmienia. Melonów było przeszło sto, mogłem się nimi raczyć do woli, ale wnet pokazała się niepraktyczność uprawiania ich w tym miejscu. Nie mogłem zabrać więcej na raz do kosza jak pięć, a zatem na samo przenoszenie potrzeba było dwadzieścia dni czasu, licząc dwa na każde przejście tam i na powrót.

Na przyszły rok, da Bóg doczekać, urządzę sobie ogródek przy jaskini, a tymczasem trzeba się bez nich obejść. Że też to dawniej tego nie przewidziałem. I zostały na pastwę ptakom, bo zabrałem ich tylko dziesięć w czasie przenoszenia zboża z folwarku do zamku, w dwóch wycieczkach w tym celu zrobionych.

Związawszy dwa kije w kształcie cepów, zacząłem młócić zboże, ale pozostawało go jeszcze dosyć w kłosach. Ponieważ zbiór nie był tak wielki, można więc było wykruszyć kłosy w ręku, co też i zrobiłem. Według przypuszczeń moich mogło być ziarna przeszło dziesięć kwart. Zachowałem je troskliwie do przyszłorocznego zasiewu.

Nareszcie widząc, że lada dzień nadejdzie pora deszczów, gdyż już kiedy niekiedy przechodziły, zabrałem się do zaopatrzenia mieszkania. Część jaskini zagrodziłem od pola tyczkami bambusowymi, pozawieszawszy na nich liście kokosowe jak firanki. Następnie zrobiłem rusztowanie z powiązanych lasek bambusowych, podobne do tego, jak przy stołku. Dodałem kilkanaście poprzeczek, a na nie nasłałem słomy, na wierzch zaś delikatnego mchu. Wszystko to przykryłem pozszywanymi skórami zajęcy. Z kozich skór zrobiło się koldrę i poduszkę mchem wypchaną, i tak miałem królewskie posłanie i pierwszy raz od przybycia na wyspę, łóżko.

Nadeszła też i druga rocznica przybycia mego na wyspę. Spędziłem ją na poście, rozpamiętywaniu i modlitwach. Smutny to bywał dzień dla mnie. Przez cały rok zatrudniony robotą, przelotnie tylko czasami myślałem o moim położeniu. Ale w ten dzień, poświęcony Bogu i wspomnieniom, całe me położenie i przeszłość w żywych obrazach malowały się w mej wyobraźni. O mój Boże, już od dwóch lat nie słyszałem ludzkiej mowy, od siedmiu nie widziałem drogich rodziców. Czy też jeszcze żyją?

Wnet zawyły wściekle huragany. Ta pora roku była dla mnie najnieznośniejsza. Deszcze lały jak z kadzi, nieraz po całych dniach. Pioruny biły tak gęsto i silnie, że burze europejskie można uważać za dziecinną igraszkę w porównaniu do nawałnic antylnych. Za lada wstrząśnieniem wiatru przychodziło mi na pamięć trzęsienie ziemi i nieraz w nocy uciekałem do stajenki, lękając się zburzenia jaskini. Gwałtowności wichru niepodobna opisać, dość powiedzieć, że niekiedy wrywał drzewa z korzeniami, a raz zerwał dach z mej stajenki. Z wielką trudnością zdołałem ją naprawić.

Październik i listopad były nabuszliwszymi miesiącami z całego roku. W połowie grudnia zaczynało się wypogadzać, a około nowego roku ustał się czas piękny. W pierwszym tylko roku mego pobytu słońce przeciągnęła się do połowy stycznia. W maju zwykle przez parę tygodni przechodziły rzęsiste deszcze, a potem przez cały rok ani chmurki na niebie.

Przez zimę trudniłem się wyplataniem koszy, przysposobiwszy sobie dosyć prętów w jesionie. Potrzebne mi one były do przechowywania przyszłych zbiorów zboża. Nadto pracowałem nad naczyniami glinianymi, w czym nabyłem niemałej wprawy i wyroby moje miały już daleko zgrabniejszą formę niż pierwsze. Naczynia te miały służyć także na przechowywanie spizarnianych zapasów.

Mój Boże, kiedy nieraz zastanowiłem się nad moją pracą, przychodziło mi na myśl, jakim jest dobrodziejstwem społeczeństwo ludzkie i podział pracy. W krajach ucywilizowanych wszyscy razem pracują dla siebie. Gospodarze wiejscy trudnią się dostarczaniem żywności,

rzemieślnicy sporządzają odzież, sprzęty i narzędzia potrzebne do rozmaitych rękodzieł. Inni stawiają domy, budują mosty, biją drogi. Tymczasem ja wszystko sam sobie musiałem robić, tracąc na to tyle czasu, że całoroczna praca ledwie wystarczała na utrzymanie życia. Cały przeszły rok na czymże mi zeszedł? Oto na obmyślaniu środków ubrania się i życia, a przecież nie mogę sobie czynić wyrzutów, żebym był leniwy i czas tracił daremnie. W samotności dopiero i w ciężkim znoju przyszły mi te uwagi do głowy. Dawniej nigdy o tym nie pomyślałem i nie umiałem cenić pożytków, osiągniętych przez ludzi ze wspólnego życia.

## XXVII

### **Zasiewy. Urządzenie wędzarni. Polni złodzieje. Skuteczna egzekucja. Niepomyślny zbiór. Przechowanie zboża. Trzecia rocznica. Zima.**

Zaraz na początku wiosny wziąłem się do przygotowania ziemi pod zasiew. W zeszłym roku było to łatwe, bo szło o niewielki kawałek ziemi, ale w tym trzeba było sześć razy tyle gruntu oczyścić i skopać. Rolę uprawilem zeszłorocznym sposobem, lecz odstępowała mnie odwaga na myśl, że na przyszły rok nierównie większa oczekiwała mnie praca. Dwa tygodnie zeszło na tej robocie. Przy pomocy łopaty byłbym ją za cztery dni skończył.

Z zasiewem potrzeba było wstrzymać się czas niejaki, bo dopiero w połowie maja padały deszcze. Gdybym miał wcześniej przygotowany grunt pod uprawę, mógłbym zasiewać dwa razy, raz w końcu grudnia, zbierając w drugiej połowie kwietnia, drugi raz, siejąc na początku maja, a kończąc żniwa we wrześniu. Tym razem, spóźniwszy się z uprawą roli, musiałem przestać na jednym zbiorze, lecz i ten mi aż nadto wystarczył.

Pole przygotowane pod zasiew ogrodziłem dookoła płótkiem bambusowym i to mi parę tygodni zajęło. Mniejsza o pracę i czas, żeby tylko zabezpieczyć zbiór od kóz i zajęcy.

Na koniec, kiedy nadeszła stosowna chwila, zasiałem jęczmień, a majowe deszcze tak dzielny skutek wywarły, że w parę tygodni potem rola pokryła się prześliczną zielonością.

Oprócz tego obok jaskini zasiałem spory kawałek pola kukurydzą, żeby po nią do lasu nie chodzić.

– Mój panie gospodarzu, rzekłem do siebie, ukończywszy roboty w polu, trzeba teraz wziąć się do młyna. Wszakże jęczmienia gryźć nie będziesz, cóż ci po nim, jeżeli mąki zrobić nie potrafisz? Nie przyjdzie to tak łatwo, ale każdy początek jest trudny. Przy pomocy Boskiej jakoś to pójdzie.

O żarnach, a tym bardziej o młynku ani marzyć, bo czymże je zrobię. Trzeba więc poprzestać na stępach, jakich Murzyni używają do obtłukiwania jagieł.

W wycieczkach moich od dawna zauważyłem pień grubego drzewa, złamanego przeszłorocznym wichrem. Z niego przy pomocy siekiery mogła być doskonała stępa, lecz w braku tego narzędzia czymże ją zrobić? Czym obciąć grube korzenie, przytrzymujące go w ziemi? Czymże wreszcie wydrążyć zagłębienie?

Nareszcie przyszło mi do głowy wytłić środek ogniem. Wziąłem się natychmiast do pracy. Najprzód poprzepalałem korzenie, następnie z wielkim wysiłkiem przytoczyłem pień do mego mieszkania, a nareszcie z mniejszym mozołem udało mi się go wypalić. Wydrążenie miało dostateczną głębokość, ale było nierówne i tak zacernione, iż straciłem nadzieję, żebym kiedy mógł otrzymać mąkę białą. Z tłuczkiem poszło łatwiej. Na dnie strumienia znalazł się kamień podłużny, zaokrąglony przez długie działanie fali. Wprawiwszy go w rozszczepioną

gałąź, skrępowalem silnie łykiem. Teraz już tylko pozostawało spróbować, czy się zboże tłuc będzie.

Wrzuciwszy dobrze wysuszoną kukurydzę do wydrążonego pnia, począłem tłuc z całej siły, lecz ziarna twarde i okrągłe wyskakiwały za każdym uderzeniem. Aby temu zaradzić, uciąłem liść bananowy, a przebiwszy w samym środku otwór, przesadziłem przez niego tłuczek. Teraz ziarna nie mogły się rozpryskiwać, a gdy po godzinie nieprzerwanej pracy wybrałem mąkę kukurydzianą, roześmiałem się serdecznie, gdyż była czarna, jak sadze.

Trzeba było na to coś poradzić. Wprawdzie węgiel drzewny nie jest trucizną, ale nie bardzo przyjemnie jeść kaszę albo chleb z tą czarną przyprawą. Zabrałem się zatem do wyskrobywania nożem zwęglonych ścian stopy i po trzech dniach oczyściłem je nieźle. Tym razem kukurydza wydała kaszę dość czystą, pomieszaną z mąką i otrębami. Natychmiast wstawiłem ją w garnek, ugotowałem, a okrasivszy przetopionym kozim masłem, z wielkim apetytem i zadowoleniem spożyłem. Zapewne żaden wytwornis angielski nie byłby jej wziął w usta, ale mnie smakowała przewybornie.

Do żniw miałem jeszcze parę miesięcy. Trzeba było z tego korzystać i zająć się polowaniem, ażeby nie narazić się, jak w zeszłym roku, na brak mięsa. Z tym wszystkim i polowanie nie przyda się na nic, jeżeli nie wymyślę jakiegoś lepszego sposobu przechowywania mięsa, gdyż solenie samo nie zabezpiecza go dostatecznie od zepsucia.

Najpraktyczniej było osuszyć je na słońcu, podobnie jak robią Murzyni, ale nie znałem dobrze tego sposobu. Wędzenie znów było mi doskonale znajome, ale nie było komina. Upatrząc miejsca stosownego na jego zbudowanie, znalazłem dość głęboką, a prawie prostopadłą szparę w skale sterczącej nad grotą. Trzeba było tylko z boku zaprawić otwór, ażeby się dym nie rozpraszał. Jakoż i to powiodło mi się wcale nieźle. Z drabinki, powiązanej z gałęzi, zrobiłem rodzaj rusztowania, potem pozaprawiałem poprzeczkami drewnianymi szczelinę, a następnie zagroziłem chrustem na kształt płotu. Nareszcie wdrapawszy się jak kominiarz do środka, zarzuciłem chruścianą ściankę gliną, ażeby ją zabezpieczyć od ognia.

Ubite kozy, obdarte ze skóry, krajałem w cienkie pasy. Grubsze części macerowały się w soli, cieńsze zaś płaty szły od razu do komina, jak tylko nieco na słońcu obeschły. Mięso w ten sposób przyrządzone miało smak podobny do świeżego, a daleko lepszy, aniżeli solone. Przed gotowaniem zwykle moczyłem je w wodzie, przez co nabierało soczystości.

Już też i czas żniwa był niedaleki. Jednego ranka wybrałem się na folwark zobaczyć, czy prędko będzie je można rozpocząć. Bezpieczny o kozy i zające, szedłem przypatrzeć się moim skarbowi, ale któż opisze moje przerażenie, kiedy za zbliżeniem się ujrzałem chmurę ptactwa, wylatującą z pola jęczmieniem zasianego.

– A, niegodziwe żarłoki, zawołałem z gniewem, czy to ja dla was sieję! Bardzo dużo mam zboża, żebyście mi go jeszcze wyjadały, nicponie!

Ptaki odleciały, ale niedaleko posiadały na bliskich drzewach, jakby oczekując, kiedy będę łaskaw się wynieść, ażeby mogły wrócić. Na nieszczęście nie mogłem wyświadczyć im tej grzeczności. Przeciwnie, wymierzywszy z łuku, najbliższego niszczyciela cudzego dobra położyłem trupem. To jednak nie zrobiło na reszcie najmniejszego wrażenia, gdyż natychmiast, jak tylko oddaliłem się na próbę o kilkadziesiąt kroków, cała banda spadła na pole.

Ubiłem jeszcze kilku tych rabusiów, a zrzekając się z nich pieczeni, porozwieszałem złoczyńców na wysokich tykach dookoła pola dla odstraszenia innych. Jakoż powiodło mi się doskonale, gdyż ani jeden nie poważył się najeżdzać pól moich, a nawet zupełnie tę część wyspy opuściły. Kłosa już prawie podejrzewały, za tydzień można było wziąć się do żniwa.

Powróciłem do domu, ażeby wprzód skończyć z kukurydzą, która także już doszła. Zbierać ją było mi bardzo łatwo, gdyż kolby dały się bez trudu obłamywać. Łodygi dochodziły do pięciu łokci wysokości, a każda dźwigała po kilka kolb, w jednej zaś mogło być najmniej dwieście ziaren. Zebrałem ją szczęśliwie, a nie mając czasu obrywać, zostawiłem to na później, śpiesząc się do jęczmienia.

Oj, napracowałem się też nad żniwem, prawdziwie w pocie czoła. Niczym trudy żniwiarzy angielskich, na które zawsze tak wyrzekali. Każdy z nich był magnatem w porównaniu ze mną, nieborakiem. Oni mieli sierpy, a ja musiałem nożem cały zbiór sprzątać, nie biorąc na raz więcej jak kilkanaście ździebeł. Koniec końców, zebranie czterdziestu snopów, mimo niezmiernej pilności w robocie, kosztowało mnie przeszło tydzień czasu.

Po sprowadzeniu zboża do domu i wymłóceniu nie zebrałem więcej, jak dobry korzec. Zbiór byłby niezawodnie daleko lepszy, gdyby nie te obrzydłe ptaki, które zjadły mi połowę zboża. Umyśliłem na przyszły rok powetować tę klęskę, wysiewając trzy czwarte całego zbioru, a w tym roku obejść się bez chleba, poprzestając na kukurydzy.

Tej miałem pod dostatkiem. Po wyłuszczeniu kolb, napełniłem ziarnem pięć wielkich kosiszy i jeszcze nieco pozostało na natychmiastowy użytek. Liście i łodygi kukurydziane oraz słoma jęczmienna przydały mi się bardzo na pożywienie zimowe dla kóz.

Zanim deszcze jesienne nadeszły, skopałem pole po kukurydzy, ażeby na nim w końcu grudnia zasiać jęczmień, gdyż pragnąc prędzej skosztować chleba, miałem zamiar w przyszłym roku dwa razy zbierać.

Pora deszczów zbliżała się szybkim krokiem. Ukończywszy zbiory, skorzystałem z kilkunastu dni pięknych dla przysposobienia zapasów drzewa na opał i zdołałem to przed nadejściem zimy skutecznie.

Czas upływał mi nadzwyczaj szybko. A nim się spostrzegł, kiedy nadeszła trzecia rocznica rozbicia się naszego statku. Obchodziłem ją postem i rozmyślaniami, jak poprzednie, a w parę dni potem gwałtowny huragan, wyjący przez kilkanaście godzin bez przerwy, oznajmił rozpoczęcie ośmio- lub dziesięciodniowych nudów, na jakie w czasie zimowej pory byłem skazany.

## XXVIII

### **Wycieczka na zachodnią część wyspy. Okolica nieznana. Niezmierny przestrach. Ucieczka. Rozmaite przypuszczenia. Zaniedbanie gospodarstwa. Zwątpienie.**

Po skutecznieniu zasiewów grudniowych, umyśliłem wybrać się na dłuższą wędrowkę po wyspie. Od owej nocy gdy luna, pochodząca z nieznanej przyczyny, nabawiła mnie trwogi, upłynęło już półtora roku, a przez ten czas nigdzie nie wychodziłem, tylko do mego folwarku. Naprzód mnogość zatrudnienia trzymała mnie wciąż w domu, a po wtóre, co ze wstydem wyznając, bojaźń tak mnie opanowała, że nie śmiałem zapuszczać się w odleglejsze strony wyspy.

Zaopatrzywszy się jak zwykle w rozmaite przybory, rozpocząłem wycieczkę mającą trwać sześć do ośmiu dni, lecz w zupełnie odmiennym jak dotąd kierunku. Wszystkie poprzednie przechadzki ograniczały się do wschodnio-południowych części wyspy, ale północ i zachód zupełnie były mi nieznane. Raz przecież należało poznać i tamte okolice.

Przebywszy duży kawał lasu dotykającego doliny zamieszkałej przeze mnie, wydostałem się na równinę, zakończoną pasmem pagórków dosyć wysokich. Wdrapałem się na najwyższy, zachodzący przylądkiem w morze. U stóp jego płynęła dość głęboka rzeczka, mająca tutaj swe ujście. Przyływ morza zwiększył znacznie jej głęboką, tworząc zatokę. Należało zatem zaczekać, aż opadnie, ażeby dostać się na drugi brzeg. Długi czas, siedząc nad wodą, przypatrywałem się mnóstwu ryb, płynących w górę rzeki, którą zapewne miały opuścić dopiero wtedy, gdy morze zacznie opadać. Wyborne to było miejsce do ich połowu i postanowiłem natychmiast po powrocie przyjść tu z moją siecią, dotąd jeszcze nie używaną. Kiedy

wody dostatecznie opadły, zdjąłem suknie, a zawinawszy je w tłumoczek i umieściwszy na głowie, przebyłem rzekę. Brodząc po pas, stanąłem na drugim brzegu szczęśliwie, po czym, ubrawszy się, ruszyłem dalej.

Okolica w tych stronach była bardzo nieurodzajna, częścią pagórkowata, w części skalista. Mroczyło się na dobre, bo już przed chwilą słońce zapadło w morze. Trzeba się było zabrać do noclegu, podług zwyczaju na pierwszym lepszym drzewie. Jakoż znalazłszy dość wygodne legowisko pomiędzy rozłożystymi gałęziami, wkrótce zasnąłem.

Na drugi dzień rano, posiliwszy się, lekki i wesoły ruszyłem w dalszą podróż. Około południa udało mi się ubić jakiegoś dużego ptaka z gatunku cietrzewi, który, upieczony na rożnie, miał bardzo delikatne mięso. Kilka łyków wody, a na wety złocisty ananas, dopełniły obiadu. Przedrzemałem się nieco podczas największego gorąca, a potem dalej marsz, marsz, panie Robinsonie! Nie wypada wracać, dopóki nie zwiedzisz w całej rozciągłości twego królestwa i nie dojdiesz do piramidy kamiennej, ułożonej przed dwoma laty na znak kresu poprzedniej wycieczki.

Nad wieczorem dostałem się na obszerną równinę przyległą do lasu, z którego przed chwilą wyszedłem. Była w części zarosła trawą, ale nad samym brzegiem morza rozciągał się duży kawał miłąkim i wilgotnym piaskiem pokryty. Zdawało mi się, że niedaleko od morza spostrzegłem żółwie gniazdo, a ponieważ żołądek domagał się wieczery, tam jej szukać postanowiłem.

Idę naprzód prędkim krokiem, gdy wtem spostrzegam na piasku wyraźny ślad nogi ludzkiej! Myślicie może, czytelnicy, że zostając trzy lata przeszło w samotności, ucieszyłem się niezmiernie, widząc ten znak bytności ludzi na wyspie? Gdzież tam. Przeciwnie, przestрах największy mię ogarnął. Wiadomo mi było, że na wyspach Morza Karaibskiego mieszkają dżicy ludożercy. Jak gromem rażony, stanąłem, wpatrując się w ten ślad złowieszczy, drżąc z trwogi i rzucając dookoła trwożliwym okiem, czy nie ujrzę lada chwila gromady dzikich, wysuwających się z zarośli. Lecz cisza niczym nie przerwana zalegała okolicę. Ośmielony tym, wypełznąłem ostrożnie na pobliski pagórek, skąd można było przejrzeć większy obszar ziemi, lecz i tu nic podejrzanego nie było widać. Zbiegłem więc znów nad brzeg morza, śledząc, czy więcej nie odkryję śladów, lecz nie napotkałem ich nigdzie.

– Trzeba raz jeszcze obejrzeć ten ślad, pomrukiwałem z cicha, może mnie tylko wyobrażenia zwiodła, albo też może to jest mój własny ślad i nadaremnie się trwożę. Wróćmy do niego. I pobiegłem na to samo miejsce, lecz nie, odcisnięcie nogi jak najwyraźniejsze: pięta, podszwa, każdy palec dokładnie w piasku wilgotnym odbity, a wszak ja mam obuwie z koziej skóry. O, mój Boże! Mój Boże! Skąd ten ślad tutaj? Niepodobna mi rozwiązać zagadki.

Nagle niewymowna, nieprzewyciężona trwoga opanowała całą moją istotę. Przerazenie wstrząsnęło ciałem, w najokropniejszym pomieszaniu zacząłem ze wszystkich sił ku domowi uciekać. Każde drzewo, każdy krzak brałem za postać ludzką, najmniejszy szelest przerażał mię niewypowiedzianie. Przytomność, zimna krew, zastanowienie opuściły mię zupełnie. Nie wiedziałem, gdzie i jak biegnę. Co się ze mną naówczas działo, tego ani opisać, ani opowiedzieć niepodobna. Biegłem jak szalony, upadając nieraz i potykając się co chwila. Nareszcie, wyczerpany do najwyższego stopnia, padłem w gęstwinie i w niej przepędziłem noc.

Zaledwie sen skleił moje powieki, już znowu przebudzałem się w obawie, ażeby mnie dżicy niespodziewanie nie zaszli. Różne okropne myśli zamącały mi głowę. Przypomniałem sobie teraz przeszłoroczną łunę, nie mogącą z czego innego pochodzić jak z podpalenia wyschłych traw przez Karaibów. To rzecz oczywista, bo pożar sam przez się nie mógł wybuchnąć, a jak już poprzednio wspominałem, najpiękniejsza pogoda panowała wówczas, a zatem nie powstał od pioruna.

Drugiego dnia przed południem byłem już w domu. Rzuciłem się na posłanie, nie myśląc wcale o posiłku, chociaż od wczorajszego obiadu nic prócz wody nie miałem w ustach. Trwoga odebrała mi apetyt, najdziwaczniejsze myśli snuły się po głowie.

To niepodobna, abym trzy lata bawił na wyspie, a nie dostrzegł jej mieszkańców. Nie, nie, przekonany jestem, że oprócz mnie ani jeden człowiek nie przebywał na niej. Ale skądże mógł się znaleźć właściciel nogi? Jak przybył bez okrętu, który przecież byłbym ujrzał na morzu. Śladu tego nie wymarzyłem sobie, wszak go wczoraj dotykałem palcami. A czy też ludożercy nie zostali zapędzeni burzą z oddalonej ziemi, którą przed paru laty widziałem z wysokiej góry? Może, wylądowawszy w tej nieurodzajnej części wyspy, nie mieli chęci założyć na niej swych osad. Gdyby im też przyszło do głowy przybyć tu w wielkiej liczbie, gdyby mnie przypadkiem spotkali... O, wtedy z pewnością nie uniknąłbym śmierci, zamordowaliby mnie i pożarli. Jeżeliby zaś potrafił ukryć się zawczasu w jakim zakątku, wtedy niezawodnie zniszczyliby moje mieszkanie, zabili kozy i spustoszyli pola.

Te i tym podobne myśli trapiły mą duszę. Przez trzy doby nie odważyłem się opuścić na chwilę grotę, nie miałem nawet śmiałości pójść wydoić kozy, ale przecież trzeba się było na to zdecydować, bo biedne samki mogły stracić mleko.

Skończywszy tę robotę, nabrałem nieco odwagi i pobiegłem na ową wysoką górę, aby się przekonać, czy przypadkiem nie zobaczę jakiego statku w pobliżu wyspy. Ale obawa, czy nadzieja, bo nie wiem już, jak ją nazwać, zawiodła mnie zupełnie. Powierzchnia morza lśniła, jak zwierciadło, ale na niej najmniejszej łódki widać nie było. Powróciłem cokolwiek uspokojony.

W parę dni potem puściłem się na zwiedzenie mego folwarku, uzbrojony nową dzidą, łukiem i pełnym kołczanem strzał. Ale cóż mi ta broń za bezpieczeństwo dać mogła przeciwko tłumowi dzikich, niezawodnie lepiej ode mnie uzbrojonych? Mimo to pokonałem trwogę i zaszedłem do lasu, oglądając się na wszystkie strony.

W dolinie znalazłem wszystko w nienaruszonym stanie. Jęczmień wzrastał prześlicznie i można się było spodziewać pięknego urodzaju.

– Ach, cóż mi po nim, zawołałem z boleścią, gdy nie wiem, czy go zbiorę. Lada dzień horda dzikich Karaibów może wpaść tutaj i obrócić w perzynę zasiewy. O, nie, nie, już nie wrócą chwile swobody i spokoju, nigdy już nie będę szczęśliwy.

Zamiast powrócić do domu poszedłem raz jeszcze obejrzeć złowieszcze ślady ludzkiej nogi. Myślałem, że może przy zapadającym zmroku nie widziałem dobrze, a zresztą zawsze coś ciągnie człowieka, ażeby dokładnie przekonał się o swym nieszczęściu, jak gdyby w męczarni znajdował jakieś upodobanie.

Miejsce to było dość daleko. Straciłem cały dzień, zanim się tam dostałem. Widać, że droga od mego mieszkania wprost była daleko krótsza. Słońce już schylało się ku zachodowi, gdy tam zdążyłem. Trzeba więc było spostrzeżenia odłożyć na jutro, a tymczasem pomyśleć o noclegu.

A gdzie spać? Nuż ludożercy nadpłyną i wysledzą mnie tutaj. Przerazony tą myślą, wybiegłem na bliski wzgórek, ale na morzu nic widać nie było. Uspokojony tym cokolwiek, wyszukałem gęste drzewo i wdrapawszy się bardzo wysoko, przywiązany pasem, usnąłem.

Natychmiast po przebudzeniu pobiegłem na brzeg morski szukać fatalnego śladu. Znalazłem go wkrótce. Był on daleko większy od mojej stopy i wyraźnie należał do człowieka, który nigdy obuwia nie miał na nodze, słowem do jakiegoś olbrzymiego Karaiba.

Dreszcz febryczny przebiegł me ciało, nie wiedziałem, co począć. Bojaźń pozbawiła mnie prawie przytomności, a najdziksze myśli przebiegały przez głowę. W pierwszym szale zamysliłem zburzyć mur otaczający grotę, popsuć całe mieszkanie, rozwalić stajenkę i chatkę na folwarku, poniszczyć ogrodzenia, rozpedzić kozy i spalić zasiew, a to wszystko z obawy, aby mnie dzicy nie wysledzili. Zniszczywszy wszelkie ślady zamieszkalności wyspy, mogłem być pewny bezpieczeństwa.

Nie było tu co robić dłużej. Obejrzałem się wkoło i poza lasem dostrzegłem wynurzającą się z głębi drzew ostro zakończoną skałę, niemal tuż przy zamku leżącą. To będzie moja strażnica, pomyślałem sobie, z niej z łatwością dostrzeżę, co się dzieje w tym miejscu. Kie-



rując się widokiem tej skały, w półtorej godziny dostałem się do zamku, ale okoliczność ta, zamiast ucieszyć, większym mnie jeszcze napełniła strachem, bom się przekonał, że dzicy wylądowali bardzo blisko od mego mieszkania i tylko wyraźna opieka Boska ukryła je przed okiem mych nieprzyjaciół. Dręczony różnymi przypuszczeniami, mimo utrudzenia, zaledwie usnąć zdołałem.

Drugiego dnia obudziłem się w spokojniejszym nieco usposobieniu. Przyszło mi na myśl, że wyspa ta duża i żyzna, a położona, jak mniemałem, w bliskości stałego lądu, nie może być nieznaną ludom na nim zamieszkałym. Być może, że w ciągu trzechletniego pobytu mojego na niej, nieraz już dzicy, zapędzeni wiatrem, musieli tutaj wylądować, lecz widać wracali natychmiast do siebie, bo gdyby im się wyspa spodobała, niezawodnie dawno by już pobudowali na niej swe chaty.

Słyszałem nieraz od żeglarzy, znających te strony, że Karaibowie nie używają żagli i łodzie swe jedynie kierują wiosłami, dopomagając sobie przyptywem i odpływem morza. Wiadocznym więc, iż zagnani na wyspę falą, nie odważyliby się nawet przenocować na niej, z obawy, ażeby nie ominąć przyjaznej pory odpłynięcia. Jedno mi tylko zagrażać mogło, to jest niespodziane zaskoczenie przez Karaibów. Przy ostrożności mogłem tego uniknąć, w razie zaś wylądowania większej liczby dzikich, nie pozostawało mi nic innego, jak tylko schronić się do jakiejś kryjówki i czekać, aż odpłyną.

Z upokorzeniem wyznam, że strach, niepokój i troski tak mną owładnęły, że zupełnie zapomniałem szukać pociechy w modlitwie, która w każdej przeciwności dodawała mi siły. Smutek i niebezpieczeństwo zasępiły tak moją duszę, że zupełnie wyszły mi z myśli owe słowa pociechy:

*Wzywaj mię w dzień utrapienia, a wyrwę cię i czcić mię będziesz.*

Gdybym tego głosu usłuchał, a w trwodze mej udał się do Boga i Temu na j miłosierdzniejszemu Ojcu powierzył się w moim zwątpieniu, to niezawodnie nabrałbym serca i wytrwałości, a wzmocniony ufnością łatwo potrafiłbym przezwyciężyć trwożliwość i bojaźń, uciskające mą duszę.

## XXIX

### **Sztuczny gaj. Obfite żniwo. Czwarta rocznica. Modlitwa. Pieczenie chleba. Sito. Zima. Nowa wycieczka. Widmo. Kryjówka.**

Ochłonawszy nieco z pierwszego przerażenia, zacząłem myśleć o lepszym obwarowaniu mego mieszkania. Z początku najbardziej dręczyło mnie to, że przekopałem jaskinię na wylot, lecz po dokładniejszej rozwadze pokazało się, że drugie wyjście było nie tylko nieszkodliwe, ale nawet pożyteczne. Przypuściwszy bowiem, że dzicy obiegną mój zamek i łatwo przebędą mur otaczający front, cóż bym wówczas poradził, nie mając innego wyjścia. A tak pozostawała mi przynajmniej nadzieja ucieczki do lasu, gdzie przecież jakie takie można było znaleźć schronienie.

Przede wszystkim umyśliłem znaczną przestrzeń dookoła jaskini gęstym obsadzić gajem. W tym celu naciąwszy mnóstwo gałązek z jakiegoś drzewa, podobnego do wierzyby, sadziłem je w odległości pół metra od siebie. Robota ta trwała przeszło dwa miesiące, a zasadzając co dzień około stu gałęzi, utworzyłem gęste zarośle, kilka tysięcy roślin obejmujące. Nadto podniosłem mur przeszło o metr na wysokość, zostawiając w nim otwory do wypuszczania strzał, na wypadek oblężenia przez dzikich.

Praca ta tak mnie zajęła, że zupełnie zapomniałem o zbożu i dopiero jednego dnia, przechodząc koło jęczmienia, zobaczyłem, że już kłosa dostała zaczynają się wysypywać. Trzeba było wziąć się do żniwa, które też w ciągu trzech tygodni ukończyłem, zebrawszy tym razem tak dużo zboża, że się z niego dwa ogromne brogi utworzyły.

Ażeby je wymłócić, potrzeba mi było klepiska, gdyż przy tak znacznej ilości niepodobna było wykruszać zboża jak poprzednio w palcach. Obrawszy więc stosowne miejsce obok grotu, wyłożyłem je grubo gliną, nasypałem na wierzch kamyczków i żwiru i udeptałem mocno. Po paru dniach od skwaru słonecznego wyschło doskonale, mogłem więc rozpocząć młockę.

Po ukończeniu tej roboty, otrzymałem, jak mi się zdawało, około siedmiu korcy jęczmienia. Był to więc zapas dostateczny na zimę. Wkrótce potem spadły majowe deszcze. Wpływ ich na świeżo zasadzony gaj okazał się zbawienny, gdyż drzewka okryły się prześlizną zielonością i z małym wyjątkiem przyjęły się prawie wszystkie.

Ale w kłopotach moich zapomniałem zupełnie o nowym zasiewie, a tak trzeba było odłożyć go do przyszłego roku, bo pora odpowiednia minęła.

Po żniwach i wymłóceniu zboża, zabrałem się na nowo do sadzenia drzew, gdyż gaik zdawał mi się być jeszcze za mały. Pracowałem nad tym aż do późnej jesieni, zapominając zupełnie o przysposobieniu mięsa i tłuszczu do palenia na zimę. Do zbiórki drzewa także wziąłem się za późno i z tej przyczyny bardzo niedostateczny zapas zebrałem.

Tak to, gdy strach człowieka opanuje, a on strwożony nie umie wziąć nad nim góry, wszystko idzie na opak, nic się nie robi z planem i stąd potem powstaje tak wielki nieład, że sobie rady dać nie można. Doświadczyłem tego z własną szkodą, gdyż pozbawiony wszelkich zapasów, przez całą zimę doznawałem niewygód, nieraz przez kilkanaście dni żyjąc kukurydzianą polewką i kozim mlekiem.

W czwartą rocznicę przybycia mego na wyspę, to jest 23 września 1667 roku, pościłem jak zwykle przez cały dzień i przepędziłem go w mojej świątyni. Któżby dał wiarę, że przez całe lato w niej nie byłem, że zajęty myślą zabezpieczenia się przed nieprzyjacielem, nawet w święta i niedziele pracowałem nad ubezpieczeniem mego siedliska, zapominając o Bogu, moim jedynym ratunku, silniejszym od wszelkich twierdz ziemskich.

O, z jaką skruchą padłem na kolana i łzami oblewając ziemię, żałowałem mej nierozwagi i gorąco przyrzekałem poprawę. Właśnie w tej chwili przez grube chmury przebiły się promienie słońca, padając wprost na mnie. To mię taką radością napełniło, że powstałem z ziemi pełen ufności i pociechy. – O dobry Panie, a więc łaska Twoja jest zawsze ze mną, pomimo obojętności, z jaką zaniedbałem oddawać Ci czci powinnej! Ach, te promienie słońca, jakby jaki znak Twej dobroci, napełniają odwagą moją duszę. Ucieka z niej trwoga, a zaufanie w miłosierdziu Twoim ją napełnia. Odtąd powierzam Ci, Wszechmocny Boże, wszystkie moje cierpienia i poddaję się rozporządzeniom Twej woli. Niech się ze mną dzieje, jak rozkażesz, a zawsze jednakowo chwalić Cię będę, choćbyś największe przeciwności na mnie dopuścił.

Powróciłem do grotu w zupełnie innym usposobieniu, a niżelim ją opuszczał. Obawy moje blisko całoroczne wydały mi się niedorzecznymi i teraz dopiero spostrzegłem mój nierozsądek, że dla bojaźni przed dzikimi, zapomniałem o wszystkich potrzebach zimowych.

Zawyły wiatry i nawałnice, skutkiem ich wezbrały jak zwykle rzeki. Przykra ta pora, z jednej strony broniła mnie zupełnie od najazdu dzikich, ale z drugiej bardzo nudno upływała. Nie miałem czym świecić wieczorami, nie przygotowałem sobie prętów do wyplatania koszy ani strun do zeszywania skór. Odzież potrzebowała naprawy, a nawet należało pomyśleć o nowej. Materiału nie brakowało, ale z czego zrobić nici. Najdotkliwszym zaś był mi brak mięsa. Co do paszy dla kóz, miałem dosyć słomy jęczmiennej i łądyg kukurydzianych, nie było więc obawy, ażeby jej zabrakło.

– Narzekasz na brak mięsa, a wszakże możesz poświęcić kozłatko, wszak jest ich dosyć.

W samej rzeczy miałem osiemnaście sztuk trzody, gdyż kozy rozmnożyły się w lecie. Wybrawszy młode kozłą, zaniósłem je opodal i zabiłem strzałą, bo mi brakło serca nożem tego dokonać. Oprawiwszy je starannie, odłożyłem kiszki dla ukręcenia strun do szycia garderoby, z łopatki ugotowałem wyborny rosół z kukurydzianą kaszą, a ćwiartka tylna poszła na pieczeń. Cóż to był za wyborny obiad, po tylu dniach przeżytych o lichej strawie!

Należało jeszcze pomyśleć o pieczeniu chleba. Pełne kosze jęczmienia leżały bez użytku, bo w dniach trwogi i to wywietrzało mi z głowy. Nasypawszy zboża do stępy, zacząłem je bić tłuczkiem, a gdy się dobrze zmiażdżyło, przesypywałem śrutówkę do naczynia glinianego. Tak w ciągu pół dnia przysposobiło się tyle, że można było rozpocząć piekarstwo.

– Ba, rozpocząć, a gdzież masz piec, mój mądry człowieku? Gdzie drożdże, a wreszcie w jęczmieniu jest tyle ości, że nie wiem, jaki to chleb będzie.

Wynalazłszy pomiędzy starymi rzeczami chustkę z grubego muślinu, uprałem ją i wysuszyłem przy ogniu. Potem zdarłszy kawał grubego łyka, zrobiłem z niego szeroką obręcz. Rozpięty na niej muślin zastąpił sito, ale że był nieco za gęsty, więc znaczna część zboża pozostawała. Trzeba było na nowo sypać je do stępy i tłuc z taką siłą, że aż pot strumieniami spływał z czoła. Ale wytrwałość uwieńczyła mą pracę.

Następnie wygrzebałem dołek na łokieć szeroki i głęboki, a spód i boki wyłożyłem płaskimi kamieniami. Całe trzy dni zeszły na tej robocie. Czwartego nareszcie zapaliłem duży ogień w dole, a zanim wy gorzał, zarobiłem mąkę wodą, a dodawszy soli, porobiłem z niej placki. Potem wygarnawszy węgle i popiół, ułożyłem je na kamieniach rozpalonych, czekając, co z tego będzie.

Po paru godzinach placki się upiekły. Wydobywszy je z pieca, oczyściłem z popiołu. Prawda, że im daleko było do chleba: ciężkie i zbite, bez dziurek zwykłych w chlebie, zapewne nie smakowałyby wybrednemu Europejczykowi. Lecz ja, nie mając od czterech lat chleba w ustach, jadłem je z największym apetytem, jakby smaczne ciasteczka. Kawał pieczonej koziny, placek jęczmienny i czarka wody stanowiły dla mnie prawdziwą ucztę.

Pomimo burzliwej pory roku, myśl o wyładowaniu dzikich nie dawała mi spokoju. Ile razy słońce rozdarło oponę chmur i chwilowa nastąpiła pogoda, zawsze wybiegałem na skałę strażniczą, upatrując karaibskich łodzi, lecz może było puste i wzdęte, obawa więc była próżna. Rok już upłynął od czasu, kiedy ujrzałem ślad ludzkiej stopy. Pierwsze wrażenie obawy przeminęło, a za nadejściem wiosny wziąłem się do uprawy roli tak spokojnie, jak gdyby dzikich na świecie nie było.

Jednego dnia, powracając z folwarku, ujrzałem w wąwozie skalistym piękne pataty, zszedłem więc z drogi dla narwania ich. Kiedym u stóp stromej skały odginał gałęzie, ujrzałem poza gąszczem krzewiastym czarne zagłębienie w opoce. Przedarłszy się przez zarośla z trudnością, schylony z powodu niskości otworu, wszedłem do jaskini. Lecz któż zdoła opisać mój przestrah, gdy nagle w ciemności zabłysnęła para oczu iskrzących się zielonawym ogniem. Umknawszy co żywo, dopiero na wolnym powietrzu odzyskałem przytomność i odwagę. Byłżeby to jaguar lub ocelot, zwierzęta dzikie i okrutne jak lampart albo pantera? Ba, wszakże od półpięta roku żyję na wyspie. Do tego czasu tak straszne potwory nie zostawiłyby mnie i kóz moich w spokoju. Trzeba mieć więcej zastanowienia i roztropności i za łada przyczyną nie strachać się, jak dziecko. Nabrałem więc odwagi, a nałamawszy suchych gałęzi, skrzesałem ognia i wszedłem ze światłem po raz drugi do jaskini. Lecz zaledwie kilka kroków posunąłem się naprzód, gdy zimny pot wystąpił mi na czoło, a włosy dęba stanęły. Z kąta jaskini dochodziły jak gdyby ludzkie jęki, potem jakiś szept, czy stękania, które mnie do najwyższego stopnia przeraziły.

Zebrałem na nowo odwagę, wspomniawszy, że Pan Bóg znajduje się wszędzie, a Jego opieka czuwa nade mną. Posunąłem się raz jeszcze w głąb groty i ze wstydem przekonałem się, że to widmo, czy jakiś potwór przejmujący mnie strachem, był sobie po prostu starym kozłem, który widać przyszedł tutaj zakończyć życie. Na próżno starałem się podnieść i wy-

prowadzić go z jaskini. Dźwignął się nieco na nogi, lecz upadł znowu bez sił. Zostawiłem go więc, aby w spokoju doszedł kresu dni swoich.

Przyszedłszy do siebie, rozpatrzyłem się w jaskini. Miała wszerek ze sześć metrów, w głąb dziewięć do dziesięciu, a wysokości około trzech. Niekształtna, ani okrągła, ani czworoboczna, zakręcała się w prawo, stopniowo zniżając się coraz bardziej. W samym kącie znajdowało się zagłębienie w skale tak niskie, że tylko na czworakach można się było wczolgać. Postanowiłem przepatrzyć je na drugi dzień z pomocą lampki, nie mając chęci narażać się bez światła na złamanie karku.

Na drugi dzień rano powróciłem z lampką. Stary kozioł już nie żył. Wypatroszyłem go dla tłuszczu, którego jednak niewiele było, a zwłoki zakopałem w ziemi ażeby gnijąc, nie zarażały powietrza.

Otwór w głąbi jaskini ciągnął się kilka metrów, po czym nagle rozszerzał się w prześliczną grootę. Mnóstwo kryształów błyszczących okrywało jej ściany i sklepienie, odbijając brylantowym połyskiem światło lampki. Nie znając mineralogii, nie umiałem rozpoznać gatunku kopaliny okrywającej wnętrze jaskini. Dno jej było suche i pokryte kamienistym żwirem, nigdzie śladu wilgoci ani jadowitych zwierząt, a powietrze dosyć czyste pomimo zamknięcia.

Wąski wchód i ciemność, panująca wewnątrz, zmniejszały powab tej jaskini, lecz dla mnie właśnie była to okoliczność bardzo przydatna, gdyż zyskiwałem kryjówkę przepyszną, w której, w razie najazdu dzikich, mogłem najwyborniejsze znaleźć schronienie. Postanowiłem tu poprzemnieść wszystkie przedmioty większej wartości, a nie co dzień mi potrzebne.

Zniosłem więc część mięsa solonego, mogącego w chłodnej grocie daleko lepiej się przechować, aniżeli w mojej piwnicy. Dalej cały zapas tłuszczu, większą część jęczmienia i kukurydzy, nieco soli. Naznosiłem także suchych gałęzi, aby w razie dłuższego przebywania w grocie nie być zmuszonym do wychodzenia po opał.

Teraz byłem pewny, że chociażby dzicy wysłędzili mój zamek i uwzięli się mnie schwytac, nie zdołają wyspiegować tej kryjówki, a chociażby ją odkryli, nie będą śmieli zapuścić się otworem wąskim, gdzie bym ich mógł z łatwością pozabijać dzidą.

### XXX

## **Burza niespodziewana. Huk dział. Okręt na morzu. Noc przepędzona na strażnicy. Ogień sygnałowy. Poranek. Wyprawa na statek. Pogrzeb topielców. Pies. Niezmierne skarby. Budowa tratwy. Szczęśliwy powrót.**

Nie będę czytelników nudził szczegółowym opisywaniem żniwa, zbiorów, przygotowań na zimę ani też przepędzenia piątej rocznicy rozbicia się, gdyż wszystko szło swoim trybem, jak zwykle, bez najmniejszej odmiany. Przez następne dwa lata nic ważnego nie zaszło w moim życiu, a chociaż przykro mi było przepędzać najpiękniejszy wiek w opuszczeniu na wyspie bezludnej, z pokorą znosiłem mój los, powierzając przyszłość Bogu.

Przez ten czas lasek zasadzony dookoła grotty rozrósł się nadzwyczaj krzaczasto. Liany, zasiane przez wiatry, powikłały się około krzewów i tak nieprzebyte utworzyły zarośle, że prócz krętej ścieżki, mnie tylko wiadomej, niepodobieństwem było bez pomocy topora przedrzeć się przez gąszcz. Byłem więc doskonale zabezpieczony od napadu dzikich, nie mówiąc już o koźlej jaskini, jak ją nazywałem, która ostateczną stanowiła kryjówkę.

Wkrótce zaszła nadzwyczaj ważny wypadek. W nocy z dnia 30 na 31 lipca 1670 roku, w porze zwykle pogodnej, niesłychanym wypadkiem zerwała się szalona burza. Błyskawice co

chwila rozdzierały niebo, gromy prawie nie ustawały. Cały następny dzień i noc huczała nawałnica bez przerwy. Wbiłem sobie w głowę, że niezawodnie znowu będzie trzęsienie ziemi, a lękając się zginąć pod gruzami jaskini, wyniosłem się do stajenki pomiędzy kozy, które, wystraszone burzą, tuliły się do mnie. Około północy deszcz ustał, wicher tylko dał z niepohamowaną gwałtownością.

W parę godzin później, nie mogąc spać dla przeraźliwego świstu wichru, usłyszałem nagły huk, zupełnie do wystrzału z działa podobny. Zerwałem się na równe nogi. Nie był to piorun, gdyż łoskot urwał się od razu. Czyżby to grom podziemny, zwiastujący trzęsienie, czy też o Boże, wystrzał armatni?

Dziwne uczucia wstrząsnęły całą moją istotą. Wskoczyłem co żywo ze stajenki i pomimo ciemności i wichru, wdarłem się na szczyt mojej strażnicy, spoglądając z biciem serca ku morzu. Ledwie że stanąłem na szczycie, kiedy czerwony błysk rozdarł ciemności i drugi raz huk odbił się o nabrzeżne skały. Widziałem wyraźny blask na morzu, nieco opodał od miejsca, gdzie się nasz okręt rozbił. Widocznie był to okręt wzywający ratunku.

– Okręt! Okręt!

O Boże, po siedmiu latach samotności, okręt tak blisko!

Pomimo nadzwyczajnego wzruszenia, zostało mi tyle przytomności, żem pragnął jaki taki nieszczęśliwym żeglarzom dać ratunek. Nie mogąc popłynąć ku okrętowi, starałem się przynajmniej innym sposobem dopomóc, rozpalając ogień. Wprawdzie wicher dał przeraźliwie, ale udało mi się wreszcie rozdmuchać płomień. Naniósłszy kilka pędów suchego chrustu z jaskini, rzuciłem go na ogień. Widać, iż ujrano go z okrętu, albowiem kilka strzałów działowych w krótkich przerwach dało się słyszeć. Całą noc siedziałem na strażnicy, dokładając drzewa. Jeszcze parę razy huk się powtórzył, lecz w końcu wszystko ucichło.

Ranek zajaśniał śliczny, wicher całkiem ustał. Z największą niecierpliwością oczekiwałem zupełnego rozwidnienia, mając wzrok wlepiony w miejsce, skąd mnie w nocy dochodził odgłos dział.

W oddaleniu na morzu ujrzałem jakiś niewyraźny, czerniący się przedmiot. Byłżeby to okręt, lub jego kadłub tylko? Przez parę godzin wpatrywałem się weń bez przerwy, ale nie poruszył się z miejsca, zapewne osiadł na mieliźnie, lub wpadł na haki podwodne, a może stał też na kotwicy.

Pochwyciłem łuk, strzały i dzidę i pobiegłem ku południowemu przyładkowi, spoza którego widać było statek. Przybywszy nad brzeg, spostrzegłem w istocie kadłub skołatanego okrętu. Śnaź wicher wczorajszy rzucił go na przybrzeżne skały. Znajdował się prawie w tym samym miejscu, gdzie nasz okręt przed siedmiu laty uległ rozbiciu, utkwiał na tychże nieszczęsnych co i my rafach.

Statek ten dal mi wiele do myślenia, bo na pokładzie żywego ducha widać nie było. Niezawodnie obsada pomimo ognia roznieconego przeze mnie, nie mogła w ciemności wśród tylu skał znaleźć drogi do brzegu, a natrafiwszy na silny prąd, porwana została na pełne morze. W tym razie zguba ich była nieuchronna i z pewnością morze pochłonęło ich łódź jak niegdyś naszą. Może któryś z rozbitków błądzi gdzieś po wyspie, szukając schronienia. O, z jaką radością podzieliłbym się wszystkimi moimi bogactwami z towarzyszem niedoli. Na koniec i to być mogło, że inny jaki okręt, słysząc odgłos strzałów dawanych na trwogę, popłynął ku rozbitemu statkowi i obsadę zabrał na swój pokład. W każdym razie byłem przekonany, że na okręcie nie ma nikogo.

Cokolwiek bądź się stało, zawsze biedni ludzie, składający obsadę, godni byli pożałowania. O, jakżem powinien być wdzięczny Panu Bogu Wszechmogącemu, który mię łaską swoją cudownie ocalił, podczas gdy z obu okrętów rozbitych ani jeden człowiek nie zdołał się uratować. Nie umiałem znaleźć słów, aby wyrazić uczucie, jakie mię ogarnęło na widok zgruchotanego okrętu.

– Ach, Boże, który tak dobrym dla mnie okazałeś się Ojcem, spraw, abym w zamian za Twe dobrodziejstwa choć jednego nieszczęśliwego mógł wyratować. Przez długi czas pobytu mego na wyspie w opuszczeniu i samotności nigdy tak ciężkiej nie doznawałem tęsknoty, jak w tej chwili. Zdawało mi się, że już dłużej sam na wyspie żyć nie potrafię. Przychodzą czasem człowiekowi jakieś dziwne urojenia, budzą się długo uspięne popędy namiętności. Najmniejszy powód, widok jakiegoś przedmiotu, rozgrzewa wyobraźnię i zdaje się wtedy, że już nie można żyć bez tego, czego się pożałowało. – Czyż Bóg chce, ażeby tu żył sam jeden, tylko sam jeden? – Wymawiając kilkakrotnie te słowa, załamywałem ręce, zaciskałem je kurczowo i ścisnąłem zęby tak silnie, iż się zdawało, iż szczęk nie zdołam otworzyć.

Nagle przyszła mi myśl, ażeby się jakimkolwiek sposobem dostać do okrętu. Nie tylko mogłem ocalić kogoś z obsady, jeżeli się jeszcze znajduje na statku, ale wydobyć z niego wiele przedmiotów bardzo mi przydatnych i użytecznych. Żądza dostania się na pokład stała się tak gwałtowna, iż uważając ją za natchnienie Boże, postanowiłem bez zwłoki zamiar wykonać.

Było to właśnie około południa. Morze tak dalece odpłynęło od brzegu, że przeszedłszy znaczny kawał w bród, nie byłem więcej jak o sto kroków oddalony od statku. Kiedy straciłem grunt pod nogami, zacząłem płynąć i wkrótce dostałem się do okrętu. Opłynąłem go dwukrotnie wokół, lecz nie znalazłem nic takiego, czego by się uchwycić można dla wdrapania na pokład. Nareszcie ujrzałem koniec liny, którego w pierwszym wzruszeniu nie dostrzegłem. Unosił się z przodu okrętu, ponad wodą tak nisko, że go można było dosięgnąć. Złapawszy się rękami, przy pomocy liny dostałem się na koniec na wierzch i aż podskoczyłem z radości, że mi się udało tego dokonać.

Był to piękny statek kupiecki o dwóch masztach, obecnie zdruzgotanych, pochodzenia, jak zauważyłem z budowy, portugalskiego. Rzucony na ławicę piaskową, przechylił się tak mocno naprzód, że dziób zaledwie na sążen wystawał z wody, gdy rufa kilkanaście stóp wznosiła się w górę. Od wczorajszego wieczora zajęty okrętem, nie pomyślałem nawet o jedzeniu, lecz w tej chwili tak mi głód dokuczył, że zamiast szukać, czy nie znajdę na statku jednego choćby człowieka, poskoczyłem do spiżarni okrętowej. Jakiż widok czarowny: tu beczki sucharów, tam słonina, szynki, dalej kawa, kakao, cukier, mąka, suszone owoce, ryż, sago, masło, sery, powidła, groch, rozmaite korzenie. Dalej w drugiej przegrodzie: wino, wódka, rum, ocet, ryby marynowane, śledzie, łosoś wędzony, opodał żyto, jęczmień, pszenica. Czegóż tam nie było!

Odurzony widokiem tych przysmaków, których od siedmiu lat nie kosztowałem, usiadłem na ławie, prawie zapominając o apetycie. Lecz wkrótce żołądek zaczął domagać się praw swoich. Kawał suchara i tęgi zraz szynki, pokropione kieliszkiem likieru, znikły jak w przepaści. Pokrzepiony przepyszną zakąską, zjadłszy jeszcze nieco sera holenderskiego, poszedłem na dalsze zwiady.

Pierwszym przedmiotem, jaki ujrzałem, było dwóch utopionych majtków, którzy snadź szukając ratunku w wódce, spadli na dno okrętu, gdzie się już sporo nabrało wody. Poznałem przyczynę ich śmierci, ponieważ leżeli zatopieni przednią częścią ciała w wodzie. Mając przytomność, zapewne byliby się wyratowali.

– Zanim rozpoczniesz grabież, rzekłem do siebie, należy wprzód wykonać uczynek miłosierny i pochować tych biedaków. Obwinałem ich w płótno żaglowe, opasałem sznurem, a do nóg przyczepiwszy kule armatnie, spuściłem w morze. Potem uklękawszy na pokładzie, zmówiłem pacierz za spokój duszy tych nieszczęśliwych.

– Teraz dalej do przeglądania, co mi się przydać może.

– A czy masz prawo zabierać cudzą własność, zapytał głos sumienia,

– Niezawodnie, że mam, odpowiedziałem sam sobie. – Wszak i tak morze rozwali za pierwszą nawałnicą statek, a więc lepiej, że ja zabiorę, aniżeli gdyby te skarby miały pochłonąć bałwany morskie.

A więc do dzieła, nie traćmy czasu, bo któż wie, jak długo potrwa pogoda. Trzeba z niej korzystać.

Poszedłem naprzód do kajuty kapitana i zaledwie dotknąłem klamki, kiedy nagle szczekanie i skomlenie psa dało się słyszeć. Ach, wierzcie mi, kochani czytelnicy, że najpiękniejsza muzyka w świecie nie sprawiłaby mi takiej przyjemności, jak głos tego poczciwego i wiernego zwierzęcia. Otworzyłem drzwi, a wnet czarny duży pies poskoczył ku mnie radośnie i kręcąc ogonem, łasić się począł. Pogłaskałem go i rzuciłem mu kawałek pozostałego suchara, który z wielkim apetytem pochłoniął.

Na próżno szukałem papierów i dziennika okrętowego, nic nie znalazłem. Zapewne uchodzący zabrali je z sobą. W kajucie kapitana wisiała prześliczna broń, dwie strzelby, para pistoletów, kordelas, róg z prochem, worek z kulami. Widok ten zachwycił mnie. Od siedmiu lat obchodziłem się nędznym łukiem. Pochwyciwszy pistolety, otworzyłem okienko i wypaliłem, aby przypomnieć sobie huk i użycie broni.

– Ho, ho, panowie ludożercy, teraz was się nie lękam już wcale. Proszę mnie unikać, bo żartować nie myślę i za pierwszą sposobnością nauczę was gwizdać po kościele!

Stąd pobiegłem do zakątka, gdzie cieśla okrętowy zwykł chować swe narzędzia. O, Boże! siekiery, piły, młoty, gwoździe, dłuto, obcęgi – cóż to za skarby, co za skarby nieocenione!

– Ależ mój kochaneczku, zawołałem, zastanów się nieco. Jak zaczniesz wszystko oglądać, to cię tu i noc zaskoczy, burza się zerwie i jak skąpiec ze skarbami pójdiesz na pokarm rekinom. Dalej do pracy, zimna krew przede wszystkim. Rzeczy użytecznych jest mnóstwo, lecz ich pod pachę nie zabierzesz i nie popłyniesz wpływ z takim ciężarem. Namyśl się więc, jak to wszystko przetransportować na wyspę.

Kto by z boku na mnie patrzył, niechybnie wziąłby mnie za wariata, gdyż ciągle sam ze sobą na głos rozmawiałem, bo też radość tak przepelniła moją duszę, że mi się musiał wygadać i chociaż tym sposobem ulżyć niejako wezbranym uczuciom.

– Czółna, szalupy, ani bata nie ma, jakże więc sobie bez nich poradzę?

– Zbuduj tratwę, a obejdiesz się bez łodzi,

– Pragnąłbym to zrobić, tylko że nie ma potrzebnego materiału na podorędziu.

– Są drzwi, ławy, stoły i mnóstwo innych drewnianych sprzętów, czegoż się więc namyślasz?

Natychmiast zabrałem się do roboty. Zbiłem dwie długie ławy poprzeczną łątą, potem dołożyłem parę rei, leżących w składzie, przyczepiłem do tego kilka innych desek, lecz wkrótce poznałem całą niestosowność tej roboty. Tratwa była gotowa, ale nie tylko nie mogłem jej spuścić na morze, ale nawet z miejsca poruszyć.

– Oj, ty cielęca głowo, straciłeś nadaremnie całą godzinę czasu, rozbierzże to na powrót, wszak widzisz, że trzeba zbijać tratwę na morzu.

Szczęściem morze było spokojne. Strąciłem więc najprzód dwie belki, związane poprzecznymi łątami, a potem inne kawałki drzewa. Spuściwszy je po drabinie sznurowej, poprzybiłem wielkimi gwoździami żerdzie, poukładałem na nich deski i po dwóch godzinach pracy zrobiłem nareszcie dosyć mocną tratwę, którą przywiązałem do szczytka steru, aby mi jej woda nie zabrała.

Tratwa mogła unieść mnie i kilka cetnarów ciężaru, trzeba tylko było wybrać najpożyteczniejsze rzeczy. Zabrałem więc naprzód topór, dwie siekiery, duży nóż, młot, piłę, skrzynkę gwoździ i świder. Następnie dwie strzelby z kajuty kapitana, kordelas, dwa pałasze, pistolety, barylkę prochu, mogącą zawierać około pięćdziesięciu funtów, worek kuł, trzy sery holenderskie, worek sucharów, kawał wędzonki, słoninę, nieco ryżu, kociołek i dwa rondelki. Więcej brać nie można, boby tratwa nie zdołała unieść ciężaru.

Pies, zaszczekawszy radośnie, wskoczył za mną na płytę.

Poleciwszy się Bogu, odbiłem od okrętu, wiosłując długą żerdzią, a ponieważ właśnie przyływ morski pędził fale ku brzegowi, w krótkim czasie dostałem się do lądu. Wprawdzie było jeszcze do zachodu słońca parę godzin, lecz nie odważyłem się płynąć drugi raz.

## XXXI

### **Mój dwór. Nowa wycieczka. Bielizna. Rozmaite narzędzia. Namiot. Złoto i srebro bez wartości. Pismo święte. Błoga przepowiednia. Działo i kule.**

Co się ze mną działo po powrocie, tego opisać nie umiem. Z bijącym sercem przypatrywałem się zdobytym skarbom. Brałem jedno po drugim do ręki, nie mogąc nacieszyć się, nie mogąc uwierzyć, że do mnie należy.

Poprzenosiwszy wszystko tego samego dnia jeszcze do jaskini, nowego doznałem kłopotu. Gdzie to umieścić, gdzie pochować, czy nie lepiej byłoby zanieść rzeczy do koźlej jaskini, dla zabezpieczenia przed Karaibami? Ale na co? Czyż nie mam straszliwej broni na ich odparcie?

Wieczera odbyła się z wielką uroczystością. Zasiadłem na krześle, jak monarcha, licznym otoczony dworem. Grochówka, ugotowana na wędzonce, kurzyła się na stole, wydając aromatyczny zapach. Na ramieniu usiadła papuga, zjadając kawałki cukru, które jej podawałem. Z jednej strony służył Amigo,<sup>3</sup> tak bowiem nazwałem pudła, z drugiej ulubiona koza szarpała mnie pyszczkiem za rękaw, domagając się swego działu.

Tysiące miałem rozrywek z mymi dworzanami. Pies z początku stoczył bójkę z kozą, lecz niezadowolony z jej wyniku, uznał za stosowniejsze zawrzeć pokój. Papuga wrzeszczała przeraźliwie za każdym kąskiem, który psu dawałem, zazdroszcząc mu moich względów. W parę dni potem nastął pokój zupełny, a gdyby ktoś z boku przypatrywał się biednemu pustelnikowi, dzielącemu ze swymi zwierzętami posiłek, pewnie nie zdołałby się wstrzymać od śmiechu.

Uniesiony radością ścisnąłem i całowałem na przemian to pudła, to kozę. Jak to biedne serce ludzkie potrzebuje jakiegoś przywiązania i obejść się bez niego nie może. Wprzódy mało na to zważałem, lecz dziś, w chwili pierwszej pociechy, po tylu latach, dusza moja pod wrażeniami radości topniała, łzy dobywały się z oczu i czułem potrzebę wywnętrzenia się i okazania mych uczuć.

Przed udaniem się bardzo późno na spoczynek, upadłem na kolana i gorąco podziękowałem Bogu za wszystko, co dziś otrzymałem.

Noc przepędziłem bardzo niespokojnie, budząc się co chwila i nie mogąc doczekać poranka. Nareszcie wzeszło wspaniałe, upragnione słońce, zapowiadając najpiękniejszą pogodę. Ucieszyło mię to niezmiernie, gdyż mogłem bezpiecznie przedsięwziąć nową wycieczkę na okręt.

Przybywszy nad brzeg morski, zastałem tratwę przywiązaną do drzewa. Natychmiast, korzystając z odpływu morza, odbiłem od brzegu i dostałem się szczęśliwie na okręt. Tym razem wziąłem ze skrzyni paczkę haków i gwoździ, tuzin siekier, dwie kielnie, wielki świder, trzy topory, kilka hebli i duży brzus z piaskowca do ostrzenia narzędzi. Potem, przeszukawszy zbójownię, wydobyłem dziesięć muszkietów, tuzin pałaszy i pik, dwie baryłki, napełnione kulami muszkietowymi, baryłkę z prochem i kilka metrów lontu, to jest powroza wygotowanego w roztworze saletry, a służącego do zapalania armat. Mógł on mi się przydać bardzo

---

<sup>3</sup> Po hiszpańsku *przyjacieł*.



zamiast hubki przy krzesaniu ognia. Następnie udałem się do kajuty kapitana. Tam w skrzyniach i kufrach znalazłem rzecz nieocenionej wartości – bieliznę.

Zapominając o wszystkim, rozebrałem się i natychmiast wskoczyłem w morze, a wykapawszy się, włożyłem świeżą bieliznę. Kto jej nie nosił przez siedem lat blisko, ten tylko potrafi ocenić przyjemność, jakiej doznałem, uczuwszy ją na ciele. Zaraz potem wybrałem kilka skrzyń, parę tuzinów koszul i innego ubrania, prześcieradła, hamak, poduszkę, siennik, kołdry i zrobiwszy ze wszystkiego tłumok, spuściłem na tratwę. Kilka pęków sznurów i cetnar mydła dopełniły ładunku, z którym szczęśliwie wylądowałem.

Chcąc jeszcze drugą wycieczkę dzisiaj zrobić, nie znosiłem rzeczy do domu, lecz zostawiłem je na brzegu, dużym żaglem przykrywszy. Na obiad zjadłem suchar z kawałkiem wędliny, a nie wypoczywając wcale, znowu pożeglowałem ku okrętowi. Czas był dla mnie bardzo kosztowny, gdyż lada wicher mógł statek zatopić.

Po południu przybywszy na pokład, zabrałem suknie, należące do rozmaitych osób, nie przebierałem w nich wcale, lecz co się znalazło pod ręką, spuszczałem na tratwę. W składzie okrętowym znalazłem duży krąg wosku i beczułkę oleju.

– No, teraz już mi nie zabraknie światła, zawołałem z radością.

Wziąłem także kilka próżnych beczek i pak, bo i te miały wartość dla mnie, zastępując kosze, używane dotąd do przechowywania żywności i innych rzeczy.

Wylądowawszy, rozbiłem przy pomocy żagla, sznurów i kołków ponad mymi rzeczami namiot i postanowiłem przepędzić noc na brzegu, aby jutro oszczędzić sobie drogi od jaskini nad morze.

Noc była prześliczna, gwiazdy jaskrawo świeciły, a ja pod namiotem rozciągnąłem się wygodnie na materacu. Mając pod głową poduszkę, a przykryty kołdrą, używałem, jak jaki monarcha wschodni.

Przebudziwszy się przed wschodem słońca, postanowiłem wpław popłynąć do okrętu, a to dlatego, aby zbudować nową tratwę i tym sposobem mieć więcej drzewa. Przy zbijaniu pierwszej nabrałem wprawy, a morze zupełnie spokojne nie przeszkadzało mi wcale.

Pierwszym więc zatrudnieniem za przybyciem na pokład było wyrzucenie dwóch dużych belek na wodę, ma się rozumieć przywiązanych sznurami, aby ich fale nie uniosły. Pomiędzy nie narzucałem łat i desek, i wkrótce tratwa była gotowa.

Przebrałem się zaraz w suknie europejskie, gdyż w moich szatach dawnych było mi za gorąco przy tej ciężkiej pracy. Kiedym się przejrzał w lustrze, dziwnego doznałem wrażenia. Wprawdzie już nieraz przeglądałem się w strumieniu, ale przypadkiem raczej aniżeli z umysłu. O, jakżem się przez te siedem lat odmienił. Cera niegdyś delikatna, młodzieńcza – zgrubiała, opalona skóra była podobna do indiańskiej, broda i wąsy okryły twarz, a długie włosy spadały w nieładzie.

– O, mój Robinsonku, jakże się nieboraku, zestarzałeś, rodzice nie poznaliby cię wcale. Z młodego chłopca zostałeś dojrzałym mężczyzną, a kłopoty, troski, zmartwienia i niewygody niemało się do tego przyczyniły.

Wyżaliwszy się tak przez chwilę, powróciłem do pracy, bo już czas przyływu nadchodził i trzeba było z niego korzystać. Wylądowana tratwa zanurzała się dość głęboko, gdyż kilka kręgów ołowiu, które wraz z maszynką do lania kul zabrałem, przyczyniły niemało ciężaru.

Płynąc ku brzegowi, rozśmiałem się mimowolnie, patrząc na zapasy broni i amunicji, których najwięcej zabrałem. Przestrach był tego powodem. Zdawałoby się, że chcę prowadzić wojnę z całą ludnością karaibską.

Po południu odbyłem nową podróż. Okręt przez burzę znacznie widać ucierpiał, gdyż dużo towarów było zepsutych. W składzie na dole było kilka dużych beczek z winem, lecz tak ciężkich, że ich nie mogłem z miejsca poruszyć. Zresztą, nie uganiałem się wcale za gorącymi napojami i wziąłem tylko jedną baryłkę wina, ażeby w razie choroby mieć jakiś ratunek.

Pomiędzy mnóstwem rzeczy zabrałem łopatkę do węgla, szczypce, pogrzebacz, parę drągów żelaznych. Lecz co mię najbardziej zachwyciło, to kilkanaście łopat, żelazem okutych, które mi do uprawy roli bardzo się przydać mogły oraz kilkanaście niewielkich radełek, snadź przeznaczonych do oborywania trzciny cukrowej. Zabrałem także duży miedziany kocioł, maszynkę do czekolady i żarna nowiuteńkie, dosyć duże, na koniec ruszt wielki i znaczny zapas wędek rozmaitego gatunku. Już miałem odpływać, kiedy żałosne miauczenie dało się słyszeć spod pokładu. Zbiegłem na dół po schodach i znalazłem dwa koty wygłodniałe i chude. Rzuciłem im kawał słoniny, którą chciwie pożarły. Wprawdzie zwierzęta te nie były mi na nic pożyteczne, lecz litość przemogła i zabrałem je na tratwę, czego potem bardzo żałowałem, bo rozmnożywszy się, robiły mi różne psoty tak, że je musiałem wystrzelać.

Noc przepędziłem znów pod namiotem, uzbrojony pistoletami i strzelbą. Pies leżał przy moich nogach, nie było więc obawy, aby mię wróg jaki zaszedł niespodziewanie.

Następnego poranka, dopłynąwszy wpław do okrętu, zbudowałem trzecią tratwę. Oprócz innych użytecznych rzeczy, zabrałem kilka garnków z konfiturami, kilkanaście chustek do nosa, chustki na szyję, na koniec duży zegar okrętowy. Rewidując wszystko dokładnie, napotkałem pod łóżkiem kapitana tajną kryjówkę, w której była znaczna suma pieniędzy.

– Cóż mi po was, zawołałem z niechęcią, wszak od siedmiu lat posiadam garść złota, a dotąd najmniejszego zeń użytku nie miałem. I w samej rzeczy już chciałem pozostawić skarb nietknięty, ale myśl, że może kiedyś znajdzie się jego właściciel, nakłoniła mnie do zabrania go.

Policzyłem pieniądze: było 1934 poczwórnych portugalów złotych, 730 gwinei i 4360 plastrów srebrnych hiszpańskich. W ogóle cała suma wynosiła przeszło półszósta tysiąca funtów szterlingów i ważyła przeszło cetnar. Z trudnością wywindowałem szkatułę spod łóżka, ale pieniądze musiałem rozdzielić, bojąc się na raz spuszczać je na tratwę.

Jednej tylko rzeczy nie dostawało, to jest obuwia. Zaledwie po starannym szukaniu udało mi się zgromadzić kilka par trzewików, pozostałych po majtkach, i w nie najlepszym będących stanie. Pończoch za to znalazłem znaczny zapas i parę dobrych perspektyw.

Otworzywszy szafkę kapitana, znalazłem kilkadziesiąt arkuszy papieru, pióra i atrament. Tak mnie to ucieszyło, że natychmiast pochwyciłem za pióro, próbując, czy też nie zapomniałem pisać, ale łyzy, spadające na papier, zalały pierwsze litery. I znowu upadłem na kolana, dziękując Bogu za to odkrycie. Przeglądając dalej, napotkałem kilka książek w pergaminowej oprawie. Jedna z nich, grubsza, zwróciła moją uwagę. Otwieram i nie wierzę mym oczom. O, Boże! Wszak to biblia. Pismo Święte, za którym od dawna tak wzdycham, źródło pociechy i źródło ulgi dla biednego, opuszczonego samotnika. Otworzyłem ją, a pierwsze wyrazy, na które padły me oczy, brzmiały:

*„Tedy wywiedzie cię Pan Bóg twój z więzienia twego i zmiłuje się nad tobą”.*

Głośny płacz ze łkaniem przerwał czytanie dalsze. Przez kilka minut przyjść do siebie nie mogłem, bo też pierwszy wiersz księgi świętej zwiastował mi pociechę niewymowną i przypadł zupełnie do położenia mojego.

Ochłonąwszy z tego wrażenia, zabrałem biblię, jako skarb największy i umieściłem na samym środku tratwy, bojąc się, aby przypadkiem Święte Pismo nie przepadło. Toż samo uczyniłem z papierem i atramentem. Oprócz tego znalazłem kilka paczek piór dobrych, trzy scyzoryki, korkociąg, wielki nóż hiszpański, zwany machete, który służy zarówno na polowaniu, jak i w przebywaniu lasów gęstych, do wycinania przejść, dwie piłki ręczne ogrodnicze, nóż zakrzywiony do obcinania wilków, oraz nożyce na kiju przymocowane do obcinania owoców na drzewach, młynek i piecyk do kawy, denarek pod kocioł, wielką żelazną łyżkę do lania kul, kilka sit rozmaitej grubości, kowadło, kilka młotów, cęgi, miech i pilniki z okrętowej

kuźni. Wyrwałem także drzwiczki z kuchni i pozdejmowałem blachy, zamyślając wystawić piec do gotowania.

Nareszcie zabrałem zapas noży, widelców i mis, bo chociaż miałem te ostatnie ale zgrabny wyrób europejski miał daleko więcej dla mnie powabu, aniżeli moje liche kleconki. W kufrze kapitańskim znalazłem kilka funtów śrutu różnego kalibru i blaszankę zawierającą parę kwart przepysznego prochu, z czego wniosłem, że musiał być amatorem polowania.

W następnych wycieczkach przewiozłem jeszcze dwie skrzynie pięknego cukru, parę worów kawy, dwa pudełka rodzyneków, beczkę przedniej mąki, drugą ryżu, wreszcie wszystkie suchary i wędliny zapasowe, żagle, sznury i liny, niewielką kotwicę od szalupy, szczotki, sztaby żelaza, młotki, kilkanaście arkuszy blachy. Powyjmowałem okna z kajuty, wziąłem łańcuch, kompas mały, lusterko, nożyczki i igły, oraz całe płótno, jakie gdziekolwiek dało się wynaleźć. Powydobywałem ze ścian gwoździe i haki, zabrałem wszystkie ołów i proch, nie pogardzając nawet baryłką zamoczonego. Na koniec parę set flaszek próżnych, nie wiedząc nawet, na co by mi się przydać mogły.

Zdawało mi się, że już wszystko pozabierałem, cokolwiek mogło mieć jakąkolwiek wartość, a przeglądając raz jeszcze skrzynie i skrzynki podróży i obsady, znalazłem nieco bielizny i zbiór różnych monet, wartości razem przeszło sto funtów szterlingów. Na koniec, patrząc na działa okrętowe, umyśliłem zabrać chociażby jedno, dla dawania sygnałów w przypadku, gdyby mi się udało ujrzyć jakikolwiek okręt.

Bardzo wiele trudów kosztowało mnie spuszczenie działa na tratwę, umyślnie z grubych powiązaną belek. Na szczęście winda do wciągania towarów dała się do tego użyć. Nierównie łatwiej poszło z trzema małymi falkonetami<sup>4</sup>, które miały jednofuntowy kaliber. Wziąłem także lawety do wszystkich czterech sztuk, a nadto kilkadziesiąt kul sześciofuntowych i parę set kulek falkonetowych.

## XXXII

### **Zabezpieczenie zdobywcy. Palisady. Kuchnia i kuźnia. Rocznicą uroczystości domowej. Budowanie czołna. Opuszczam wyspę. Prąd morski. Niebezpieczeństwa. Głos ludzki budzi mnie z uspienia.**

Wylądowawszy szczęśliwie, postanowiłem nie wracać już na okręt, chyba po przeniesieniu wszystkiego w bezpieczne miejsca. Przychodziło mi bowiem na myśl, że jeżeli dzicy z sąsiedniego lądu w istocie przybijają niekiedy do mojej wyspy, to obecnie, znęcani widokiem okrętu, mogliby się skierować w tę stronę, a zobaczywszy na brzegu takie mnóstwo pak, napadliby mnie i zrabowali. Po wtóre, na okręcie nic już nie było godnego zabrania, a wreszcie lada burza mogła zniszczyć zupełnie owoce mojej pracy, zamoczywszy proch, cukier, mąkę i suchary.

Przypuszczenie to przejęło mnie dreszczem. Natychmiast zacząłem przenosić rzeczy do jaskini, ale niektóre były tak ciężkie, że podźwignąć ich nie mogłem. Z okrętu spuszczałem je na tratwę za pomocą windy. Przyszło mi na myśl urządzić wózek, co poszło bardzo łatwo. Użyłem do tego lawet od falkonetów i w ciągu ośmiu dni poprzewoziłem wszystko pod okopy mego zamku. Ażeby zaś niespodzianie nie zaskoczyła mnie ulewa, rozpiąłem ogromny

---

<sup>4</sup> Falkonetem nazywano rodzaj małego działka dawniej używanego.

namiot z wielkiego żagla zapasowego. Ostrożność ta na złe mi nie wyszła, albowiem dziewiętej nocy powstała znowu burza z deszczem i piorunami.

Nie lękałem się o przedmioty ulegające zepsuciu od wody, gdyż wszystkie znajdowały się w jaskini, ale kiedy piorun zgruchotał niezbyt odległe drzewo, straszliwa ogarnęła mnie trwo-ga. Przypomniałem sobie, że tuż obok mnie znajduje się do czterechset funtów prochu. Gdyby piorun weń uderzył, wyleciałbym w powietrze z całą jaskinią. Klęcząc i modląc się, przepę-dziłem resztę nocy na kolanach, drżąc za każdą błyskawicą i polecając się Bogu. Na koniec nad ranem burza uspokoiła się i piękna zajaśniała pogoda, ale mimo to, przez długi czas nie mogłem przyjść do siebie z przerażenia.

Po śniadaniu umyśliłem przenieść proch do koźlej jaskini. Ażeby nie zamókł, pakowałem go w próżne flaszki, przywiezione z okrętu, a potem biorąc po kilkanaście do kosza, nosiłem do mojego skalistego magazynu, umieszczając je w brylantowej grocie, to jest w drugiej ja-skini. Zostawiłem sobie tylko do użycia z dziesięć funtów prochu, zakopanego w ziemi w butelkach. Do jaskini zaniósłem też znaczną część innych zapasów i narzędzi, aby w razie napadu dzikich i niepomyślnego obrotu walki mieć pewność, że nie utracę mych skarbów, chociażbym był zmuszony uciekać.

Duże działo wywindowałem, przy pomocy kółek odjętych od falkonetów i lin, na strażni-cę, tam je przymocowałem na lawetach częściami poprzenoszonych, a wreszcie przykryłem budką z desek, aby je zabezpieczyć od deszczy. Skierowałem wylot ku morzu, aby gdy nadej-dzie potrzeba dawania sygnałów okrętom, odgłos szedł w tamtą stronę.

Mając teraz znaczny zapas broni i amunicji, jak również narzędzi ciesielskich, umyśliłem obwieść mój zamek palisadą. Zaopatrzony w siekierę i piłę, w towarzystwie psa wyszedłem do lasu na ścinanie drzew. Wybierałem na ostrokół drzewa średnicy 5 do 20 centymetrów, a nadciawszy pień z boku, piłowałem do reszty. Potem po obydwóch końcach zaostrzałem to-porem. Pale te były długie na pięć i pół metra. Ładowałem je po kilka na wózek i transporto-wałem do siebie. Pomimo usilnej pracy z wyjątkiem świąt, zaledwie w sześć tygodni przy-sposobiłem około dwustu sztuk i teraz mogłem przystąpić do palisadowania.

Wykopawszy rów w odległości trzech metrów dookoła muru, ustawiłem pale jeden przy drugim, a potem, obrzuciwszy je kamieniami, przysypywałem ziemią. Tym sposobem utwo-rzył się gęsty ostrokół, wysoki na trzy metry. Zostawiłem w nim co kilka metrów otwór czyli strzelnicę do ręcznej broni, falkonety zaś umieściłem na trzech wystających rogach, obwód bowiem miał kształt pięciokąta z szeroką podstawą, którą formowała jaskinia.

Po ukończeniu tej pracy, byłem zupełnie zabezpieczony od nieprzyjaciela, chociażby na-wet w bardzo wielkiej liczbie podstąpił pod zamek.

Ponieważ pora deszczowa wkrótce miała się rozpocząć, a ja wciąż zajęty to sprowadza-niem rzeczy z okrętu, to zwożeniem ich, to wreszcie palisadowaniem zamku, nie mogłem wcale myśleć o uprawie roli i zasiewach, postanowiłem ustawić sobie kuchnię i kuźnię.

Na cegłę trzeba było kopać glinę. Jakże mi to teraz poszło łatwo przy pomocy doskonałych łopat, kiedy dawniej pocilem się, grzebiąc dzidą i motyką. Nakopawszy znaczny zapas, wyra-białem cegłę w formie, zrobionej z desek. Miałem ich dość, pozbierawszy różne przegrody okrętowe i zabrawszy niemało pak różnej wielkości.

Mając spory zapas wypalanej cegły, wziąłem się do roboty. W kilka dni stanęła kuchnia w miejscu, gdzie niegdyś był komin do wędzenia mięsa. Zaopatrzyłem ją drzwiczkami i blachą, a obok tego wymurowałem ognisko na kuźnię, przyprawiwszy miech z boku. Obie znajdo-wały się pod dachem z desek.

Trzebaż było widzieć pana Robinsona, jak przepasany fartuchem z żaglowego płótna, przyrządzał obiad. Na blasze stał garnek, w którym gotował się rosół z koziny, zasypyany klu-szczkami z białej jak śnieg mąki, zagniecionej papuzimi jajami. Obok w rondlu kłębił się plumpuding z ryżu z rodzynkami, w serwecie zawiązany. Na patelni smażyła się młoda papu-ga, a na brytfannie piekł się zajaczek, naszpikowany słoniną.

Niezawodnie ciekawym jesteś, czytelniku, gdzie się naliczyłem gotować. Trzeba ci wiedzieć, że w młodości byłem wielkim ciekawcem, wścibskim. Lubiłem przesiadywać w kuchni i patrzeć, jak gotuje kucharka. Otóż w tej akademii ukończyłem wydział kucharski, a potrzeba i doświadczenie wypromowały mnie na doktora tej sztuki.

Czy też przypadkiem nie marszczysz brwi z gniewu, że dorwawszy się europejskich przysmaków zbytkuję, zapominając o jutrze? Zaraz ci się wytłumaczę, dlaczego dzisiaj wyprawiam taki bankiet.

Jest to dzień 16 września, rocznica urodzin i imienin mojej ukochanej matki. Pamiętam, jak ten dzień w domu obchodziliśmy uroczysto za dni szczęśliwych dziecinnej swobody. W dniu tym, wszyscy trzej ubrani w najpiękniejsze sukienki, z bukietami jesiennych kwiatów w ręku, prowadzeni przez ojca, spieszyliśmy wieszować matce. Potem modliliśmy się gorąco w kościele za jej zdrowie. Po obiedzie, zwykle wykwinnym, jeżeli pogoda pozwalała wybieraliśmy się na jaką wycieczkę za miasto. O, jakże szczęśliwe były to czasy! A dziś...

Postanowiłem więc dzień ten przepędzić uroczysto. Rano, nie mogąc wieszować matce, pobiegłem do mego kościoła, a ustroiwszy krzyż w kwiaty, długo modliłem się za matkę ze łzami, nie wiedząc, czy jeszcze żyje. A teraz gotowałem zbytkuwany obiad i najlepszym winem miałem spełnić jej zdrowie. Cały mój dwór, zaproszony do stołu, dzielił ucztę, używając wszystkich potraw na równi z panem.

Ponieważ dawniejsze zagrodzenie bambusowe nie zasłaniało mnie dobrze od słońca jesiennych, sporządziłem więc szczelną ścianę z desek, w której znajdowały się dwa okienka, wyjęte z kajut okrętowych i drzwi z zamkiem z kajuty kapitana. Mogłem się teraz zamykać na noc, nie obawiając się niespodziewanego napadu.

Wnętrze jaskini było wybornie zaopatrzone, na kłocach leżały deski, na nich stało łóżko z pościelą, obok stół, świeżo zrobiony z desek, na nim świeca woskowa, koło stołu krzesło, nad łóżkiem namiot z żaglowego płótna, a kiedy na kominku buchnął ogień, a drzwi i okna zasłoniłem firanką, można się było rozkoszować i drwić z burzy, ryczącej na dworze.

Przejście, wiodące przez korytarz, zagroziłem także ścianą, aby uchronić się od wyziewów spiżarnianych. Drugie zaś wyjście zatarasowałem tak dobrze, że nikt tamtędy nie mógłby się dostać do jaskini.

Czasami tylko wspomnienie o trzęsieniu ziemi mnie przerażało, ale wspomniawszy na Opatrzność, powierzałem się Jej z ufnością i odzyskiwałem spokój.

W zimie dni powszednie schodziły mi na pracy, wieczory i święta na czytaniu biblii. Ach, ta nieoceniona księga była mi najlepszym towarzyszem i przyjacielem w samotności. Z niej czerpałem zdrój pociech w moim osamotnieniu.

Skoro tylko zabłyśły pierwsze promienie wiosennego słońca, wziąłem się do uprawy roli. Do radełek, zaopatrzonych w jarzma, pozaprzągałem kozy. Z początku nie chciały ciągnąć, lecz pręt był wybornym profesorem i nauczył je posłuszeństwa. Za pomocą tego zaprzęgu zorałem tak wielki kawał pola w tygodniu, że łopata nie dokazałbym tego w dwóch miesiącach. Podzieliwszy je na części, pozasiewałem pszenicą, grochem, żytem, jęczmieniem, a wreszcie owsem, przeznaczając go dla kóz. Zasiałem zawłokłem broną, zrobioną ze szpernali, na okręcie znalezionych. Na koniec zasadziłem kilka garści rodzynek, próbując, czy mi się nie uda wyhodować winorośli.

Po ukończeniu tych robót, zostało mi parę miesięcy czasu na inne zatrudnienia.

Czymże się teraz zająłem? Jak sądzisz, kochany czytelniku? Oto budowę łodzi.

– Czyż ci tak źle na wyspie – zawołasz, wzruszając ramionami. – Wszak masz wszystkiego dosyć: pyszne mieszkanie; pełną spiżarnię, broni i amunicji pod dostatkiem. Ileż razy doświadczyłeś niestałości morza! Czyż znowu, podobnie jak niegdyś w Brazylii, chcesz popełnić szaleństwo? Nie lepiej zaczekać, aż ci Bóg ześle okręt na ratunek?

Wszystko to prawda, lecz mnie zdawało się inaczej. Sądziłem, że Opatrzność właśnie dlatego zaopatrzyła mnie w różne przyrządy do zbudowania łodzi, ażebym się mógł wyratować z mego położenia.

Wybrawszy drzewo, rosnące o kilka kroków od głębokiego strumienia, ściałem je siekierą, a obrobiwszy zewnątrz toporem, zacząłem wypalać środek rozżarzonymi węglami. Kiedy już zagłębienie zdawało mi się dostateczne, począłem je wyrównywać dłutem i siekierą, po czym zacząłem kopać rów, głęboki na półtora metra, a na dwa metry szeroki.

Ale wtem zaskoczyły mnie żniwa. Zbiór w tym roku wypadł bardzo pomyślnie, zebrałem kilkanaście kóp zboża różnego, posługując się zamiast sierpa lub kosy, szabłą. Pałasz krzywy, mużułmański, wyostrzyłem z przeciwnej strony na brasku, a przyczepiwszy do kija, używałem jak kosy. O ileż łatwiej mi było ścinać nim zboże, aniżeli wprzód nożem. Zboże zwiozłem na lawetach od falkonetów i ułożywszy we dwa wielkie brogi, nakryłem strzechą.

Całą zimę tegoroczną pracowałem nad wyrobieniem steru, wiosł i innych sprzętów do wyekwipowania czółna potrzebnych. Czytanie biblii urozmaicało mi tę smutną porę roku, a zawsze wynaleźć umiałem teksty, umacniające mnie w mym przedsięwzięciu.

Na początku wiosny, dokończywszy kopania kanału, z wielkim trudem spuściłem statek na wodę. Nie jestem w stanie opisać radości, doznanej na widok czółna, lekko kołyszącego się na wodzie. Zamierzyłem spróbować żeglugi do ładu stałego, gdzie niezawodnie uda mi się napotkać okręty europejskie, a gdyby się to nie powiodło, przynajmniej wyspę dookoła opłynąć.

W pośrodku łodzi umocowałem maszt niewielki i uczepiłem na nim spory żagiel, nabrałem żywności, wina, naczyń z wodą, cztery muszkiety i jeden falkonet, aby na przypadek spotkania dzikich mieć się czym bronić. Przykryłem część łodzi płótnem, chroniąc zapasy od deszczu. Na koniec, umieściwszy w tyle jej parasol, wypłynąłem na morze dnia 14 stycznia 1671 roku, zapominając w pośpiechu zupełnie o pieniądzech.

Przed samym odjazdem pomodliłem się gorąco pod krzyżem, albowiem mogłem już wcale nie powrócić na wyspę. Na tę myśl łzy zakręciły mi się w oczach, i znowu padłem na kolana, dziękując Wszehmocnemu Stwórcy za dziewięcioletni przytułek i tyle różnych dobrodziejstw, jakie z Jego łaski otrzymałem.

Wiatr, wydawszy lekko żagiel, z łatwością zaczął popędzać statek. Wybrzeże, od którego odbiłem, usiane było mnóstwem skał podwodnych, wypadało więc żeglować ostrożnie, ażeby na początku zaraz nie ulec rozbiciu. Musiałem znacznie nałożyć drogi, ażeby się wydobyć spośród tych raf i haków.

Poza pasmem skał widać było na morzu silny prąd, co mię wcale nie cieszyło, gdyż porwany nim, mogłem zboczyć z obranego kierunku i dostać się na otwarte morze, gdzie mnie czekała oczywista zguba w wąłym i lichu zaopatrzonym statku.

Cokolwiek bliżej ładu znajdowała się wielka ławica piasku, postanowiłem zatem płynąć szerokim kanałem, oddzielającym ją od wyspy. Morze, wyjąwszy prądu, było dosyć ciche, lubo mnie niepokoił wietrzyk, w kierunku prądu wiejący.

Pomimo to zaufany w mych wiadomościach żeglarskich, rozwinąłem żagiel i polecając się Bogu, wyruszyłem na morze. Zaledwie jednak czółno dosięgło wschodniego krańca ławicy, kiedy prąd porwał je z taką gwałtownością, że mimo wszelkich wysiłków nie zdołałem więcej nic zrobić, jak tylko utrzymywać się na brzegu prądu i tym sposobem zmniejszyć szybkość pływu. Na próżno zarzucałem kotwicę, nie dosięgła dna. Nadaremnie starałem się lawirować, siła prądu przewyższała moc wiatru, a robienie z całej siły wiosłem było tylko dziecinną igraszka.

Chociażby nawet morze nie zatopiło czółna, to żywności nie wystarczy na długo, a któż wie, dokąd będę zmuszony tułać się na przestworzu morskim.

W niezmiernej trwodze i żalu zwróciłem oczy ku mojej ukochanej wyspie.

– O, ty droga pustynio, zawołałem w rozpaczy, czyż już cię nigdy nie zobaczę! O, jeżeli mi Bóg pozwoli dostać się na twe lube wybrzeża, nigdy, nigdy cię więcej nie opuszczę! Z niezmiernym wysileniem robiłem wiosłami w kierunku ławicy, ale byłem już przeszło pięć mil morskich od lądu i wyspa coraz bardziej minęła mi z oczu. Gdyby nagle niebo się zachmurzyło, niezawodnie zgubiłbym do niej drogę. Pogoda wprawdzie była piękna, ale wzgórze wyspy, niby czarny obłoczek, rysowały się już tylko z dala na widnokręgu.

Wtem spostrzegłem, że prąd zaczął nieco wolniej płynąć, a nareszcie, natrafiwszy na gromadę skał w niewielkiej odległości na północy leżących, rozłamywał się na nich i jedna część pędziła dalej w tym samym kierunku, podczas gdy druga zawracała na południe, właśnie ku wyspie.

Ten rozdział prądu mnie uratował. Korzystając ze zwolnienia szybkości, wsparty powiewem wiatru, zdołałem wpłynąć na to drugie ramię. Żeglując z największą ostrożnością, lubo daleko wolniej jak wprzód, około piątej godziny po południu wylądowałem szczęśliwie na mojej wyspie.

Poczuwszy ziemię pod nogami, zadrzałem z radości. Z sercem przepelnionym wdzięcznością ślubowałem uroczyście rzec się nadal podobnych prób żeglowania po otwartym morzu.

Wiatr zapędził mnie na północną, całkiem nieznaną stronę wyspy. Trzeba było tu przemocować. Na drugi dzień, trzymając się brzegów, popłynąłem ku zachodowi. Zrobiwszy trzy lub cztery mile morskie, przy pomyślnym wietrze dostałem się do zatoki, wrzynającej się w ląd głęboko, a utworzonej przez rzekę, wpadającą tutaj do morza. Niepodobna było znaleźć dogodniejszego portu dla mojego czółna. Zostawiłem je tutaj ukryte w gęstych nadbrzeżnych zaroślach, a sam, zabrawszy tylko broń i parasol, ruszyłem ku domowi piechotą.

W domu zastałem wszystko nietknięte. Przebywszy zagrodzenie, rzuciłem się jak martwy na łóżko i zasnąłem. Lecz któż opisze moje przerażenie, gdy mię nagle przebudził jakiś głos wołający: Robinsonie! Robinsonie Kruzoe! Jakżeś ty biedny!

Nie wytrzeźwiony całkiem ze snu, usiadłem na posłaniu, oglądając się z trwogą, kto na mnie woła. Z początku myślałem, że mi się to we śnie przywidziało, lecz wnet powtórnie usłyszałem wołanie.

Obracam szybko głowę i widzę siedzącą na zagrodzeniu papugę, która drze się przeraźliwie, powtarzając wciąż te same słowa. Nieraz w strapieniu wymawiałem je w głos, a pojętny ptak nauczył się ich i teraz takiego mi strachu napędził.

### XXXIII

#### **Przechadzka po wyspie. Okropny widok. Zamiary zemsty. Zasadzka. Prózne oczekiwania. Zmiana zamysłów. Sen proroczy.**

Doznane niebezpieczeństwo na długo pozbawiło mnie chętki do żeglowania. Niepokoilem się bardzo, że łódź wraz z zapasami zostaje na drugim końcu wyspy, ale jakim sposobem sprowadzić ją stamtąd? Sama myśl o tym już mnie dreszczem przejmowała. Chcąc ją bowiem przeciągnąć pod zamek, trzeba było koniecznie przedrzeć się przez prąd, który mnie tak daleko zaniósł na morze. Byłbym szalony, gdybym się miał znowu na niebezpieczeństwo narażać, a tak łódź, kosztująca mnie czternaście miesięcy pracy, była teraz zupełnie nieużyteczna.

Po dłuższym zastanowieniu, zrzekłem się myśli porzucenia wyspy. Nieudana żegluga i przestraszony, jakiegom doznał, podniosły w mych oczach niezmiernie jej wartość. Wprawdzie przykrzyło mi się bez towarzystwa ludzkiego, ale kiedy rozważyłem, ile to cierpienia i zmartwień wyrządzają sobie ludzie nawzajem, tęsknota ta zmniejszyła się znacznie. Na mej wy-

spie byłem nieograniczonym panem, miałem wszystkiego pod dostatkiem. Bóg darzył mnie zdrowiem, mogłem żyć zatem szczęśliwie i spokojnie.

W miesiąc po owej żegludze, uzbrojony strzelbą, wyszedłem po południu w zamiarze zobaczenia, co się dzieje z moją łódką, ale zamiast iść wschodnią, puściłem się zachodnią stroną wyspy, chcąc raz przecie zwiedzić ją całkowicie.

Zaledwie doszedłem na wierzch wzgórza, położonego nad ujściem rzeki, gdy nagle, rzucawszy okiem na morze, ujrzałem w oddaleniu jakiś punkt czarny. Wielka odległość nie pozwoliła mi rozpoznać, czy to łódź, czy jaka wielka ryba. Na nieszczęście nie miałem z sobą perspektywy. Ponieważ przedmiot ów wkrótce zniknął mi z oczu, puściłem się w dalszą podróż.

Lecz któż opisze moje przerażenie, gdy w miejscu, na którym przed czterema laty była wyciśnięta stopa ludzka, ujrzałem mnóstwo porozrzucanych piszczeli, parę czaszek ludzkich i niepodogryzanych rąk z okrwawionymi palcami. Wszystko to leżało w dużym, okrągłym zagłębieniu, w środku którego były ślady świeżo wypalonego ogniska.

Oburzenie, przestach, zgroza, obrzydliwość, gniew, przykuły mię do ziemi. Stałem jak głaz, nie mogąc poruszyć się z miejsca, krew ścięła się w żyłach na widok piekielnej zwierzęcości ludożerców. Na koniec przemógłszy odrętwienie, zacząłem biec na powrót ku mojemu mieszkaniu, nie tyle miotany trwożą, co wściekłością.

Przypadłszy do domu, zacząłem rozważać całą przygodę. A więc obrzydli Karaibowie nie przypliwali do wyspy dla zbierania jej płodów, lecz dla wyprawiania swych uczt obmierzłych. Więc po dziewięciu latach zostawania w samotności, pierwsze zetknięcie z rodem ludzkim, zamiast pociechy i radości, przyniosło mi tak okropne wrażenie. O, jakże Bóg łaskaw, że mię im na pastwę nie wydał. Gdybym o parę godzin wcześniej opuścił mieszkanie, niezawodnie wpadłbym w ich ręce i wtedy, zamordowawszy mię okrutnie, byłiby wyprawili sobie bankiet z mego mięsa.

Wypadek ten napęłnił mię znowu bojaźnią. Jak złoczyńca wymykałem się z mieszkania, nie myśląc o odwiedzeniu czołna, a to z obawy, ażeby nie spotkał się z ludożercami. Sprzęt zboża, zwózkę oraz wszystkie czynności odbywałem ukradkiem, zawsze od stóp do głów uzbrojony. Nawet nie odważyłem się polować bronią ognistą, albowiem dzicy, usłyszawszy wystrzał, mogli pójść za jego kierunkiem, wysłedzić mnie i zamordować.

Wkrótce nadeszła zima. W tym czasie byłem wolny od odwiedzin ludożerców, gdyż morze wciąż wzburzone nie dozwoliło ich wątłym statkom przebywać przestrzeni, rozdzielających oba lądy. Mimo to miałem zawsze pod ręką kilka nabitych muszkietów, a oba falkonety, nalożone drobnymi kulami, oczekiwały napastników.

Widok szczątków ludożerczej biesiady nadał dziwny zwrot moim myślom. Przez całą zimę o niczym innym nie marzyłem, jak tylko o zemście nad dzikimi. Wyszukiwałem sposoby ukarania obrzydłych biesiadników, pragnąłem serdecznie zająć ich podczas szkaradnej uczty, srogim odwetem pomścić krew przelaną i na zawsze odebrać im chętkę odwiedzania mej wyspy i wyprawiania na niej swych obmierzłych obchodów.

Ale jakże tego dokonać? Czyż mogę sam jeden napaść na dwudziestu lub trzydziestu Karaibów, uzbrojonych w strzały i dziryty. Wszak tak samo można lec od tej broni, jak od kuli lub szabli.

A gdybyś też podminował miejsce, na którym palą ogień i pieką ciała ludzkie i gdy żar dosięgnie prochu, wysadził w powietrze z tuzin tych łotrów? Lecz pomysł ten nie był dobry. Naprzód, że nie mogłem przewidzieć, gdzie ogień rozpalą za drugim razem, powtóre proch mógłby się za wcześnie albo za późno zapalić, a w takim razie zepsułbym na próżno kilkadziesiąt funtów mego nieocenionego materiału.

Później przychodziło mi na myśl, żeby zacząć się w bezpiecznym, a nie bardzo odległym miejscu z kilkoma muszkietami dobrze nabitymi, wypalić ze wszystkich, a na resztę, przerażoną niespodziewaną klęską, wpaść z szabłą i pobić do szczętu. Przez parę tygodni rozważa-



łem ten pomysł, tak iż kilka razy śniło mi się, jakobym z dzikimi staczał walkę, a gdy znów wiosna powróciła, kilka razy wychodziłem dla upatrzenia stosownego miejsca na zasadzkę. Umysł, zajęty wciąż obrazami rzezi, przedstawiał mi mnóstwo ludożerców, padających od strzałów. Nareszcie wynalazłem doskonałą kryjówkę. Był to wąwóz, biegnący od strażnicy aż ku wybrzeżu, na którym odbywały się uczty dzikich. Gęsta krzewina zakrywała wybornie wchód do wąwozu. Ze strażnicy mogłem doskonale wysledzić przybycie łodzi i mieć dosyć czasu, aby przed wylądowaniem Karaibów na wyspę dopaść kryjówki. Ukryty w wielkim, wypróchniałym drzewie, nie widziany przez dzikich, położyłbym z łatwością trupem kilkunasu, zanim by ochłonęli z pierwszego przestrawu.

Przygotowawszy więc cztery muszkiety, umieściłem je na zewnątrz pnia wypróchniałego, a co rano z dwoma pistoletami i szablą wychodziłem na zwiady ku wybrzeżom. Lecz parę tygodni upłynęło, a dzicy nie pokazywali się wcale. To ostudziło nieco mój zapał, a myśli zaczęły powoli brać inny kierunek.

– Chcesz karać ludożerców, mówiłem sam do siebie, a rozważ, czy masz do tego prawo? Cóż oni winni, że pogrążeni w ciemnocie, hołdując starym zwyczajom, a może przepisom religijnym, robią tylko to samo, co robili ich ojcowie i czego się od nich nauczyli. Rozważ no, jak postępują twoi bracia, Europejczycy, niby to oświeceni i wykształceni. Ile oni w niepotrzebnych i niesprawiedliwych wojnach ludzkiej krwi przelewają, niszczą miasta i pustoszą krainy całe. Przypomnij sobie, z jaką odrazą każdy uczciwy człowiek wspomina nazwiska Korteza, Pizarra, Almagra i innych rabusiów hiszpańskich, którzy tysiącami mordowali Indian, nie uważając nawet tych biedaków za ludzi. Powiedzże mi teraz, kto cię zrobił sędzią i katem Karaibów, nie wiedzących nawet, że źle robią? Zastanów się dobrze nad tym, co zamysłasz uczynić, gdyż może czyn twój będzie tak obmierzły Bogu, jak tobie ludożerstwo dzikich.

Uwagi te silnie na mnie wpłynęły. Zrzekłem się zamiaru napadania na Karaibów, uznając niesprawiedliwość karania ludzi, którzy mi nic złego nie uczynili. Postanowiłem tylko bronić się w razie napadu, albo też walczyć wtenczas, jeżeliby szło o ocalenie życia człowiekowi przeznaczonemu na pożarcie. Do tego postanowienia przyczyniła się także myśl, że w razie rozpoczęcia walki mogłem być zwyciężony. Gdyby bowiem chociaż jednemu powiodło się uciec, mógłby przez zemstę naprowadzić na mnie tysiąc swych współrodaków, a w ten czas i strzelby nic by nie pomogły.

Wyrzekłszy się zamiaru wojowania z dzikimi, wybrałem się na nową wycieczkę, dla zajęcia się sprowadzeniem mego czółna z odległej zatoki, gdzie blisko trzy miesiące zostawało. Zamiast narażać się na prąd, objechałem północno-zachodnią stronę wyspy i zawinąłem w przystani leśnej od zamku o tysiąc kroków odległej, na wschodniej stronie jego położonej, gdzie łódź była w nadbrzeżnych zaroślach doskonale ukryta przed Karaibami.

Zresztą, byłem zupełnie spokojny, przekonawszy się, że dzicy lądują na wyspie jedynie dla pożarcia ciał ludzkich i nie oddalają się z wybrzeża. Zatem mogłem bezpiecznie mieszkać w zamku i oddawać się zwykłym zatrudnieniom.

Co było mi tylko bardzo niedogodne, to potrzeba ukrywania mej obecności na wyspie, powstrzymywanie się od polowania i rozniecania ognia poza obrębem mieszkania, z obawy, ażeby Karaibowie nie dostrzegli, że tu ktoś przebywa. Wróciłem więc do polowania na zające z łukiem. Kóz nie potrzebowałem strzelać, bo moja trzoda powiększyła się do czterdziestu kilku sztuk i co rok śmiało można było zabić ich dziesięć na pokarm. Muszę też nadmienić, że poczciwy Amigo tak się wprawił do chwytania zajączków, że nieraz przynosił mi z lasu żywym owoc swego polowania.

Dziesiąta rocznica wylądowania mego na wyspę przeszła jak zwykle na poście i modlitwie. Gdym się obejrzał wstecz na upłynionych lat dziesięć, gdym pomyślał, że już mam lat 33 skończonych, ciężko mi się zrobiło na sercu.

– Mój Boże, zawołałem, oto najpiękniejsze me lata zbiegły samotnie! Towarzysze moi otoczeni rodziną, dziećmi, wiodą przyjemne życie w lubej ojczyźnie, gdy tymczasem ja nieszczęśliwy żyję tutaj sam jeden i może nie ujrzę więcej rodzinnej ziemi. Ale nie szemrzę bynajmniej na mój los, a jeżeli Ci się, Panie, podoba, abym tu dni moje zakończył, z poddaniem i pokorą przyjmę Twój wyrok i chwalić będę Imię Twoje.

Czas deszczów przeszedł spokojnie. Nie opisuję tu ani zasiewów, ani żniw, albowiem nie raz już o tym gawędziłem szeroko, wspomnę tylko, że zboża miałem pod dostatkiem i na niczym mi nie zbywało. Jednej nocy, a było to, jak mój kalendarz wskazywał, 24 marca 1674 roku, nie mogłem wcale zasnąć, różne myśli przychodziły mi do głowy, a ludożercy nie miały udział w nich mieli. Zmęczony bezsennością i myślami, dopiero nad ranem wpadłem w sen głęboki.

Dziwne marzenie zapełniło ten chwilowy spoczynek. Śniło mi się, że wyszedłem na przechadzkę w stronę, gdzie lądowali dzicy. Wtem dwa czółna przybiły do brzegu i z nich wysiadło kilkunastu Karaibów, wiodąc kilku nieszczęsnych na pożarcie. Nagle jeden z nich wyskoczył z gromady i zaczął uciekać ku krzakom, za którymi stałem. Wybiegłszy naprzeciw niemu, zaprowadziłem biedaka do zamku. Naówczas padł na kolana, błagając o pomoc przeciwko prześladowcom. Kazałem mu przebyć wał po drabinie, co też wykonał. Od owej chwili miałem towarzysza niedoli i spodziewałem się przy jego pomocy, w mym wątplym czólnie wydostać się z wyspy. W tej chwili się przebudziłem i czym prędzej obejrzałem wokół, aby się przekonać, czy to był sen, czy jawa. Na nieszczęście było to tylko marzenie.

Sen ten jednakże nowe nastrecał mi plany. A gdyby też się urzeczywistnił. Czy było niepodobieństwem uwolnić jeńca na rzeź przeznaczonego? A więc do dzieła, trzeba tylko pilnie uważać, kiedy dzicy znów wylądują na wyspie, a przygotowawszy broń, z resztą zdać się na wolę Opatrzności. Od tego dnia co rano wybiegałem na strażnicę, śledząc przez perspektywę karaibskie łodzie. Zamiary nowe rozbudziły całą moją zaciętość. Miałbym teraz już sprawiedliwy powód do rozpoczęcia kroków nieprzyjacielskich. Chęć spróbowania się z dzikimi nie dawała mi spokoju. Nie lękałem się walczyć, chociażby w wielkiej liczbie przybyli, bo niezawodnie odniósłbym zwycięstwo.

## XXXIV

### **Wylądowanie Karaibów. Uczta ludożerców. Odważny jeńiec. Potyczka z dzikimi. Nowy towarzysz. Indianin w europejskim stroju. Strzelba bożyszczem. Pojęcie Piętaszka o smaku.**

Upłynęło od tego czasu około dwóch miesięcy, gdy o świcie 15 maja ujrzałem ze strażnicy pięć łodzi napelnionych dzikimi, które przybiły do brzegu w miejscu zwykłego lądowania. Liczba tak wielka przeraziła mnie. Wiedziałem, że na jednej łodzi bywa sześciu do ośmiu dzikich, zdawało mi się więc zuchwalstwem napadać na tak wielką gromadę. Zamiast zatem uderzyć na nich, schroniłem się do zamku, a nabiwszy strzelby i falkonetki świeżym podspawawszy prochem, gotowałem się do obrony.

Godzina jednak nadaremno oczekiwania ubiegła, a nawet szmer najmniejszy nie dolał mi mych uszu. Tego było mi za długo. Koniecznie chciałem wiedzieć, co się dzieje w mym państwie. Wziąwszy więc strzelbę, wyruszyłem ostrożnie ku pagórkowi, leżącemu na krańcu lasu przytykającego do wybrzeża, na którym znajdowali się dzicy.

Przybywszy na miejsce, ukryty za drzewem, zacząłem przez perspektywę przypatrywać się Karaibom. Blisko trzydziestu, trzymając się za ręce, tańczyło około ogniska, wykonując

szczególniejsze miny i gesty. Wtem kilku innych wyprowadziło dwóch jeńców z czołna, ciągnąc ich ku gromadzie w zamiarze zamordowania. Ale kiedy jeden padł pod ciosem kamiennej siekiery, drugi zerwawszy więzy, zaczął uciekać z niezmierną szybkością, właśnie w kierunku wzgórza, na którym stałem. Przeląknęłam się bardzo, gdyż cała gromada dzikich mogła się za nim puścić w pogoń, lecz na szczęście trzech tylko zaczęło ścigać jeńca, który przez ten czas, nim się gonić namyślili, ubiegiej już potężny kawał.

Pomiędzy wzgórzem, na którym stałem, a dzikimi, znajdowała się odnoga morska na kilkanaście sążni szeroka. Jeżeli jeniec chciał ująć ścigającym, musiał ją koniecznie przepłynąć. Tak się też stało. Przybywszy nad brzeg, wskoczył w morze. Po kilku śmiałych rzutach był już na drugiej stronie i zaczął okrążać pagórek. Z trzech ścigających, jeden, zapewne nie bardzo wprawny w pływaniu, namyślił się i wrócił. Dwóch innych przepłynęło zatokę.

Widocznie sen mój się spełnił. Opatrzność powoływała mnie, ażebym wyratował nieszczęśliwego. Zbiegłem szybko z pagórka i stanąwszy pomiędzy uciekającym a goniącymi, zawołałem na niego, aby się zatrzymał, lecz biedak przeląknął się mnie podobnie jak swych nieprzyjaciół. Dając mu znak, żeby się nie bał i przyszedł do mnie, zwróciłem się naprzeciw ścigających, a gdy jeden z nich około mnie przebiegał, zgruchotałem mu czaszkę kolbą, lękałem się bowiem strzelić, ażeby hukiem nie zwabić całej gromady. Towarzysz zamordowanego na ten widok stanął jak wryty, lecz ujrzawszy mnie wychodzącego zza drzewa, wymierzył z łuku. Upredzając strzał, wypaliłem ze strzelby, kładąc go na miejscu trupem.

Wystrzał, ogień i dym niezmiernie przeraziły ściganego. Stanął, lecz poznałem po nim, że miał chętkę uciekać. Powtórzyłem przyzywający znak, postąpił więc parę kroków naprzód i znów się zatrzymał, drżąc jak listek, że go chcę schwytać i pożreć.

Urwawszy zieloną gałązkę, począłem przyjaźnie na niego kiwać. To go ośmieliło więcej. Szedł ku mnie, przyklękając co parę kroków. Nareszcie, zbliżywszy się zupełnie, padł na twarz, pochwyił mnie za nogę i postawiwszy ją sobie na głowie, bełkotał słowa, których nie mogłem zrozumieć. Podniosłem go, przycisnąłem do piersi i zrobiłem, co tylko można, ażeby mu dodać odwagi.

Tymczasem podniósł się dziki, powalony uderzeniem kolby. Pokazałem to uratowanemu. Na ten widok wpadł w niezmierne wzruszenie i składał ręce, wskazując na szablę, przy moim boku zawieszoną. Dałem mu broń żadaną, z którą w mgnieniu oka przebył przestrzeń, dzielącą go od wroga i jednym cięciem zniósł mu łeb z karku tak zręcznie, że ciosu tego nie powstydziliby się najlepszy kat europejski. Po czym natychmiast wrócił, składając głowę nieprzyjaciela u stóp moich.

Widziałem z jego poruszeń, że nie mógł wyjść z podziwienia, iż z takiej odległości zabiłem drugiego Karaiba. Prosił mnie na migi, żebym mu pozwolił iść go obejrzeć, na co łatwo przystałem. Przybliżywszy się do trupa, począł mu się przyglądać i przewracać go na wszystkie strony. Następnie przypatrywał się ranie zadanej w piersi, z której niewiele krwi płynęło, gdyż wylała się wewnątrz klatki piersiowej. Na koniec, zabrawszy łuk i strzały zabitego, powrócił do mnie. Dałem mu znak, żeby się udał ze mną ku jaskini, lecz ten syn pustyni daleko był przezorniejszy niż ja, gdyż wskazawszy na trupy, dał mi do zrozumienia, że trzeba je wprzód pochować, aby towarzysze, natrafiwszy na ciała, nie poszli nas ścigać. Przywiązawszy do ciał pasami od sajdaków kamienie, obydwóch wrzucił w głębię zatoki.

Nie namyśliłem się jeszcze dotąd, dokąd mojego dzikiego zaprowadzę. Stosownie do wieszczego snu należało dać mu kwatery w zamku, lecz ostrożność radziła, aby go tymczasem w koźlej jaskini pomieścić. Wprawdzie były tam wszystkie kosztowniejsze zapasy i amunicja, lecz te znajdowały się w drugiej części za długim korytarzem, zagrodzonym głazami, więc ich, zwłaszcza w ciemnościach, znaleźć nie mogłem.

Przyprowadziwszy jeńca do jaskini, dałem mu kawał placka jęczmiennego, parę bananów i garnczek wody, po czym zostawiwszy mu posłanie i koldrę, poszedłem do zamku.

Wypadek ten nadzwyczajnie wywarł na mnie wrażenie, lecz czasu do rozmyślań nie było. Wybiegłem na strażnicę, zobaczyć, co dzicy robią. Jedni siedzieli jeszcze koło ognia, kończąc obrzydliwą ucztę, tymczasem drudzy chodzili ponad zatoką niespokojnie, szukając zapewne swych towarzyszy. Kiedy jednak zaczął się odpływ morza, wszyscy siedli do czółen i odpłynęli.

Uspokojony tym, poszedłem zobaczyć, co robi mój wyzwolieniec. Napotkałem go siedzącego przed jaskinią na trawie, a gdy mnie ujrzał, znowu upadł na twarz i czołgając, zbliżył się ku mnie. Podźwignąwszy go, dałem do zrozumienia, że nie chcę takiej uniżoności.

Był to ładnie zbudowany, wysmukły chłopiec, mogący mieć 20 lub 21 lat, cery miedzianej, orlego nosa. Rysy jego, przyjemne, nie miały w sobie nic dzikiego. Długi włos czarny spływał mu na ramiona, oko wyraziste, duże i czarne, tchnęło łagodnością, a dwa rzędy zębów, białych jak kość słoniowa, błyszcząły, kiedy śmiejąc się, otwierał ładnie uformowane usta.

Rozmawialiśmy znakami, które doskonale pojmował. Czasami wymawiał jakieś słowa, a dźwięk mowy ludzkiej, od dziesięciu lat nie słyszanej, zachwycał mnie, chociaż jej nie rozumiałem. Przedsięwziąłem wyuczyć go no angielsku, a pokazując na siebie, wymawiałem Robinson, dając znak, żeby powtórzył, co mu się też nieźle powiodło. Następnie znowu, wskazując na niego, mówiłem Piętaszek, albowiem dzień dzisiejszy był piątek i dlatego nadałem mu to imię. Nareszcie nauczyłem go wymawiać tak i nie i na tym skończyła się pierwsza lekcja.

Przez noc zostawiłem Piętaszka w grocie, na drugi dzień rano wziąłem go do zamku, ażeby się ubrał, gdyż chodził zupełnie nago. Kiedyśmy przechodzili koło miejsca, skąd widać było scenę biesiady wczorajszej, pokazywał mi na migi, że radby zobaczyć, czy nie zostało co z resztek, okazując wielki apetyt na ludzkie mięso. Wtedy wyraziłem mu moje obrzydzenie, dając uczuć, że to jest szkaradną rzeczą jeść ludzi. Po czym widząc, że dzicy zniknęli bez śladu, zapragnąłem obejrzeć miejsce wczorajszej biesiady. Bojąc się jednak, czy gdzie jeszcze w ukryciu nie pozostali, uzbroiłem Piętaszka w łuk i siekiere, a sam, wziąwszy szablę, pistolety i strzelbę, ruszyłem naprzód.

Wkrótce przybyliśmy na miejsce. Cóż za okropny widok! Dookoła mnóstwo szczątków ciał ludzkich: pięć rąk, trzy czaszki i kilka piszczeli, palce pokrwawione, wpół ogryzione kawały opalonego mięsa. Takie mnie porwało obrzydzenie, że doznałem bardzo nieprzyjemnej słabości, która mi ulżyła. Przeciwnie, Indianin spoglądał z niezmiernym apetytem i gdyby nie groźne moje spojrzenie, byłby niezawodnie ogryzł kostkę którego przyjaciela.

Widząc mnie stojącego z załamanymi rękoma, usiłował gestami dać do zrozumienia, że wraz z trzema towarzyszami w bitwie stoczonej na wyspie, ku południowi położonej, dostał się do niewoli, że to są właśnie głowy jego współrodaków, których pożarł nieprzyjacieli.

Wykopawszy dół, pogrzebaliśmy resztki nieszczęśliwych ofiar, po czym ruszyłem ku zamkowi, gdzie przybywszy, wyjąłem z garderoby zabranej z okrętu koszulę, majtki, kaftan i czapkę i ustroiłem w nie Piętaszka.

Widząc się przebranym tak jak i ja, Indianin nie posiadał się z radości. Skakał jak dziecko i klaskał w ręce. Lecz wkrótce ubiór zaczął mu dokuczać, bo chodząc przez całe życie nago, nie mógł znieść nic na sobie. Chciał zrzucić suknie, ale na to nie pozwoliłem. Po kilku dniach przyzwyczał się do noszenia ubioru. Teraz szło o pomieszczenie nowego gościa. Nie chciałem go przypuścić do wspólnego mieszkania, raz dlatego, że mu nie bardzo ufałem, a po wtóre, że to ograniczałoby moją swobodę. Wystawiłem mu więc małą komórkę z desek, tuż przy mieszkaniu. Piętaszek był bardzo kontent ze swego domku, obawiał się tylko psa, ale wkrótce, poznawszy łagodność tego zwierzęcia, polubił je bardzo.

Obawy moje i niedowierzanie niezadługo całkiem ustały. Bóg umieścił w tym kolorowym ciele najzaczniejszą duszę. Nigdy najmniejszy opór lub niezadowolenie nie okazało się na twarzy poczciwego Piętaszka. Przywiązał się do mnie, jak do ojca i wszelkimi sposobami starał się okazywać wdzięczność za ocalenie życia. Wesoły, żywy, niezmordowany w pracy, rozpe-

dzał jak mógł moją tęsknotę. Przykro mi było tylko, że się z nim rozmówić nie mogłem. Natychmiast też wziąłem się do uczenia go po angielsku. Pojętność miał wielką i z każdym dniem robił postępy.

Chcąc oduczyć Piętaszka ludożerstwa, dałem mu skosztować koziego mięsa. Aby go dostać, a przy tej sposobności pokazać, jak się poluje, wziąłem go ze sobą do lasu. Wkrótce na szczycie skał ujrzałem kozłatko, a dawszy znak Piętaszkowi, aby się spokojnie zachował, wypaliłem. Trafione zwierzę spadło na dół, ale i mój towarzysz także leżał na ziemi, szczękając ze strachu zębami. Po chwili podniósł się ostrożnie, oglądając swe ciało, a gdy na nim rany nie znalazł, popęzł do nóg moich, belkocząc coś ze łzami. Podniosłem go i uśmiechnąłem się przyjaźnie, wskazując na kozłatko, aby je przyniósł. Uczyniwszy to, odskoczył w tył, patrząc z dziwną bojaźnią i uszanowaniem na strzelbę. Nabiłem ją powtórnie, chcąc nieboraka ośmielić i oswoić ze strzelaniem, a zarazem wytłumaczyć użycie broni. Poszliśmy dalej. Wkrótce na drzewie zawrzeszczała papuga. Pokazałem ją palcem Piętaszkowi, a potem wymierzywszy broń, zwróciłem go twarzą ku ptakowi. Wystrzał padł i papuga zleciała, ale mimo tych objaśnień, Piętaszek znów przewrócił się na trawę.

Kiedy ochłonął z przestraszenia, kazałem mu przynieść papugę i z tą podwójną zdobyczą pomaszzerowaliśmy do domu. Natychmiast obciągnąłem, wypatroszyłem i pokrajałem na sztuki koźle. Pieczeń smakowała memu gościowi niezmiernie, patrzył tylko zdziwiony na mnie, posypującego mięso solą. Podałem mu posolony kawałek. Wziął do ust, ale wypluł czym prędzej. Wtedy wziąłem nie posolony kawałek i postąpiłem z nim, jak on z tamtym, okazując podobne obrzydzenie, lecz to go wcale nie przekonało, aby sól miała być przysmakiem i nigdy się nie dał nakłonić do jej użycia.

## XXXV

### **Piętaszek uczy się po angielsku. Rozmowa z nim. Benamuki. Szalbierstwa kapłanów karaibskich. Wiadomości o Europejczykach. Przywiązanie Indianina. Zamiar podróży do jego ojczyzny. Budowa wielkiego czółna.**

Odtąd rozpoczęła się nowa era w moim życiu. Bóg ulitował się nareszcie nad biednym samotnikiem i zesłał mu towarzysza po dziesięcioletniej pokucie. Nie mogąc innym sposobem okazać mej wdzięczności miłosiernemu Stwórcy, postanowiłem przynajmniej wypłacić się za to nieocenione dobrodziejstwo wyuczeniem Piętaszka prawd świętej religii chrześcijańskiej, a prócz tego wykształcić go jak można i starać się, aby na zawsze zachował poczciwość i nieskazitelność duszy.

W krótkim czasie uczeń mój zrobił takie postępy w mowie, że o najpotrzebniejszych rzeczach mogliśmy się rozmówić. W rok zaś szczebiotał wcale nieźle. Przez ten czas nauczyłem go opatrywania kóz, prac koło roli, siana i żęcia. Oprócz tego garncarstwa, piekarstwa, krawiectwa, ciesiołki i wszystkiego, co sam umiałem. We wszystkim okazywał wiele pojętności, a jeszcze więcej dobrej chęci. Wkrótce mogłem się nim wyręczyć. Pracowaliśmy wspólnie i nigdy nie dałem mu uczuć, że go uważam za służącego, gdyż w samej rzeczy był moim przyjacielem.

Rok ten upłynął nam bardzo prędko i przyjemnie. Kiedy już mógł odpowiadać na moje pytania, prowadziliśmy zajmujące gawędki. Jednego dnia zacząłem go wypytywać o kraj rodzinny.

– To tam... tam... daleko Piętaszka wyspa, odrzekł, wskazując na południe, a tam dalej druga, gdzie mieszkają jego nieprzyjaciele.

– Czy pokolenie, do którego należysz, zwyciężyło kiedy wrogów?

– O, tak, my bijemy bardzo dużo nieprzyjaciela, a on ucieka.

– Jeżeli się tak dobrze bijecie, dlaczego dałeś się złapać?

– Piętaszek i trzech zjedzonych byli daleko. Nieprzyjaciół wielka moc obskoczyła nas, tak dużo nie można bić i już wszyscy leżą w łodzi powiązani.

– A czemuż wasi wojownicy nie przyszli wam na pomoc?

– Bo nas zaraz wsadzili do łodzi i tamtych zabili, a Piętaszek uciekł.

– Czy wy także zabijacie i pożeracie niewolników?

– Tak, bracia Piętaszka jedzą, wszystkich jedzą, tu na tej wyspie, bo w domu nie wolno.

– A ty, czy byłeś kiedy tutaj z nimi?

– Piętaszek był tam daleko, rzekł, wskazując na zachód.

– Czy łodzie wasze rozbijają się kiedy?

– Nie, ale trzeba jechać ostrożnie, bo jak morska rzeka porwie, to już czółno do domu nie powróci.

Widać więc, że znali ów gwałtowny prąd, który mnie o mało nie porwał na przestwory oceanu.

Piętaszek zawsze mówił o sobie w osobie trzeciej, podobnie jak to mówią dzieci. Naród swój nazywał »Karib«, podobnie jak i innych wyspiarzy, z tą tylko różnicą, że gdy mówił o swoich, nazywał ich »Mocny Karib«.

Opowiadał mi także, że na południu, w dużej ziemi, biali ludzie wymordowali całe narody Indian. Widocznie odnosiło się to do Hiszpanów, których okrucieństwa były tak straszne, że wieść o nich doszła nawet do uszu Karaibów.

Zaprowadziłem go raz do mego czółna, a wskazując je, spytałem:

– Czy można na takim dostać się do ziemi, gdzie biali ludzie mieszkają?

– O, nie, nie, trzeba dwa czółna takie jak Robinsona, bo jedno morze przewróci.

Nie mogłem zrozumieć z początku, dlaczego jedno czółno może woda zatopić, a dwóch nie. Później dopiero pomiarkowałem, że nie umiejąc powiedzieć dwa razy większe, mówił dwa czółna.

W półtora roku po swym przybyciu na wyspę, Piętaszek tyle się nauczył po angielsku, że mogłem już zacząć z nim naukę religii.

Jednego razu usiedliśmy w niedzielę pod drzewem, a ja go zapytałem:

– Czy wiesz, kto stworzył to wszystko, co widzisz wokoło?

– Wiem. Wszystko to zrobił stary, bardzo stary Benamuki. On mieszka na bardzo wysokich górach i jest starszy niż ziemia i morze.

– Czy modlisz się do niego?

– Nie, Piętaszkowi nie wolno, ani żadnemu Karaibowi, tylko Uwukakis starzy chodzą do niego na górę i mówią to, o co ich Karaibowie prosili. Jakby kto inny poszedł, to go Benamuki zabije i pożre, bo jest zły, bardzo zły. Trzeba mu dać dużo ryb i patatów, żeby piorunami nie zabił Karaibów i chat ich nie spalił.

– A jak z was który umrze, co się z nim dzieje?

– Idzie do Benamuki, ale tylko życie, a ciało palą, albo jedzą.

Z tej rozmowy poznałem, że kapłani Karaibów zwani Uwukakis, obrawszy się pośrednikami między ludem a bożkiem Benamuki, utrzymują dzikich w ciemności i zabobonie i wyciągają z nich ofiary, którymi się bogacą.

Zacząłem to objaśniać Piętaszkowi. Słuchał mnie ze zdziwieniem i oburzeniem. Potem dałem mu poznać Boga chrześcijan. Boga dobroci i miłości. Stworzyciela i Ojca najmiłosierniejszego. Mówiłem mu długo o niebie, o życiu wiecznym, o nagrodzie dla pocziwych, o

karze dla występnych, o miłości ku Bogu i bliźniemu i czci, z jaką wielbić powinniśmy naszego dobrotliwego Pana.

Indianin słuchał mnie z największą uwagą, kiwając głową i wznosząc piękne oczy ku niebu. Widziałem, że najbardziej podobało mu się życie naszego Zbawiciela, jako też modły wprost do Stwórcy zanoszone. Zachwycił go opis mądrości i potęgi Bożej, a uderzała wszechstronność Stwórcy.

– Bóg twój, Robinsonie, zawołał, musi być daleko potężniejszy, bo jest wszędzie, słyszy wszystko i wszystko może. Tymczasem Benamuki stary siedzi na górze, zamiast królować nad słońcem i nad gwiazdami i o niczym nie wie, tylko o tym, co mu Uwukakis powiedzą.

– Masz słusność Piętaszku, odpowiedziałem mu, potężniejszy jest od wszelkich istot, bo je sam stworzył.

W ten sposób szła dalej nauka religii. Chodziliśmy razem do mej świątyni na wzgórzu i modlili się wspólnie, a z czasem Piętaszek stał się wzorem chrześcijanina. Dziękowałem Bogu, że mi zesłał takiego towarzysza, a tęsknota od czasu przybycia chłopca prawie zupełnie ustała. Podczas trzechletniego pożycia nie mieliśmy najmniejszego nieporozumienia. W święta czytywałem Piętaszkowi Pismo Święte i starałem się wytłumaczyć jego znaczenie, o ile moje wiadomości na to pozwalały. Często zadawał mi rozmaite pytania, na które dobrze chcąc odpowiedzieć, musiałem sam rozmyślać, skutkiem czego zgłębiałem słowo Boże i bardzo wielu ustępów nauczyłem się na pamięć.

Oprócz tego opowiadałem Piętaszkowi moje przygody, nie ukrywając błędów i wad, które mnie w stan opuszczenia wtrąciły. Dalej mówiłem mu o rozmaitych państwach europejskich, o wielkich miastach i ich przemyśle, o naszej potężnej flocie, tłumaczyłem siłę i użytek prochu – wszystkiego słuchał z wielką uwagą i podziwieniem.

W pół roku po naszym poznaniu podarowałem Piętaszkowi nóż składany, kordelas i siekierę. Dary te niezmiernie go ucieszyły i tak je szanował, że w półtrzecia roku mało co znać było, że ich często używa.

Jednego dnia, gdym mu narysował piórem szalupę, zapytując, czy by wspólnie ze mną podobnej nie potrafił zrobić, zawołał żywo:

– Wiem, wiem, widziałem taką samą!

– Gdzie widziałeś, zagadnąłem skwapliwie.

– W domu na naszej wyspie. Raz dwa dni była wielka burza, pioruny, błyskawice. Trzeciego dnia rano, bardzo rano, morze wyrzuciło na brzeg duże czółno z białymi ludźmi. Mieli brody i wąsy i trochę broni, ale nie z piorunami, tylko same pałasze.

– Wielu znajdowało się na statku, zapytałem.

Piętaszek myślał długo, jakby sobie przypominał, potem zawołał:

– Siedemnaście, tak, siedemnaście białych brodatych ludzi.

– Cóż się z nimi dzieje, zapytałem.

– Żyją tam, gdzie dom Piętaszka, na południu.

– Czy dawno?

– Już od tego czasu pięć razy były wielkie deszcze.

– Właśnie pięć lat upłynęło od rozbicia się okrętu przy moich wybrzeżach. Zapewne obsada jego wśród nocy, zmyliwszy kierunek, wylądowała na wyspie Piętaszka.

– Czyż podobna, zawołałem zdziwiony, żeby twoi rodacy nie pożarli białych?

– Nie, nie, oni tylko jedzą nieprzyjaciół, jeżeli ich zabiorą na wojnie do niewoli, a biali pomagają im bić wrogów.

Opowiadanie to zrobiło na mnie silne wrażenie, pragnąłem dostać się do wyspy i zobaczyć rozbitków.

– Czy nie pamiętasz choć jednego wyrazu jakiegokolwiek z ich mowy.

– O, tak, pamiętam, mówią często Dios<sup>5</sup>.

---

<sup>5</sup> Po hiszpańsku Bóg.

– Więc to Hiszpanie, zawołałem, o, czemuż nie Anglicy.

W jakiś czas potem poszliśmy w południową stronę wyspy, a stanawszy na wysokiej górze, ujrzelśmy w oddaleniu na morzu ziemię.

– Patrz, patrz. Robinson! Tam mój dom! Tam mój dom, zawołał Piętaszek i zaczął mocno płakać.

Wrażenie Piętaszka odbiło się na mnie, lecz całkiem przeciwnie. Przeląknąłem się, aby widok ojczyzny nie obudził w nim chęci do ucieczki, aby mnie nie opuścił. Postanowiłem go wybadać.

– Wszak byłbyś bardzo szczęśliwy, gdybym ci pozwolił wrócić do twej wyspy.

– Tak, Robinsonie, chciałbym zobaczyć mego ojca.

– Więc wracaj, a będziesz znowu walczył i pożerał schwytanych niewolników.

– Nie, Piętaszek nie będzie nigdy jadł ludzi, chce tylko zobaczyć ojca, ale potem wróci, bo on bardzo kocha Robinsona.

– Czy nie moglibyśmy razem popłynąć?

– Och, dobrze, dobrze, ale potem dodał zasmucony: nie można. Robinsona czólno małe, morze przewróci.

– Płyn sam, bo twoi towarzysze mnie by zamordowali i pożarli.

– Nie, oni Robinsona będą kochali, bo obronił Piętaszka, a on sam nie popłynie.

– Czemu byś nie miał sam popłynąć?

– Robinson bardzo zły na Piętaszka, bo go chce od siebie wypędzić.

– O, nie, mój przyjacielu, ale chciałbym ci sprawić radość. Cóż byś robił, wróciwszy do swoich?

– Powiedziałbym im, że Benamuki jest bardzo słaby Bóg, a Uwukakis oszusty.

– To by cię zabili.

– Nauczyłbym ich o Bogu chrześcijańskim, o niebie, o Zbawicielu, to by sami porzucili starego bożka.

– Jedź, jedź, kochany bracie, zawołałem, zostań między twymi, a ja tu znowu sam żyć będę.

Indianin pobiegł do miejsca, gdzie rzeczy leżały, przyniósł siekiere i klękawszy podał mi ją.

– Cóż to ma znaczyć, zapytałem zdziwiony.

– Niech Robinson zabije Piętaszka, a nie mówi tak więcej.

Uścisnąłem pocziwego chłopca, rozrzewnił mnie ten dowód przywiązania. Postanowiłem razem z nim popłynąć w odwiedziny do jego rodaków.

Wkrótce też potem wzięliśmy się do budowy czólna. Piętaszek wybrał potężne drzewo, ściał je wraz ze mną i z największą zręcznością przy mojej pomocy wyrobił z niego w dwóch miesiącach obszerne czólno, mogące ośmiu ludzi pomieścić. Używaliśmy do tej roboty na przemian siekiery i ognia. O ileż Piętaszek był zgrabniejszy i bieglejszy ode mnie.

Aby je spuścić na morze, potrzebowaliśmy aż czternastu dni. Dodałem do czólna maszt, żagle i ster, a Indianin nie mógł wyjść z podziwienia, widząc, jak z ich pomocą statek szybko i w obranym płynie kierunku. Karaibowie bowiem podówczas używali tylko wiosł.

Od tego dnia, co niedziela wypływaliśmy na morze, chciałem bowiem obeznać Piętaszka z europejskim żeglowaniem. Nauka w las nie poszła. Po kilkunastu wycieczkach chłopak wyszedł na wybornego majtka. Umyśliliśmy zaraz po żniwach puścić się na morze i zabawić z parę tygodni w ojczyźnie Piętaszka. Radość jego była niepohamowana i już wszystko było gotowe do żeglugi, kiedy nowy wypadek zmusił nas do odroczenia planu wycieczki.



## XXXVI

### **Nowy najazd dzikich. Pochód na wojnę. Jeniec biały. Bitwa. Amigo bohaterem. Kogo Piętaszek znalazł w łodzi. Nowi goście. Różne narodowości i wyznania mojego państwa.**

W piękny dzień wiosenny, przygotowawszy wszystko do podróży, już mieliśmy wyruszyć, kiedy przyszło mi na myśl, że przydałyby się nam żółwie jaja na drogę. Wysłałem więc Piętaszka, żeby ich nazbierał. Chłopiec, wzięwszy psa, pobiegł szybko w las, poza którym było miejsce obfitujące w żółwie gniazda. W kwadrans potem usłyszałem przeraźliwe wycie psa. Obejrzawszy się w tę stronę, skąd głos dochodził, ujrzałem biegnącego Piętaszka, który przypadłszy z największą trwogą, zawołał:

- Ach, Robinsonie! Biada! Biada!
- Co się stało? Na Boga, mów prędzej.
- Tam, tam, na dole, zawołał, drżąc ze strachu. Jeden, dwa, trzy czółna, sami nieprzyjaciele Piętaszka. Przyplłynęli złapać go i zjeść.

Staralem się wszelkimi sposobami uśmierzyć jego przestach, gdy zaś przyszedł nieco do siebie, rzekłem:

- Piętaszku, musimy z nimi walczyć. Czy masz odwagę?
- Och, tak! Chcę bić, ale ich dużo, bardzo dużo.
- I cóż to znaczy, wszak umiesz już dobrze strzelać, nasze kule część położą trupem, inni przestraszeni śmiercią swych towarzyszy i hukiem strzelb, pierzchną. Wtedy ich pokonamy do reszty. Pamiętaj, żem ci życie ocalił, a więc walcz mężnie i rób to wszystko, co ci każe.
- Piętaszek umrze za ciebie, jeżeli każesz.

Udaliśmy się do jaskini. Dałem Indianinowi porządny łyk rumu, którego jeszcze nigdy nie pił, dla nadania mu śmiałości, po czym nabiwszy cztery pistolety i sześć muszkietów kulami i lotkami, wybiegłem na strażnicę zobaczyć, co się dzieje na wybrzeżu.

Przez perspektywę z łatwością policzyłem dzikich. Było ich dwudziestu jeden. Wylądowali wbrew swemu zwyczajowi na wschodnio-południowym wybrzeżu, tam właśnie, gdzie najczęściej łowiłem żółwie. Zdziwiło mnie to bardzo, bo nigdy w tej stronie nie bywali. Miejsce to było płaszczyną gęsto zarosłą, o osiemdziesiąt kroków od brzegu morskiego odległą. Zdawało mi się, że przywieźli trzech jeńców i po nic innego na wyspę nie przybyli, jak tylko dla odprawienia swej obrzydłej uczty zwycięskiej. Zbiegłem na dół i wzięwszy na przypadek bochen chleba i flaszczkę z rumem, dałem znak mojemu wojsku do pochodu. Prawe skrzydło stanowił Piętaszek, lewe Amigo, ja zaś środek i rezerwę. Nakazałem Indianinowi, aby się jak najciszej zachował. Pies, dobrze wytresowany, szedł także, stłumiwszy wycie, najeżona jego sierść i spuszczone ogony wyraźnie pokazywały jego nieprzyjazne usposobienie.

Przez drogę przyszły mi na myśl dawne skrupuły. Czy mam prawo uderzać na dzikich, którzy mi nic złego nie uczynili. Nie obawiałem się ich wcale, ufając w wyższość ognistej broni, lecz zapytywałem siebie, czy godzi się ludzką krew przelewać. Piętaszek nie dzielił mego filantropijnego zapatrywania, dziki ogień tryskał z jego oczu, pragnął się pomścić na zawziętych nieprzyjaciółach swego pokolenia. W końcu postanowiłem poprzestać na przypatrywaniu się ludożerczej uczcie, a resztę zostawić przypadkowi. Zachować się spokojnie, jeżeli nie będzie powodu zaczepiać Karaibów albo też walczyć z nimi, gdy zajdzie potrzeba.

Z największą przezornością przedarliśmy się w milczeniu na kraniec zarośli, przedzieleni od dzikich grupą drzew. Z odległości kilkudziesięciu kroków mogliśmy się doskonale przypatrzeć gromadzie ludożerców. Kilkunastu siedziało w kucki około wielkiego ogniska i pożerało mięso jednego z nieszczęśliwych jeńców. Drugi ze związanymi rękoma i nogami leżał

tuż obok, oczekując, aż na niego straszna przyjdzie kolej. Wtem Piętaszek, który wdarł się na drzewo, aby się lepiej Karaibom przyjrzeć, zsunąwszy się z niego, szepnął mi do ucha:

– Robinsonie, tam leży jeniec z bladą twarzą i dużą brodą, to jeden z tych siedemnastu, co pomiędzy moimi osiedli.

Natychmiast wdarłem się na drzewo i z przerażeniem przekonałem się, że Piętaszek prawdę mówił. Jeniec związany był Europejczykiem. Widok ten rozbudził we mnie gniew niepohamowany. Dałem znak Piętaszkowi i pochwyciwszy muszkiety, podpełzaliśmy ku pagórkowi, o kilka kroków wysuniętemu naprzód, tak że zaledwie sześćdziesiąt kroków oddzielało nas od Karaibów.

Naraz dwóch ludożerców poczęło rozwiązywać więzy nieszczęśliwego, nie było czasu do stracenia. Wymierzyliśmy obaj strzelby na dzikich.

– Czyś gotów?

– Tak!

– Baczość! Raz! Dwa! Pal!

Dwa potężne wystrzały huknęły naraz.

Skoro dym opadł, spojrzałem... Mój strzał jednego powalił trupem, drugiego ranił. Piętaszek dwóch zabił i jednemu ciężką zadał ranę. Lecz niepodobna opisać zamieszania dzikich na odgłos grzmotu strzelb, na widok ran, zadanych niewidzialną ręką. Ranni przewracali się po ziemi, wijąc się z bóleści. Zdrowi biegali jak szaleni, szukając kryjówki. W strachu i nieładzie snadź zapomnieli o łodziach i poczęli na wszystkie strony umykać, nie wiedząc, skąd im zagraża niebezpieczeństwo.

Piętaszek spojrzał na mnie, jakby zapytując, co czynić dalej. Skinąłem. Odrzucamy wystrzelone muszkiety i chwytny za strzelby.

– Baczość, zawołałem, wymierzając. Cel! Pal!

Tym razem jeden tylko legł bez życia i jeden ciężko ranny powalił się na ziemię, lecz kilku innych krwią oblanych wyło z bóleści. Wkrótce trzech padło z osłabienia obok swych towarzyszy. Pozostali, straciwszy całkiem przytomność, biegali tu i ówdzie, przeraźliwie krzycząc.

– Za mną, zawołałem.

Z szablą na temblaku i odwiedzionymi pistoletami wybiegłem zza wzgórze. Piętaszek nie daje się wyprzedzić. Na ten widok czterech dzikich wskakuje do łodzi i odbija od brzegu. Piętaszek puszcza się za nimi, wpadłszy poza kolana w wodę i pali do nich z obu pistoletów. Dwóch wpada w morze, ale pozostali robią ze wszystkich sił wiosłami.

Pędzę naprzód do Europejczyka, rzucam mu siekiere i pistolet i podaję łyk rumu. Już tylko nogi miał związane. Szablą przecinam łyko krępujące go, a on w tejże chwili wystrzałem powala dzikiego, który już maczugą miał mi zgruchotać głowę. Karaibowie bowiem, widząc, że mają z ludźmi do czynienia, opamiętali się z pierwszego przestachu i pochwycili za broń. Odplacając się za uratowanie życia, płątam na dwoje szablą łeb dzikiego, który jeńcowi chciał dzidą zadać cios śmiertelny. Lecz pięciu dzikich wpada na nas z wściekłością. Jeniec odpiera z trudem straszne cięcia, jakie mu zadaje olbrzymi Karaib, uzbrojony ciężką drewnianą szablą. Pozostali czterej, ufając sile swego towarzysza, pozostawiają mu Europejczyka, a sami rzucają się na mnie.

Ciężko byłbym przypłacił mą nierozwagę w za wczesnym natarciu. Ubiłem wprawdzie jednego wystrzałem z pistoletu, lecz to nie odstrasza trzech przeciwników, nacierających na mnie z okropnym wrzaskiem. Już myślałem, że zgine, gdy nagle Amigo rzuca się na najbliższego ludożercę, chwyta za gardziel i dusi. Wtem Piętaszek, ujrzawszy, w jakim jestem niebezpieczeństwie, porywa łuk zostawiony na brzegu i ściele trupem drugiego przeciwnika. Ostatniemu przesywam pierś szablą.

Tymczasem dziki, powaliwszy europejskiego jeńca na ziemię, już mu miał odciąć głowę, kiedy ja, uwolniony od wrogów, nadbiegłem i rozplątałem łeb Karaibowi.

Walka skończona.

Piętaszek z siekierą w ręku uwija się między leżącymi, dobijając rannych. Zawołałem na niego:

– Piętaszku, daj im spokój, a siądź raczej z nabitą strzelbą do łodzi i ścigaj uciekających, bo nam tu setki swych braci naprowadzą. Indianin nie dał sobie tego dwa razy mówić. Lotem wskoczył w jedną łódź, lecz nagle zatrzymał się, wołając:

– Robinsonie, tu jeszcze jeden brat mój do zjedzenia.

Pobiegłem ku niemu i spostrzegłem leżącego w łodzi Karaiba, ze skrepowanymi rękami i nogami, twarzą ku ziemi. Piętaszek przeciął więzy i podźwignął wpół omdlałego jeńca, ale ten mówić nie mógł, tylko jęk wydobywał się z jego piersi. Zapewne mu się zdawało, że go który z ludożerców ciągnie na śmierć. Podałem Piętaszkowi flaszkę z rumem, ażeby nim biedaka pokrzepił i powiedział, co się stało z jego nieprzyjaciółmi.

Zaledwie Piętaszek podźwignął jeńca i spojrzał mu w twarz, gdy nagle wydał krzyk przeraźliwy. Pochwycił starca w objęcia, zaczął go ścisnąć i całować gwałtownie, przy czym śmiał się, skakał, tańczył, machał rękami jak wariat, nareszcie płakał i żałamywał ręce. Na próżno wstrząsałem go, zadawałem pytania. Długi czas nie mógł przyjść do siebie, na koniec wyjąkał:

– Robinsonie, to ojciec Piętaszka!

Niepodobna opowiedzieć zachwycenia pocziwego syna. Dwadzieścia razy opuszczał czólno i wskakiwał do niego. Roztworzył suknię i do nagiej piersi tulił głowę ojca, to znów nacierał rękami, wodą, rumem ręce i nogi starego, zbolące od twardego łyka, którym był skrepowany.

Nareszcie usłyszawszy moje wołanie, przybiegł zapytując, czego żądam.

– Czy też dałeś ojcu choć kawałek chleba, zapytałem, zapewne musi być głodny.

– Och, nie, nie! Piętaszek żarłok, łakomy, zły, wszystko zjadł, a dla ojca nie ma nic, nic.

– Uspokój się, oto masz chleb, daj mu także jeszcze cokolwiek rumu.

Piętaszek podziękował mi tklwym spojrzeniem, oddał pożywienie ojcu, a potem puścił się jak strzała ku zamkowi. Na próżno wołałem za nim. W kwadrans powrócił, niosąc bochenek chleba i kawał koziej pieczeni. Posililiśmy się wszyscy, a potem zapytałem po angielsku Europejczyka, skąd pochodzi. Nie posiadając tego języka, odrzekł mi po łacinie: *Christianus Hispanus sum*<sup>6</sup>.

Wymawiając te słowa i patrząc na mnie wzrokiem pełnym wdzięczności, mówił coś, lecz go nie rozumiałem. Wtem przyszło mi na myśl użyć mowy portugalskiej, której się nauczyłem w Brazylii. Odpowiedział mi natychmiast w tym samym języku, bo go dobrze posiadał.

Należało wracać do domu, tym bardziej, że zaczynało się chmurzyć na zachodzie, lecz jakim sposobem przetransportować chorych, nie mogących postępować o własnej mocy? Piętaszek zaradził temu, wskazując na łodzie dzikich. Do zamku morzem nie było dalej jak pół mili, wsadziliśmy więc Hiszpana do czólna, w którym już był ojciec Piętaszka i w pół godziny wpłynęliśmy do zatoki. Młody mój towarzysz powrócił na plac bitwy i przywiózł na drugiej łodzi broń naszą i trofea dzikim zabrane.

Zrobiliśmy nosze z gałęzi i przenieśli na nich ocalonych jeńców. Ponieważ zaś niepodobna było przebyć z nimi wysokiego muru i ostrokołu, po krótkiej naradzie rozbiliśmy namiot obok budki Piętaszka. Stół, dwa stołki i dwa tapczany z desek, na pakach ułożone, które wysłaliśmy słomą, a przykryli żaglami, stanowiły sprzęty nowego pałacu. Ułożywszy na nich chorych, pootuliliśmy ich wełnianymi kołdrami. Jakaż to była przyjemność dla biedaków, mających umrzeć przed paru godzinami.

Jedna tylko okoliczność trwożyła mnie, to jest obawa, aby dwaj dzicy, którym powiodło się ująć na jednej łodzi, nie powrócili w towarzystwie kilkuset swoich rodaków. Poleciłem Piętaszkowi zapytać się ojca, co by o tym sądził. Zdaniem jego, niepodobna, aby ludożercy dostali się na swoją wyspę, gdyż burza, właśnie w tej chwili hucząca, niezawodnie zatopi ich

---

<sup>6</sup> Jestem chrześcijanin, Hiszpan.

czólno albo też zapędzi do wyspy ku wschodowi leżącej i tam, przez nieprzyjaznych sobie krajowców zostaną schwytani i pożarci. Jeżeli zaś cudem jakim uda im się przedrzeć do domu, to nie tylko nie zachęcą swych współziomków, ale raczej odstraszą od odwiedzania naszej wyspy. Kiedy bowiem leżał związany, słyszał jak uciekający, drżąc ze strachu, nazywali nas złymi bogami, którzy na swe zawołanie mają błyskawice i pioruny.

Piętaszek na mój rozkaz zabił młode kozłę, którego przodek ugotowaliśmy na zupę z dodatkiem ryżu i korzeni, tylne ćwiartki piekły się na rożnie, a miły ich zapach lechtał przyjemnie podniebienie.

Posiliwszy i ułożywszy naszych gości, poleciłem Piętaszkowi czuwać nad nimi, sam zaś udałem się na spoczynek. Ale długo usnąć nie mogłem, gdyż stanęły mi w oczach wypadki całego dnia i stoczona walka ze wszystkimi szczegółami. Od trzynastu lat, jak zamieszkałem wyspę, liczba ludności pomnożyła się w czwórmasób. Nie była wielka, lecz różnorodność narodowości i wyznań nadawała mojemu państwu wybitną cechę. I tak: ja byłem katolikiem wyznania episkopalnego, zaprowadzonego w naszym kraju przez Henryka VIII. Piętaszek wyznawał też samą religię, lecz był Karaibem. Ojciec jego był także Karaibem, ale przy tym poganinem i ludożercą. Na koniec Europejczyk – Hiszpanem i katolikiem. Jednak ta różnorodność narodowości i wyznań nie przeszkadzała wcale najlepszym stosunkom pomiędzy mieszkańcami i nie obawiałem się wcale wybuchnięcia wojen narodowych lub religijnych.

## XXXVII

### **Historia Hiszpana. Plan mój sprowadzenia jego towarzyszy z sąsiedniej wyspy. Odroczenie go. Wspólna praca. Żniwa. Układ. Wyprawa.**

Na drugi dzień rano, wzięwszy łopaty, udaliśmy się z Piętaszkiem na pobojuwisko dla pochowania poległych Karaibów. Po powrocie zastaliśmy naszych gości przechadzających się wewnątrz zagrody z opuncji, która przez jedenaście lat wyrosła wysoko, stanowiąc nieprzebytą ścianę.

Z Hiszpanem rozmawiałem po portugalsku. Piętaszek zaś służył za tłumacza pomiędzy mną i ojcem swoim. Obeszliśmy gospodarstwo. Stary Karaib zachwycony był mnóstwem narzędzi i sprzętów mu nieznanych i co chwila zapytywał syna o użytek tego lub owego. Hiszpan nie mniej dziwił się urządzeniu całego zamku i z niezmierną ciekawością wysłuchał opowiadania mojej historii. Na koniec opowiedział mi swoje przygody w następujących wyrazach:

– Nazywam się Don Juan Castillos, jestem szlachcicem, rodem z Valladolid w Hiszpanii. Płynąc od ujścia Rio de la Plata do Hawany, zostaliśmy zaskoczeni przez straszną burzę, która nas w te strony zapędziła. Wśród nocy, przy jednej z wysp tutejszych usłyszeliśmy wystrzały z dział, wzywające ratunku. Pomimo wszelkich usiłowań, nie mogliśmy się dostać do zagrożonego okrętu. W odległości na lądzie gorzał wprawdzie ogień, ale dla mnóstwa podwodnych skał niepodobna było puszczać się ku brzegom. Wtem ujrzelśmy szalupę, w której znajdował się sternik i czterech majtków. Przyjeliśmy ich na pokład. Pochodzili zapewne ze statku, o rozbiciu którego opowiadałeś mi przed chwilą, ale i nam nie poszło lepiej. Miotani wiatrem, rozbiliśmy się na brzegach wyspy, skąd pochodzi ten dziki. Szesnastu Hiszpanów i dwóch Portugalczyków zdołało wraz ze mną w szalupie dostać się do brzegu, lecz reszta załogi utonęła. Lękaliśmy się dzikich, bo choć zaopatrzeni w szable i strzelby, nie mieliśmy prochu. Ale Karaibowie przyjęli nas gościnnie i pomieścili w swej wiosce. Wkrótce jeden z

Portugalczyków umarł, nie mogąc się przyzwycząić do nędznej stawy dzikich. Chcieliśmy się dostać do naszych osad, lecz nie mając narzędzi, niepodobna zbudować statku, a w łodziach Karaibów byłoby szaleństwem powierzać się oceanowi.

Przed kilku dniami najechali nas sąsiedzi wyspiarze. Wszystko, co żyło, pochwyciło za broń. Musieliśmy walczyć w obronie naszej i naszych gospodarzy. W bitwie stoczonej zwyciężyliśmy wprawdzie nieprzyjaciela, ale ostatni Portugalczyk poległ, ja zaś dostałem się do niewoli. Przywieziono nas tu na wyspę i już mieliśmy być pożarci, kiedy twoja szlachetna pomoc ocaliła nas od okrutnej śmierci. Oto moja historia. Robinsonie.

– Wiesz co, bracie, zawołałem, mam myśl ocalenia twoich współziomków.

– O, byłbyś naszym aniołem opiekuńczym, a wdzięczność dla ciebie nie miałaby granic, odpowiedział Don Juan.

Słuchaj więc: trzeba tu sprowadzić wszystkich twych współziomków, a wtedy, mając pod dostatkiem narzędzi, zbudujemy obszerny statek, zaopatrzymy go w żywność, broń, działa i podczas stałych pogód, panujących tu przez znaczną część roku, puścimy się na morze dla wyszukania osad hiszpańskich lub angielskich.

– Przecudny plan, o jakżeś dobry, Robinsonie.

– Jedna mnie tylko okoliczność od jego wykonania wstrzymuje.

– Cóż takiego, zapytał niespokojnie Hiszpan.

– Oto bojaźń, abym źle nie wyszedł na mojej dobroci.

– Jak to, zagadnął zdziwiony.

– Wiesz, jaka nieprzyjaźń dzieli nasze narody, lękam się więc, abyście, za przybyciem do osad hiszpańskich, nie oddali mnie jako Anglika w ręce wielkorządcy lub jako heretyka, Świętej Inkwizycji, która by mnie niezawodnie spaliła.

Wyrazy te zasmuciły bardzo Hiszpana.

– Wielki Boże, zawołał, czyż możesz nas mieć za takie potwory? Tylu doznaliśmy nieszczęść i przeciwności, jak możesz sądzić, byśmy zbawcy naszemu tak czarną odplacali niewdzięcznością?

– Właśnie, rzekłem, najczęściej ludzie złem za dobre odplacają, a wdzięczność coraz bardziej wychodzi z mody. Wreszcie tobie wierzę, ale któż mi zaręczy za twych współziomków?

– W takim razie pozwól, abym ze starym Karaibem odpłynął do wyspy, gdzie dotąd mieszkaliśmy. Zabiorę z sobą papier i wszystko, co do pisania potrzebne. Spiszemy kontrakt, że uznajemy we wszystkim twą władzę i złożymy ci przysięgę na wierność. Ja wykonam ją także jeszcze przed odjazdem, a gdyby się znalazł złoczyńca, który by tego układu nie dotrzymał, ukarzymy go śmiercią.

W twarzy Hiszpana, kiedy wymawiał te wyrazy, taką było widać szczerość, żem mu zupełnie zaufał i przystałem na umówiony układ. Już wszystko było ułożone co do dnia i godziny wyprawy, kiedy on sam zwrócił uwagę, że trzeba się jeszcze wstrzymać pół roku, albowiem zapasy żywności, a głównie zboża, dostateczne dla mnie i Piętaszka, a nawet dla nas wszystkich, nie wystarczyłyby długo na wyżywienie dwudziestu ludzi. Postanowiliśmy zatem uprawić i obsiać duży kawał ziemi, a dopiero po ukończeniu żniw przedsięwziąć zamierzoną wyprawę.

Ponieważ było nas dosyć i mieliśmy dostateczny zapas broni i amunicji dla oparcia się najezdowi dzikich, zatem uprawa i zasiewy odbyły się bez najmniejszej obawy. Nie chcąc zaś wytepić bez potrzeby kóz oswojonych, polowaliśmy na dzikie, co nam odpowiednią ilość mięsa dostarczało. Co zaś zostawało nad potrzebę, soliliśmy i wędzili, aby dla przyszłych mieszkańców przygotować zapasy żywności.

Wśród tego czasu wycechowałem kilkanaście drzew, do budowy przyszłego statku przydatnych. Piętaszek, jego ojciec i Hiszpan ścinali je i obrabiali, a ponieważ było parę pił dużych, wystawiliśmy rusztowanie, jakiego używają tracze i porzneliśmy najdłuższe pnie na deski, poukładawszy je w cieniu, aby dobrze wyschły.

Nadeszły żniwa, a zbiór wypadł tak pomyślnie, że otrzymaliśmy 70 korcy jęczmienia, 46 ryżu, 14 żyta i 8 pszenicy. Te dwa ostatnie gatunki zboża, z przyczyny gorącego klimatu, nie chciały dobrze rodzić, dlatego też, gdybym miał dłużej zostać na wyspie, z pewnością zaprzestałbym ich uprawy. Obrobiliśmy jeszcze raz pola, ażeby na wypadek przedłużenia pobytu, można było przedsięwziąć zasiewy zaraz na wiosnę.

Po ukończeniu tych robót, nic nie przeszkadzało już do zajęcia się wyprawą. Don Juan i ojciec Piętaszka przy pierwszym pomyślnym wietrze mieli odpłynąć dla zawarcia ugody z Hiszpanami. Aby mnie na każdy wypadek zabezpieczyć, Hiszpan na dzień przed odjazdem spisał rozkaz w następujących słowach:

»Ktokolwiek chce przybyć na wyspę, znajdującą się pod władzą Robinsona Kruzoe, winien wykonać uroczystą przysięgę, iż we wszystkim poddawszy się jego zwierzchnictwu, będzie wykonywał każdy jego rozkaz bez najmniejszego oporu. Nigdy nie zrobi nic na jego szkodę, a gdziekolwiek Robinsonowi spodoba się skierować statek, uda się tam, broniąc właściciela i jego majątku do ostatniej kropli krwi. Akt niniejszy każdy dobrowolnie zaprzysięgnie na ewangelię świętą i honor hiszpańskiego narodu. Kto by zaś nie chciał tego wykonać, ten nie zostanie przyjęty na wyspę Robinsona«.

Podpisaliśmy z Don Juanem ten akt, a on natychmiast złożył mi przysięgę na wierność, przyobiecując, że współziomkowie jego bez najmniejszego wahania też samo uczynią.

Czółno karaibskie zaopatrzyliśmy w żywność i wodę na osiem dni, bo chociaż pogoda była piękna, a żegluga dłużej trwać nad sześć godzin nie mogła, jednak lękaliśmy się, aby burza nie napadła naszych żeglarzy. Dałem im dwie strzelby i po dziesięć naboii, i nakazałem, żeby wystrzałów nie marnowali na próżno, lecz zachowali je na wypadek napotkania nieprzyjacznych Karaibów. Nadto wzięli ze sobą dwie siekiery, świder i topór oraz paczkę gwoździ, dla naprawy szalupy starej lub wybudowania wielkiej łodzi, potrzebnej do przewiezienia tak znacznej liczby osób. Na koniec wręczyłem Don Juanowi pióro i flaszeczkę atramentu, aby mieli czym podpisać umowę.

Nastąpiła chwila odjazdu. Piętaszek rzucił się na szyję ojcu, okrywał go pocałunkami i pieścizotami. Ścisnął starego i płakał tak rzewnie, że mnie samemu cisnęły się łzy do oczu. Ja i Don Juan, podawszy sobie dłonie, uścisnęliśmy się serdecznie, życząc rychłego widzenia się. Po czym wsiedli do czółna zaopatrzonego masztem i żaglem, a wiatr pomyślny zaczął je pędzić w pożądanym kierunku. Długo, długo patrzyliśmy za nimi, dopóki tylko jeszcze czarny punkt rozróżnić można było na morzu, a Piętaszek zalewał się rzewnymi łzami, jak gdyby nigdy już ojca nie spodziewał się zobaczyć.

Kiedy łódź nam z oczu zniknęła, udaliśmy się do świątyni, prosząc u stóp krzyża o pomyślną żeglugę i powrót szczęśliwy naszych towarzyszy.

## XXXVIII

### **Piętaszek spostrzega szalupę. Obawa napadu. Przygotowanie do obrony. Wichrzyciele i więźniowie. Narada. Potyczka z rokoszami. Zdobycie szalupy. Konwój więźniów.**

Don Juan i ojciec Piętaszka odpłynęli z wyspy w dniu 11 sierpnia 1677, to jest czternastego roku mego na niej pobytu. Wyprawa ich była pierwszym pewnym krokiem po tak długim przeciągu lat, przedsięwziętym dla wyzwolenia się z wygnania. Pierwszy raz miałem nadzieję, że nareszcie dostanę się do ojczyzny.

Wszystkie wolne me chwile zaprzętała myśl, jak by ten zamiar przywieść do skutku. Nadzieja i obawa opanowywały duszę na przemian. Raz cieszyłem się jak dziecko bliskim spełnieniem zamysłów, to znów drżałem ze strachu, aby burza nie zatopiła Hiszpana i Karaibę, aby pozostali przyjęli układ lub nareszcie, by w powrocie nie zaskoczył ich huragan. Podług umowy mieli dopiero przybyć na wiosnę, lecz któż mógł ręczyć, czy zniecierpliwieni długim pobytem między Karaibami, nie zechcą skorzystać z resztek pogodnej pory i nie puszczać się natychmiast z powrotem?

Czasami znowu dręczyła mnie myśl inna. Czy też za moim powrotem do Anglii, zastanę przy życiu rodziców? Czy nie byłoby lepiej zakończyć tu życie na wyspie bezludnej, aniżeli śmierć ich opłakiwać? W takim nieznośnym stanie duszy przebyłem parę tygodni, gdy w dniu 28 sierpnia o świcie zbudził mnie Piętaszek wołając:

– Panie Robinsonie, wstawaj, wstawaj, już są!

Zerwałem się z łóżka, wciągnąłem szybko suknie i nie myśląc o niebezpieczeństwie, nie wzięwszy nawet broni, pobiegłem ku wybrzeżom. Lecz jakież było moje przerażenie, gdy wybiegłszy z lasu otaczającego zamek, ujrzałem na morzu dużą szalupę, pędzoną wiatrem ku brzegom.

– To nie nasz statek, krzyknąłem z trwogą, płyną od zachodu, a nasi przybyć mieli z południa. Ukryjmy się, ukryjmy co żywo, bo któż wie, czy to przyjaciel, czy wróg?

Natychmiast pośpieszyliśmy ku zamkowi. Postawiłem Piętaszka przy nabitym kilkunastu kulami falkonecie z lontem w ręku, rozkazując, aby natychmiast dał ognia, skoro zakomenderuję, sam zaś wybiegłem na strażnicę, uzbrojony strzelbą i perspektywą.

Zaledwie wdarłszy się na skałę, zwróciłem oczy na morze, gdy w odległości dwóch mil morskich spostrzegłem okręt stojący na kotwicy. Ze struktury można było od razu poznać, że jest pochodzenia angielskiego, podobnie jak szalupa, zbliżająca się coraz bardziej ku brzegom.

Na ten widok serce zabiło mi gwałtownie. Niewypowiedzianą radość zobaczenia się na koniec z Anglikami, rodakami, braćmi, wkrótce zatruło powątpiewanie i trwoga. Skąd w tym odludnym zakątku mórz mógł się znaleźć okręt angielski? Wszakże marynarze i kupcy nasi nigdy nie zapuszczają się w te strony. Żaden okręt europejski nie zawija do tych niegościnych brzegów, gdzie nie ma ani osad, ani przystani handlowych. Burza ich tutaj nie zapędziła, bo od trzech miesięcy najmniejsza chmurka nie zasępiła widnokregu. Należało być ostrożnym i ukrywać się, bo po takich zakątkach włóczą się tylko rozbójnicy.

Długo jeszcze leżałem za odłamkiem skały z wymierzoną perspektywą, zanim szalupa przybiła do lądu. Szczęściem nie dostrzegli zatoki, w której łódka moja była ukryta, gdyż byliby mnie odkryli niezawodnie. Załoga składała się z jedenastu ludzi, z których ośmiu miało szable, trzech zaś stało w środku ze związanymi w tył rękoma. Z ubioru przekonałem się, iż są w istocie Anglikami.

Położenie jeńców musiało być nie najprzyjemniejsze, gdyż wznosili głowy ku niebu, wstrząsając związanymi rękami. Twarze ich były wybladłe, a krok niepewny. Zbrojni wprowadzili ich na brzeg. Jeden dobywszy szablę, zaczął wywijać nią nad głowami nieszczęśliwych jeńców, po czym posadzono ich pod drzewem, a cała gromada zbrojnych udała się ku lasowi, gdzieśmy przed paru miesiącami stoczyli bitwę z dzikimi. Dwóch pozostałych w szalupie obwinęło się w płaszcze i poukladało, jakby do spoczynku.

Zbiegłem z góry. Zajmowała mnie myśl oswobodzenia trzech związanych, lecz nie wiedziałem, jak tego dokonać. O, gdyby Hiszpan i ojciec Piętaszka byli ze mną, bez wahania uderzyłbym na ich prześladowców, tym bardziej, że oprócz pałaszy nie mieli innej broni. Położenie biedaków przypominało mi moje, kiedy wyrzucony przez fale, doznałem pomocy Bożej. Teraz z kolei należało spłacić chociaż w części dług zaciągnięty i ratować nieszczęśliwych więźniów od opuszczenia, a może i śmierci.

Gdy szalupa przybiła do brzegu, przyływ morza dochodził do najwyższego stanu. Mnie-  
małem więc, nie bez słuszności, że przed odpływem nie powrócą do okrętu. Miałem zatem  
przeszło dziesięć godzin czasu do przedsięwzięcia skutecznych kroków. Nieprzyjaciel był  
daleko groźniejszy od Indian, z którymi stoczyłem walkę zwycięską. Należało postępować  
ostrożnie. Nabiłem naprzód duże działo kulą, wycelowawszy je prosto w szalupę, potem długi  
falkonet siekańcami z różnych kawałków żelaza, pozostałe zaś dwie strzelby, siedem musz-  
kietów i cztery pistolety kulami.

Około południa, gdy upał zaczął mi mocno dokuczać, dostrzegłem z mej strażnicy, że sze-  
ściu awanturników pokładło się spać w lesie o dwie mile angielskie od zamku odległym, dwaj  
pozostali w szalupie także spali, a trzech związani siedzieli pod drzewem, tuż przy lasku, ota-  
czającym moją twierdzę.

Chwila ta zdawała mi się najodpowiedniejszą do uwolnienia jeńców. Wziąłem strzelbę,  
dwa pistolety i pałasz. Piętaszek, podobnie uzbrojony, niósł jeszcze trzy muszkiety i trzy sza-  
ble.

Wyglądałem straszliwie. Ubiór z kozich skór nadawał mej postaci jakąś dzikość, ogromne  
wąsy i broda oraz włos długi, spadający na ramiona, przy ogorzałej od słońca twarzy, nie  
mniejszej dodawały grozy. Zbliżywszy się nie postrzeżony ku siedzącym jeńcom, zapytałem  
po angielsku:

– Kto panowie jesteście?

Zrazu przerazili się bardzo. Zerwawszy się z miejsca, zaczęli uchodzić i tylko więzy prze-  
szkadzały im uciec. Widząc to, rzekłem:

– Nie lękajcie się wcale, przybywam wam na pomoc.

Słowa te wywołały czarodziejski wpływ na jeńców, tym bardziej, gdy porozcinałem im  
więzy. Jeden z nich, wyprostowawszy zbolące ręce, zdjął kapelusz i rzekł:

– O, panie, bądź zbawcą i opiekunem nieszczęśliwych, a Bóg ci wynagrodzi.

– Uspokójcie się. Jestem Anglikiem tak jak wy i pragnę was wyzwolić. Jest nas tu, jak wi-  
dzicie, dwóch tylko, lecz mamy pod dostatkiem broni i amunicji. Powiedzcież więc bez ogró-  
dek, co wam się przytrafiło, w czym możemy być wam użyteczni?

– Długa to historia, odrzekł najstarszy i nie wiem, czy starczy czasu na jej opowiadanie, bo  
lada chwila mogą wrócić nasi wrogowie, lecz powiem ci krótko. Jestem kapitanem okrętu,  
stojącego na kotwicy opodal wyspy. Ludzie moi zbuntowali się, zamierzając z początku mnie  
zabić. Lecz ponieważ niektórzy prosili za mną, przeto postanowiono wysadzić nas na tę wy-  
spę wraz z porucznikiem i tym podróżnym, który się opierał ich zamiarom.

– Pójdźcież za mną, rzekłem, cofając się w głąb lasku.

Gdyśmy stanęli w gęstwinie, przemówiłem do uwolnionych w następujące słowa:

– Panowie! Gotów jestem dopomóc wam do pokonania buntowników, pod dwoma jednak  
warunkami.

– Przystajemy na nie z góry, zawołał kapitan.

– Wysłuchajcie ich wprzód. *Po pierwsze:* żądam, abyście, dopóki zostajecie na wyspie,  
byli mi we wszystkim posłuszni, broń, którą wam powierzam, zwrócili na każde me żądanie i  
nie starali się nam szkodzić pod żadnym względem. *Po wtóre:* jeżeli przy mej pomocy odzy-  
skacie wasz okręt, abyście nas obu z ruchomościami przewieźli bezpłatnie do Europy.

– Dodaj jeszcze trzeci, zawołał z zapalem kapitan, że się zobowiązujemy walczyć za ciebie  
do ostatniej kropli krwi i ofiarować ci 2000 funtów szterlingów za twą uczynność.

– Obronę przyjmuję, lecz nie chcę żadnego wynagrodzenia. Raz, że jestem bogaty, a po  
wtóre, że uczynku chrześcijańskiego nie robię za pieniądze.

– Przebac, jeżeli obraziliśmy twą delikatność, rzekł kapitan, ściskając moją rękę.

– A więc do dzieła, zawołałem. Oto macie trzy muszkiety i amunicję oraz trzy szable.  
Mniemam, że najlepiej palnąć do śpiących, a jeżeli reszta się obudzi i będzie prosiła o łaskę,  
możemy im darować.



– Nie, nie, odrzekł kapitan. Wprawdzie ci łotrzy ciężko zawinili, lecz nie wszyscy są zarówno źli. Dwóch z nich tylko zasługuje na śmierć bez litości, lecz inni dadzą się na dobrą drogę naprowadzić.

– Czyń, jak ci się podoba, rzekłem, podając im broń.

W kwadrans później byliśmy już o kilkadziesiąt kroków od śpiących, zakryci krzewiną. Wtem z krzaków wyszło dwóch majtków.

– Czy to są naczelnicy buntu, zagadnąłem.

– Nie.

– Pozwólmy im więc odejść spokojnie, gdyż snadź Opatrzność nie chce ich śmierci, skoro się na czas przebudzili.

Kapitan z dwoma towarzyszami poskoczył naprzód. Szelest kroków i szcęk broni zbudził śpiących wicherzycieli. Zerwali się z przestraciem, lecz w tej chwili kapitan i porucznik dali ognia. Kula ugodziła jednego z hersztów w samo serce, drugi powalił się z przestrzeloną pierśią obok niego. Wtem i podróżny dał ognia, zadrasnawszy w bok jednego z pozostałych dwóch. Ciężko ranny podźwignął się na kolana, lecz kolba kapitana zgruchotała mu czaszkę. Na odgłos strzałów powrócili i tamci, którzy przed chwilą weszli w gęstwinę, ale widząc mnie i Piętaszka, wychodzących z lasu, zamiast uderzyć na kapitana, wszyscy czterej rzucili się na kolana i błagali o łaskę. Tak odnieśliśmy zupełne zwycięstwo.

Kapitan, obróciwszy się do klęczących, zawołał:

– Wszyscy bez wyjątku zasłużyliście na śmierć, jednak mogę wam przebaczyć pod warunkiem, że żałując za popełnioną zbrodnię, przysięgniecie mi dopomóc do zdobycia okrętu.

Zwyciężeni przysięgli na wszystko, że będą posłuszni i wierni. Kapitan chciał ich natychmiast uwolnić, lecz ja, uznając to za niedorzeczność, wszedłem pomiędzy obie strony i rzekłem:

– Za pozwoleniem kapitanie, nie masz prawa rozporządzania losem tych ludzi, gdyż znajdujesz się na wyspie, winienesz posłuszeństwo jej gubernatorowi. Wiesz, pod jakimi warunkami obiecał ci udzielić pomocy, a zatem w imieniu gubernatora polecam ci związać tych ludzi i oddać pod straż moją.

Uważałem, że słowa te niezmiernie przestraszyły pojmanych. Powaga, z jaką je wymówiłem i posłuszeństwo kapitana niezawodnie dały im wysokie wyobrażenie o potędze mniemanego gubernatora. Bez oporu tedy dali się związać. Rozkazałem Piętaszkowi, aby przy pomocy porucznika zaprowadził ich i zamknął w jaskini. Broń zabraną ukryto w bezpiecznym miejscu.

Po odejściu ich naradzaliśmy się z kapitanem, co dalej czynić wypada. W szalupie było jeszcze dwóch, którzy z przyczyny odległości strzałów nie słyszeli. Spodziewaliśmy się podejść ich szczęśliwie, lecz na okręcie znajdowało się 26 ludzi, opatrzonych w broń i gotowych walczyć do upadłego, ponieważ znali surowość prawa, orzekającego karę śmierci na wicherzycieli. Trzeba więc było jakiś podstęp wymyślić, ażeby opanować statek.

– Sądzę, rzekłem, iż pozostali na okręcie, nie mogąc się doczekać powrotu towarzyszy, wysłać czołno. Przede wszystkim trzeba więc opanować szalupę, aby jej uprowadzić nie mogli.

Wyruszyliśmy zatem zaroślami ku przystani. Jeden z majtków, na straży zostawionych, zapuścił się w krzaki i właśnie zajmował się rwaniem bananów, kiedyśmy go zniemacka podeśli. Widząc wymierzone strzelby, poddał się bez oporu. Przywiązałem go do drzewa, zakneblowawszy mu usta, po czym śmiało poszliśmy ku szalupie. Trzeba było widzieć przestrac drugiego majtką, gdy nas ujrzał wychodzących z zarośli z bronią, a mianowicie, gdy poznał kapitana. Nie myśląc o obronie, rzucił się na twarz, błagając litości.

Zabrawszy obu przestępców, zaprowadziłem ich do chatki Piętaszka i tam mocno przywiązałem do słupów, po czym wróciłem na wybrzeże. Tymczasem kapitan z podróżnym oderwali parę desek z dna szalupy. Wyciągnęliśmy ją z trudem na brzeg, do czego dopomógł nam Piętaszek z porucznikiem, w tej chwili przybywający.

Po dokonaniu tej ciężkiej pracy, zabrałem moich gości do zamku, gdzie wypoczęli i posilili się, ale jeszcześmy nie skończyli obiadu, kiedy wystrzał działowy dał się słyszeć z okrętu, widocznie dla przywołania szalupy. Po kwadransie zahuczał drugi, następnie trzeci i czwarty, lecz rzecz prosta, wezwania tego nasi więźniowie nie mogli usłuchać.

Natychmiast udaliśmy się na strażnicę z perspektywami dla zobaczenia, co się dzieje na okręcie. Załoga, nie mogąc się doczekać powrotu szalupy, wywiesiła flagę różnobarwną, jako sygnał ostateczny, wzywający do powrotu. Lecz gdy i to nie skutkowało, spuszczone czółno na wodę.

Wkrótce zbliżył się nowy statek tak, iż mogliśmy rozpoznać nawet twarze ludzi, na nim będących. Wszyscy mieli broń palną.

– Na nieszczęście, zawołał kapitan, pomiędzy ludźmi w czólnie tylko czterech jest takich, których pogroźkami do buntu wciągnięto. Reszta zaś i sternik, są to prawie główni wichrycyiele i w razie spotkania nie możemy się spodziewać, ażeby nam poszło tak łatwo, jak pierwszym razem.

– Wierz mi, kapitanie, rzekłem na to, że za przybyciem tu znajdowałem się w gorszym położeniu od ciebie, a jednak mnie Bóg z niego wydźwignął, miej zatem nadzieję, że i ciebie nie opuści.

– Dziękuję ci za dodawanie mi odwagi. Jednakże, jeżeli mam szczerze powiedzieć, nie spodziewam się, abyśmy z tej sprawy wyszli cało.

– Wkrótce się przekonasz, odrzekłem, że miałem słusność, ufając w opiekę Opatrzności.

## XXXIX

### **Druga łódź. Śmierć głównych buntowników. Wymowa Robertsona. Gubernator. Wypadki na okręcie. Wyrok na winnych. Przygotowania do opuszczenia wyspy.**

Tymczasem szalupa zbliżyła się do lądu. Siedmiu ludzi wyskoczyło, trzech zaś pozostało na straży. Z gęstwiny lasu otaczającego zamek, mogliśmy się doskonale przypatrywać, sami nie będąc widziani. Najpierwej pobiegli do pierwszej szalupy, lecz wpadli w niezmierne przygnębienie, ujrawszy ją przedziurawioną na wylot i ogołoconą z masztu, żagli i wiosła.

Przez chwilę stali, jakby wrośnięci w ziemię, nareszcie wydali głośny okrzyk, a gdy został bez odpowiedzi, wystrzelili naraz. Lecz i tym razem głucha cisza zapanowała dookoła, echo tylko przeciągłym grzmotem powtórzyło donośny huk ręcznej broni.

Widać, że grobowe milczenie nie bardzo im było przyjemne, albowiem po krótkiej naraździe wsiedli na łódź i odbili od brzegu. To wcale nie było mi na rękę. Odwróciłem się więc żywo w przeciwną stronę i wydałem przytłumiony okrzyk, tak ażeby go usłyszeli, a nie poznali, skąd pochodzi.

Natychmiast szalupa skierowała się ku lądowi. Widząc to, szepnąłem Piętaszkowi, aby z podróżnym udali się w wąwóz gęsto zarosły, a odszedłszy o kilkaset kroków, wydawali okrzyki dla zwabienia obsady czółna, kiedy zaś odprowadzą ją daleko, by znanymi manowcami do nas wracali.

Podstęp ten przewybornie się udał. Zaledwie majtkowie zbuntowani usłyszeli okrzyk w lesie, natychmiast, odpowiedziawszy nań, pośpieszyli w gęstwinę. Tego nam też było potrzeba. Kiedyśmy pomiarkowali z głosu, że już są dość daleko, postanowiliśmy napaść pozostałych na straży.

Wysłańcy nasi przewybornie się sprawiali. Wydobywszy się z wąwozu i wciąż idąc lasem, wiedli ich z pagórka na pagórek, coraz dalej i dalej, aż głosy naszych obu towarzyszy i wicherzycieli znikły w oddaleniu.

Wówczas pośpieszyliśmy ku brzegowi. W szalupie był tylko jeden majtek, drugi kąpał się w morzu, trzeci zaś usnął w krzakach. Kapitan, poznawszy w śpiącym jednego z dowódców wicherzycieli, kolbą mu głowę roztrzaskał. Dwaj drudzy poddali się zaraz, tym bardziej, że ich uwiedziono i już poprzednio żalowali przyłączenia się do buntu.

Obydwaj przyrzekli kapitanowi pomagać ze wszystkich sił, z żalem wyznając swą winę.

– Gdybyśmy się, rzekł jeden, odważyli im sprzeciwić, byłiby nas zamordowali. Życie poświęcimy za pana, jeżeli tylko zechcesz przebaczyć nam łaskawie.

Kapitan prosił, abym uzbroił obydwóch, zaręczając za ich wierność. Uczyniłem to, a tak siły nasze się zwiększyły.

Pomiędzy sześciu jeńcami, znajdującymi się w jaskini, czterech było takich, którym kapitan i porucznik ufali, że zaś i dwaj majtkowie potwierdzili to zdanie, zatem kazałem ich przyprowadzić i uzbroiłem także. Wojsko więc nasze wynosiło dziewięciu ludzi, nie licząc Piętaszka.

Noc już zapadła, kiedy obaj towarzysze przybyli ze swej wycieczki. Wspólnymi siłami wyciągnęliśmy czółno i przedziurawili, jak szalupę. Po czym posiliwszy się i wypocząwszy, oczekiwaliśmy na przybycie zbłąkanych.

W godzinę może potem nadciągnął nieprzyjaciel. Cała gromada kłęła w szkaradny sposób. Jeden narzekał na głód, drugi na pragnienie, a wszyscy w ogóle uzalali się na próżną włóczęgę, która ich nadzwyczajnie zmęczyła. Utykając co krok w ciemnościach, zbliżyli się wreszcie do szalupy. Nikt sobie wystawić nie zdoła ich pomieszczenia i przestrachu, gdy ją zastali w podobnym stanie, jak pierwszą. Z zajęciem słuchałem ich niedorzecznych uwag. Jednym zdawało się, że to uczynili dzicy, inni twierdzili, iż to sprawka złych duchów, zamieszkujących tę zaczarowaną wyspę.

– Wszak wam już w lesie mówiłem, dowodził sternik, że nas zły duch wodzi po tych przeklętych bezdrożach, gdzie sobie nogi porozbijałem. Toż głos ich zupełnie odmienny od ludzkiego, a wy, głupcy, utrzymywaliście wciąż, że to wołanie naszych towarzyszy. Łaziliśmy jak niedołęgi po lesie, a tymczasem szatan popsuł nam czółno i jeszcze pozostawionym łby pokręcał. I cóż teraz pocniemy?

Wrzący zapalczywością kapitan chciał natychmiast uderzyć na wicherzycieli, ale go powstrzymałem, tłumacząc, że wśród ciemności walka mogłaby wziąć zły obrót i łatwo który z naszych mógłby lec od wystrzałów.

Podczas tej cichej rozmowy sternik, główny podżegacz buntu, wpadł w największą trwogę. Wołał kilkakrotnie zaginionych towarzyszy, a gdy mu żaden nie odpowiadał, zaczął sobie z rozpaczyny wyrywać włosy, płakać i załamywać ręce.

Widząc, że już dłużej nie zdołam powstrzymać kapitana, poleciłem mu, aby w towarzystwie podróżnego podpełznął ku sternikowi i z nim naprzód skończył. Wkrótce znajdowali się obaj zaledwie o trzydzieści kroków od niego. Wśród ciszy nocnej, przerywanej tylko wyrzekaniami majtków, rozległy się dwa silne strzały. Od pierwszego legł sternik, podróżny zranił drugiego z naczelników tak ciężko, że w godzinę później ducha wyzionął.

Huk strzałów i jęk padających był hasłem ogólnego ataku. Wypadliśmy na przerażoną hałastę. Wśród ciemności przeciwnicy nie mogli rozpoznać naszej liczby, a echo, powiększając siłę wrzasku wydanego przez nas, przeraziło ich zupełnie. Korzystając z przestrachu wicherzycieli, nakazałem majtkowi, imieniem Robertson, aby zawezwał ich do poddania się na łaskę i niełaskę.

– Tom Smith, krzyknął Robertson, poddaj się natychmiast i zawezwij drugich, aby to uczynili, bo w tej chwili grad kul was zasypie, nieszczęśliwi.

– Czy to ty, Robertsonie, zapytał Smith z trwogą.

– Ja, stary łotrze, twój kolega z duszą i ciałem, skępowany, jak kołowrót kotwiczny. Ci zacni panowie, bodaj im szatan łby poukręcał, trzymają mnie jak w kleszczach. Zaklinam was, zbrodniarze, rzucajcie broń, bo za chwilę i tak ją będziecie musieli puścić, jak wam kule pogruchotają czaszki!

Poklepałem po ramieniu Robertsona za tę dzielną przemowę i podałem mu flaszkę z rumem, której wcale nie odepchnął.

– Komuż mamy się poddać, zapytał drżącym głosem Smith.

– Komu? I ten się pyta jeszcze, komu? Wytrzeszczę lepiej oczy, nietoperzu. Czyż nie widzisz pięćdziesięciu muszkietarów, których gubernator oddał pod dowództwo kapitana? Dalej plackiem na ziemię! Sternik już poszedł do swego kmotra, lucyfera, Will Fry oddaje bluźnierczą duszę w jego szpony, czy chcecie, żeby i wasze powędrowały do piekła, niegodziwcy?

– A czy nam darują życie, zagadnął inny.

– Cicho, na Boga, Atkinsie, zawrzeszczał Robertson. Nie odzywaj się ty przynajmniej, sprawco wszystkiego złego. Jeżeliś przyczynił się do uwiedzenia tych biednych ludzi swym bezbożnym językiem, to nie pozbawiajże ich życia przez dłuższe ociąganie.

– Wszyscy otrzymacie przebaczenie, zawołał kapitan, wszak znacie mój głos.

– To głos kapitana, zawołał Smith.

– A zatem wszystkim obiecuję łaskę, powtórzył, wyjąwszy Willa Atkinsa.

– Na miłość Boską, przebacz mi kapitanie, zawołał Atkins. Alboż już jestem tak bardzo zły, żebym się nie mógł poprawić?

– Tyś pierwszy rzucił się na mnie i skępował, odrzekł kapitan, dla ciebie nie ma przebaczenia!

– Łaski, łaski, kapitanie, zawołałi drudzy.

– Złóżcie wprzódy broń, buntownicy, zagrział głos kapitana, potem będziemy mówili o łasce.

Natychmiast wichrzyciele broń złożyli, a kiedyśmy ich związali i zaprowadzili do łasku, kapitan przemówił surowo, przedstawiając całą obrzydliwość i niegodziwość występku, jakiego się dopuścili oraz smutne następstwa popełnionej zbrodni.

– Chcieliście mnie zostawić na wyspie bezludnej, dodał, kończąc przemowę, ale Bóg inaczej rozrządził. Wyspę tę ma pod swą władzą gubernator angielski, jego więc błagajcie o przebaczenie, gdyż ja tu nie mam władzy rozkazywania. Przechodźcie teraz pod sąd jego.

Więźniowie najpokorniejszymi słowami obiecywali poprawę i prosili kapitana, ażeby się raczył wstawić za nimi do gubernatora.

Ma się rozumieć, że tym gubernatorem byłem ja, lecz stałem z daleka, nie mieszając się wcale do tej rozprawy. Wysłuchawszy wszystkiego, wysłałem porucznika, który, zbliżywszy się do kapitana, rzekł:

– Panie, jego ekscelencja gubernator życzy sobie z nim mówić.

– Powiedz pan jego ekscelencji, że jestem na jego rozkazy, odrzekł kapitan.

– Więźniowie, słysząc te słowa, uwierzyli, że w istocie gubernator z oddziałem wojska znajduje się w pobliżu, a widząc odchodzącego kapitana, raz jeszcze błagali go, żeby się za nimi wstawił.

Naradziliśmy się po cichu. Wypadło z tego, aby Atkinsa i dwóch najzuchwalszych odprowadzić do jaskini, do reszty zaś przemówić, dać im zupełne przebaczenie, pod warunkiem, aby dopomogli do odzyskania okrętu.

Podczas gdy Piętaszek z podróżnym i jednym z najzaufańszych majtków konwojowali więźniów, niosąc z sobą żywność dla nich i schwytanych poprzednio, odbyliśmy naradę względem zdobycia na powrót statku.

Przede wszystkim należało zbadać usposobienie majtków, obdarzonych przebaczeniem, o ile mają chęć wspierać nasz zamiar.

Kazałem ich przywołać do siebie.

Ciemność taka panowała wokoło, że nie mogli widzieć, jak wielka była liczba wojska pod moimi rozkazami.

– Słuchajcie i zważcie pilnie, co wam powiem. Mógłbym was wszystkich kazać natychmiast rozstrzelać, a moim ludziom kazać zdobyć statek i wywieszać całą obsadę, ale kapitan wasz, być może za gorąco, wstawia się za wami. Jeden tylko jest sposób zasłużenia sobie na łaskę. Jeśli o własnych siłach odzyskacie okręt, natenczas wam przebaczę, jeżeli nie, rozkażę moym bateriom rozpocząć ogień przeciwko statkowi, wyślę łodzie na jego zdobycie, a wówczas wszyscy będziecie wisieć na rejach.

– Ekscelencjo, zawołał Smith, przysięgamy wam na wszystko, że będziemy walczyć do ostatniej kropli krwi, walczyć jak szatani, aby odzyskać cześć i dobre imię, a dać dowód kapitanowi, że nas tylko uwiedziono.

Siły, którymi mogliśmy uderzyć na okręt, stojący na kotwicy, składały się z czterech jeńców, wziętych w lesie podczas bitwy, że jednak jeden był ranny w bok, zatem na trzech tylko można było liczyć, następnie dwóch wziętych ze straży czołna, pięciu, którzy w tej chwili zaprzysięgli wierność, na koniec kapitana, porucznika i podróżnego; razem trzynastu. Ja z Piętaszkim nie należeliśmy do wyprawy, gdyż należało strzec zamku i sześciu uwięzionych w jaskini.

Natychmiast wzięto się do naprawy przedziurawionych statków, co poszło bardzo prędko. Założyliśmy na powrót maszty, stery i żagle. W szalupę wsiadł kapitan, podróżny i pięciu majtków, na drugim czołnie płynąć miał porucznik i pięciu innych majtków. Zanim odbito od brzegu, przemówiłem raz jeszcze do obsady:

– Płynicie z Bogiem i sprawcie się dobrze, a zaręczam wam słowem gubernatorskim, że wszystko pójdzie w niepamięć. Lecz jeżeli za godzinę nie usłyszę umówionego z kapitanem sygnału na znak odzyskania okrętu, natychmiast zasypię was kulami z moich baterii. – Po czym, odwróciwszy się do Piętaszka, rzekłem rozkazująco:

– Niechaj porucznik Dickby i kadet Maxwell wsiądą natychmiast w kanonierki i przetną okrętowi drogę do ucieczki. Po dwudziestu ludzi na każdym statku będzie dosyć. Płynąć stroną przeciwną, a w razie przedłużenia się buntu, żadnemu nie dawać pardonu.

– Yes, mylord, odrzekł Piętaszek, odchodząc niby dla spełnienia moich rozkazów.

Nareszcie wyprawa odplynęła. Ostatnie słowa moje musiały nawróconym majtkom napędzić strachu i zachęcić ich do użycia wszelkich sił do odzyskania okrętu, gdyż w razie niepowodzenia, groziła im śmierć od mniemanych baterii i szalup kanonierskich.

W trzy kwadranse później, około samej północy, trzy wystrzały działowe z okrętu dały mi znać, że się wszystko powiodło szczęśliwie. Aby załogę utrzymać w mniemaniu, że baterie w istocie znajdują się na wyspie, wypaliłem po trzykroć z mej sześciofuntówki, znajdującej się na strażnicy. To, jak mi później opowiadał kapitan, wywarło bardzo zbawienny wpływ i zjednało mi nie tylko ślepe posłuszeństwo, lecz nawet poświęcenie, gdyż okazałem się wspaniałomyślnym, mogąc, a nie karząc śmiercią wichrzycieli.

Ucieszony powodzeniem, czując się nadzwyczaj zmęczony, poszedłem z Piętaszkim do zamku, a po chwili obaj spaliśmy jak zabici. Nad ranem zbudził nas bardzo bliski wystrzał działowy. Wybiegłem na strażnicę i ujrzałem kapitana, płynącego ku brzegowi w szalupie. Okręt zaś stał na kotwicy o paręset sążni od wyspy.

Włożywszy paradny mundur, znaleziony na portugalskim okręcie, kapelusz i szpadę, wybiegłem naprzeciw kapitanowi, który właśnie wylądował. Ujrzawszy mnie, rzucił mi się na szyję i zaczął ścisnąć, mówiąc:

– Zbawco mój, przyjacielu! Oto twój okręt ze wszystkim, co się na nim znajduje.

– A więc przecież po czternastu latach wygnania ujrzę moją ojczyznę! Bóg zlitował się nad mną i położył koniec długiej pokucie. Myśl ta wycisnęła łzy z moich oczu. Mimo usilnego powstrzymywania się, wybuchnąłem głośnym płaczem.

Gdym przyszedł do siebie, kapitan opowiedział mi szczegóły odzyskania okrętu.

– Przybliżywszy się do niego, rozkazałem Smithowi, aby oznajmił straży, iż odszukawszy towarzyszy, przywozi ich z sobą. Ciemność nocy nie dozwoliła rozpoznać straży ilu i jakich ludzi przybywa. Spuszczono drabinę, po której wdarliśmy się na pokład. W mgnieniu oka straż porwano i związano tak szybko, że żołnierz nie był w stanie wydać okrzyku. Na pokładzie ujrzałem cieśnię okrętowego, najzagorzalszego z wichrzycieli. Aby nie robić hałasu, zamiast strzelić, przeszyłem mu pierś szpadą. Porucznik z czterema ludźmi zbiegł do kuchni, aby pochwycić kucharza, podżegacza tej sprawy, ja z podróżnym i sześciu majtkami poskoczyłem do kajuty kapitana, obranego przez buntowników. Drzwi były z wewnątrz zaparte. Wyszliśmy je. Na ten łoskot nędznik zerwał się z łóżka, lecz nim miał czas sięgnąć po broń, roztrzaskałem mu kulą czaszkę.

Wystrzał zwabił resztę obsady w liczbie dwunastu. Ujrzawszy zabitego kapitana buntowniczego i poznawszy mnie, jedni rzucili broń, zdając się na łaskę, paru zaś chciało uciekać, ale nadchodzący porucznik ze swym oddziałem schwycił ich i skrupował. Naówczas rozkazałem poddającym się wykonać przysięgę wierności, co też chętnie uczynili, zwłaszcza, że Robertson swoją wymową napędził im wielkiego strachu, opowiadając o gubernatorze i wysłanych statkach dla przecięcia ucieczki. Wystrzały twoje potwierdziły prawdę słów jego i tak odzyskałem statek. Zwłoki dowódcy wichrzycieli kazałem powiesić na rei głównego masztu.

Skończywszy opowiadanie, kapitan prosił mnie, abym się udał na okręt w charakterze oficera upelnomocnionego przez gubernatora do osądzenia winnych i odprowadzenia okrętu do Anglii.

– Aby utrzymać w błędzie obsadę dodał, powiedziałem, że gubernator rozkazał mi skierować okręt ku przeciwnemu brzegowi wyspy, gdyż nie chce patrzeć na wichrzycieli, ani ich sam sądzić, ponieważ lęka się, aby go nie uniosła surowość.

Poleciwszy Piętaszkowi, jakie ma odłożyć rzeczy dla zabrania do Europy, sam naradziłem się z kapitanem, jak postąpić z jeńcami, będącymi w jaskini. Atkins i dwóch innych byli to lotrzy niepoprawni. Zabrawszy ich ze sobą, musielibyśmy trzymać wszystkich trzech w więzach i w najbliższej osadzie angielskiej wydać w ręce sprawiedliwości. Kapitan, ukarawszy już kilku buntowników śmiercią, nie chciał powiększać rozlewu krwi.

Na mój rozkaz przyprowadzono sześciu skrupowanych wichrzycieli. Naówczas rzekłem:

– Jego ekscelencja gubernator wysłał mnie, abym was osądził.

– Łaski, łaski, zawołali chórem.

– Łaski, odpowiedziałem z pogardą, teraz jej żebrać umiecie, a nie wahaliście się podnieść rękę na kapitana i zabrać okręt, aby się puścić na rozbój morski. Jego ekscelencja, zwróciwszy statek właścicielowi, udzielił żałującym przebaczenia przez wzgląd, że dopomogli sami do jego odzyskania. Jednakże winna nie mogła ująć bezkarnie. Oto kapitan buntowniczy wisi na rei, mówiłem dalej, wskazując na okręt, sternik, cieśla. Will Fry i trzech innych już nie żyją. Teraz kolej na Atkinsa, kucharza i Harrego. Z rozkazu gubernatora jesteście skazani na śmierć, a kara dla przykładu całej obsady zostanie wykonana na okręcie.

Trzej obwinieni zaczęli gorzko płakać.

Wówczas kapitan i porucznik zaczęli mnie błagać, ażebym winnym przebaczył, do czego przyczyniły się także prośby innych majtków.

Długi czas opierałem się pozornie prośbom, na koniec rzekłem:

– Dobrze więc, ponieważ tak bardzo za wami prosi wasz kapitan, zostaniecie przy życiu, lecz będziecie skazani na wygnanie w jednej z pustych okolic tej wyspy, pod warunkiem nie przekraczania granic wam naznaczonych. W przeciwnym bowiem razie zostaniecie przez żołnierzy naszych schwytani i bez miłosierdzia na miejscu rozstrzelani.

Winowajcy padli mi do nóg z radości, dziękując za darowanie życia. Postanowiłem dać im mieszkanie na folwarku. Dlatego zaś zabroniłem opuszczać wyznaczonego miejsca, aby nie złupili broni i sprzętów przeznaczonych dla Hiszpanów i nie dowiedzieli się, że oprócz ich trzech nikogo więcej na wyspie nie ma.

Spodziewałem się, że nastraszeni potęgą mniemanego gubernatora, nie ośmielą się wyjść z kryjówek, dopóki tamci nie przyłyną. Tymczasem zaś pozostawiłem im kilka korcy zboża, siekierę, nóż, nieco gwoździ, oraz łuki i strzały, wybrane z broni zdobytej na ludożercach, nie chcąc dawać strzelb w ręce takich ludzi.

We dwa dni potem, zabrawszy wszystkie rzeczy wyrobione przeze mnie, jako to: ubrania i pościel z koziej skóry, nieco garnków, lampę, stół, krzeselka, parasol, oraz pieniądze zachowane w jaskini, których nieznany właściciel utonął podczas rozbicia się okrętu portugalskiego (żaden z jego towarzyszy już nie żył), zamierzaliśmy podnieść kotwicę. Przy wejściu do zamku zostawiłem list do Hiszpana po portugalsku napisany, aby Atkins, jeżeli go znajdzie, nie zrozumiał. W liście tym doniosłem mu o zamurowanym składzie amunicji w jaskini, jako też poleciłem, aby zawsze miał na baczności zostawionych Anglików i uważał ich za podległych swej władzy.

## XL

### **Pożegnanie wyspy. Żegluga do Anglii. Londyn. Wdowa po kapitanie. Powrót do Hull. Co tam zastałem. Odrętwienie i życie odлюдne. Odwiedziny plantatora. Dobre wiadomości. Podróż do Brazylii. Zakup różnych rzeczy. niespodziewany majątek. Odplynięcie z Bahii.**

Dnia 31 sierpnia 1677 roku, w lat 13, miesięcy 11 i dni 7 po moim przybyciu na wyspę, miałem ją na koniec opuścić i wrócić pomiędzy swoich, do lubej ojczyzny, której od dziewiętnastu lat nie widziałem.

Radość moja była trudna do opisania, lecz gdy nadszedł dzień stanowczy, kiedy ujrzałem wschód słońca, mającego ostatni raz oświecić mą wyspę, serce mi się ścisnęło i łzy napełniły oczy. Tu przeżyłem lat tyle. Tu Opatrzność przez swe mądre zrządzenia dozwoliła, żem się stał z próżniaka i włóczęgi człowiekiem pracowitym. Tu wreszcie przybyłem dwudziestotrzyletnim młodzieńcem, a dziś, po spędzeniu na pustyni uroczych dni młodości, powracam trzydziestosiedmioletnim mężczyzną. Raz jeszcze obiegłem najpamiętniejsze dla mnie miejsca, pożegnałem zamek, uściskałem kozy, wreszcie poszliśmy obydwaj z Piętaszkiem do naszej świątyni na górze i tam spędziłem dwie godziny na modlitwie gorącej i serdecznej, dziękując Bogu za wszystkie łaski i dobrodziejstwa.

Na koniec wszedłem do łodzi w towarzystwie Piętaszka, który nie dał się nakłonić do zostania na wyspie. Papugę, Amiga i dwie najulubieńsze kozy zabraliśmy z sobą. Długo stałem z Piętaszkiem na pokładzie, wpatrując się w niknące góry ukochanej wyspy, on także miał oczy łzawo zaszcze, gdyż rozstawał się, kto wie na jak długo, z ojcem.

Miałem zamiar tu kiedyś powrócić, choćby dla odwiezienia Piętaszka i zobaczenia, co się dzieje z moim królestwem. Podróż nasza odbyła się pomyślnie, tak iż 25 listopada tegoż roku zawinęliśmy do brzegów Anglii.

Skądże wezmę słowa do wyrażenia mych uczuć na widok ukochanej ojczyzny, od lat tylu nie widzianej. W żadnej podobno mowie ludzkiej takich nie znajdzie. Bóg tylko jeden widział stan mojej duszy. On słyszał bicie serca, czuł łzy gorące, spływające po twarzy! O, ta niezapomniana chwila była mi sowitą nagrodą za wszystkie trudy i cierpienia.

Bez zatrzymania podążyliśmy do Londynu. Dnia 4 grudnia zarzuciliśmy kotwicę przy wybrzeżach przedmieścia Southwark.

Najpierw wywiedziałem się o mieszkaniu wdowy po przyjacielu moim, kapitanie portugalskim, z którym przed osiemnastu laty odbyłem pierwszą podróż do Gwinei. Żyła jeszcze, mając niewielki sklepik na Flinchlane Przebyła wiele nieszczęść i dziś zostawała prawie w niedostatku. Wsparłem ją podarunkiem stu funtów szterlingów, za co błogosławiła mnie, jak matka.

Dołączywszy do znalezionej na okręcie skarbu moje dawne pieniądze, prócz udzielonej wdowie sumy, miałem jeszcze 6500 funtów, co stanowiło znaczny majątek. Pragnąłem nim osłodzić podeszłe lata rodziców i śpieszyłem do Hull, aby im upaść do nóg.

O, Boże, jakąż mnie ciężka dotknęła żałoba. Oboje już nie żyli. Ojciec przed jedenastu laty zstąpił do grobu, a matka zgasła przed półtora rokiem w dniu fatalnym dla mnie, 31 lipca 1676 roku. Straciłem wszystko co najdroższego miałem na ziemi, straciłem bezpowrotnie! Dziś biedny sierota, opuszczony, samotny, nie mam gdzie przytulić głowy, a nawet sam Bóg, moja jedyna ucieczka, już mi tej straty nie wróci.

Poszedłem na cmentarz, gdzie spoczywały święte prochy rodziców i tam zdawało mi się, że serce pęknie, że zmysły stracę.

Omdlałego zanieśli mnie do domu. Przez kilka tygodni walczyłem ze śmiercią, powalony straszną gorączką. Pośród niej o niczym nie mówiłem, jak tylko o rodzicach, którzy pomarli, nie udzieliwszy mi przebaczenia i błogosławieństwa. Wierny Piętaszek czuwał nade mną. I czy uwierzycie, czytelnicy, że wstawszy z choroby, uczułem się o dwadzieścia lat starszy. Włosy mi posiwiały, straciłem dawną energię i już nic mnie nie cieszyło na świecie.

W takim stanie przeżyłem lat trzy, nie myśląc wcale o odwiedzeniu mej wyspy, gdy jednego dnia Piętaszek dał mi znać, że jakiś obcy żąda widzenia się ze mną.

Lubo miałem wstręt do ludzi, jednakże kazałem go wpuścić.

Był to pan portugalski, mogący mieć przeszło lat czterdzieści, bogato ubrany.

– Senior, przebac, rzekł do mnie. Wszak nazywacie się Robinson Kruzoe?

– Nie inaczej, odpowiedziałem, prosząc aby usiadł.

– Ten sam, który niegdyś mieszkał w Brazylii?

– Tak jest, ale w czym mogę być panu użyteczny?

– Daruj mą ciekawość, panie, lecz chciałbym się dowiedzieć o szczegółach waszego pobytu w Brazylii. Czy nie zechcielibyście mi ich opowiedzieć.

Uczyniłem zadość życzeniu obcego, a gdy skończyłem moje opowiadanie, powstał, pochwycił mnie za rękę i zapytał:

– Czy nie poznajesz mnie panie Kruzoe? Wpatrywałem się długo w jego twarz. Rysy nie były mi obce, lecz nazwiska przypomnieć sobie nie mogłem.

– Czy nie pamiętasz nazwisk twoich współników w zamierzonym handlu Murzynami?

– Don Jose de Aranha, zawołałem, wyciągając do niego rękę, mój sąsiad i przyjaciel z San Salvador.

– Tak, mój przyjacielu. Przed trzema laty przybyłem do Londynu, wówczas właśnie, kiedy cała stolica brzmiała echem twoich przygód. Rozgłosił je kapitan, któremu ocaliłeś życie i okręt, nie chcąc za to przyjąć nagrody. Nazwisko twoje dobrze pamiętałem, szlachetny postępek dał mi poznać, że to ty sam jesteś, zacny mój przyjacielu. Lecz musiałem wracać do Brazylii, a tam wskutek zamieszek dostałem się do więzienia. Odzyskawszy wolność, miałem za najświętszy obowiązek odwiedzić cię i odnowić dawną przyjaźń, zawartą jeszcze w Brazylii.

– Miałem tam niegdyś niezłą plantację, lecz zapewne dawno ją zabrano na skarb. Zresztą, utraciwszy rodziców, nie dbam o nic na świecie. Posiadam majątek taki, że mi na utrzymanie do śmierci wystarczy i proszę tylko Boga, żeby jak najprędzej nadeszła.

– Taka mowa nie jest wcale zgodna z twym sposobem myślenia. Żyjąc w samotności i oddając się bez pomiarkowania żalowi, okazujesz się samolubem. Nie, Robinsonie, tak ci żyć nie wolno. Masz względem bliźnich obowiązki, ich powinieneś uważać za rodzinę. Błogo-



sławieństwo pocieszonych przez ciebie zastąpi ci przebaczenie rodziców, którego nie otrzymałeś. Powtarzam raz jeszcze: tak, jak teraz, żyć ci nie wolno.

Słowa Brazylijczyka dziwne na mnie zrobiły wrażenie. Zdawało mi się, że słyszę głos ojca, przemawiającego z grobu i wskazującego mi, co mam czynić. Myśl osadnika trafiła zupełnie do mojego przekonania. Podałem mu więc rękę, na znak przyjęcia jego rady.

– Trzeba ci wiedzieć, rzekł mi osadnik, że przez trzy lata po zaginieniu okrętu, prowadziliśmy plantację wraz z kapitanem portugalskim na twój rachunek, przypuszczając cię zarazem do udziału w zyskach, jakie nam przyniósł handel niewolnikami. Kiedy jednak nie było o tobie wcale wieści, prokurator królewski objął plantację na skarb. Dochody jej dzielą w ten sposób, że jedna piąta idzie do skarbu królewskiego, jako wynagrodzenie za zarząd. Jedną piątą wypłacają klasztorowi świętego Augustyna na wsparcie biednych i nawracanie Indian. Trzy piąte składa się w skarbie na twój dochód. Gdybyś po dwudziestu pięciu latach nie wrócił, naówczas plantacja przechodzi na klasztor, pieniądze zaś depozytowe stają się własnością państwa. Ale ponieważ termin ten jeszcze nie upłynął, zatem powrócisz do ich posiadania. Trzeba tylko jechać do Brazylii i udowodnić, że jesteś Robinson Kruzo.

– Zgoda, zacny mój przyjacielu, pójdę za twoją radą. Po czym, przywoławszy Piętaszka, zapytałem go:

– Kochany mój Piątku, powiedz mi, czy nie tęsknisz za twoją rodziną i starym ojcem?

Zapytanie to zadziwiło niezmiernie Indianina, spojrział na mnie wielkimi oczyma, w których zabłyśły dwie duże łzy i stoczyły się wolno po brązowej twarzy.

– I cóż tak na mnie patrzysz, rzekłem z uśmiechem. Zdaje ci się niepodobnym, abyśmy się kiedy ruszyli z tego odludnego zakątka? Otóż dowiedz się, że za kilka dni wyjedziemy do Londynu, a jeżeli Bóg poszczęści naszej żegludze, za kilka miesięcy ujrzysz twoją ojczystą wyspę.

Piętaszek zrazu nie chciał uwierzyć swemu szczęściu, lecz gdy się przekonał, że nie żartuję, zaczął skakać, tańczyć, śmiać się, płakać i tysiącnymi sposobami okazywać swoją radość.

W przeciągu kilku dni uporządkowałem moje interesy, złożyłem testament w ratuszu miejskim, rozporządzając pieniędzmi na korzyść ubogich w Hull, jeżelibym nie powrócił. Wziąłem także świadectwa, że jestem w istocie Robinsonem Kruzo. Po czym wyruszyliśmy do Londynu dla wyszukania odpowiedniego statku. Osadnik brazylijski miał zabrać ze sobą kilku ludzi oraz rozmaite narzędzia, a że i ja zamierzałem zrobić różne sprawunki dla moich wyspiarzy, postanowiliśmy więc nająć na wspólny koszt statek, ażeby od nikogo nie zależeć. Jakoż wkrótce wynaleźliśmy ładny bryg kupiecki, o dwóch masztach i ośmiu działach nazwany *Sbark*, za sumę stosunkowo niezbyt wysoką.

Natychmiast zająłem się porobieniem różnych zakupów. I tak: naprzód nabyłem jedną szalupę, mogącą pomieścić 14 do 16 ludzi i jedno działko, przeznaczając ją jako statek strażniczy do zabezpieczenia wyspy od morskich napadów karaibskich. Dalej niewielki arsenał, złożony z osiemdziesięciu strzelb, czterdziestu berdyszów<sup>7</sup> tyłuż pałaszy i par pistoletów. Nadto dwa polowe, czterofuntowe działa, z potrzebnym zapasem amunicji dla wojska, a śrutu dla myśliwych. Tym sposobem postawiłem osadę w możności zmierzenia się z parotysięcznym wojskiem dzikich.

Po czym zakupiłem 16 postawów sukna, 40 sztuk płótna rozmaitej grubości, 40 sztuk drelichu, częścią na pościel, w części na odzież, sto kapeluszy, sto par obuwia różnej miary, zapas pończoch, igieł, nici, tasiemek, nożyczek, gwoździ, młotków, szydeł i różnych narzędzi ciesielskich, kilkanaście kociołków, wiele różnych sprzętów kuchennych, kilka pługów, bron i innych narzędzi rolniczych. Zresztą, wyliczanie wszystkiego szczegółowo zajęłoby zbyt wiele miejsca.

Ponieważ w Anglii znajduje się zawsze dosyć osób, szukających polepszenia losu, skoro więc tylko rozgłosić kazałem, że przyjmę ochotników, chcących osiedlić się na mej wyspie,

<sup>7</sup> Berdysz, jest to topór, umocowany na długim trzonie, zakończony dzidą, inaczej zowie się halabardą.

natychmiast zgłosiło się ich takie mnóstwo, że trzeba było tylko wybierać co lepszych i porządniejszych. Zabrałem więc czterech kmieci z żonami – małżeństwa te miały siedem córek i trzech dorastających synów – dalej dwóch cieśli żonaty z trojgiem dzieci, bednarza z żoną szwaczką, krawca z czeladnikiem, kowala z żoną i dwiema dorosłymi córkami, szewca, ogrodnika, tokarza, wszystkich żonaty i dzielnych, gdyż rodzinom dawałem pierwszeństwo, aby o ile możliwości stworzyć osadę. W ogóle 19 mężczyzn i 25 kobiet. Na koniec zakupiłem cztery krowy z cielętami, dwie maciorki i kilka owiec.

Brazylijczyk aż się przeląkł, widząc takie mnóstwo osób i rzeczy, lecz statek obszerny pomieścił wszystko. Wydałem przeszło 1500 funtów, ale uważałem sumę tę jako zwrot części majątku, zebranego na wyspie.

W dniu 15 stycznia 1680 roku, rozwinąwszy żagle, opuściliśmy Londyn. Przykro mi się zrobiło, gdy brzegi Anglii zniknęły mi z oczu. Zrażony tylu doznanymi przygodami, nie spodziewałem się oglądać więcej mojej ojczyzny. Piętaszek wcale w innym był usposobieniu. Cieszył się jak dziecko i ciągle tańczył po pokładzie, rozpowiadając cuda nowym osadnikom o piękności i żyzności naszej wyspy. Dla jego wesołości wszyscy go polubili i podróż schodziła nam bardzo przyjemnie.

W dniu 27 marca zarzuciliśmy kotwicę w porcie: Bahia, czyli San Salvador w Brazylii. Wkrótce dowiedziano się o moim przybyciu. Stałem w mieszkaniu plantatora, gdzie odbierałem ciągle wizyty od obywateli miejskich i osadników. Każdy rad był się dowiedzieć moich przygód i tak często musiałem je opowiadać, iż mi się to bardzo uprzykrzyło.

Po kilkudniowym wypoczynku udałem się z moim przyjacielem do prokuratora królewskiego i do przeora klasztoru świętego Augustyna. Gubernator portugalski uznał tożsamość mojej osoby, poświadczoną przez kilku dawnych moich znajomych.

Wszyscy, wzruszeni moją kilkunastoletnią niedolą, nie tylko nie robili żadnych trudności, ale owszem, ułatwili mi we wszystkim obrachunki i odbiór pieniędzy. Plantacja przez ten czas znacznie się powiększyła i wartość jej wzrosła.

Z przedstawionych papierów okazało się, że:

Przez trzy lata zarządzania plantacją przez mych przyjaciół plantatorów, po odtrąceniu 800 moidorów <sup>8</sup> na zakup gruntu i zarząd,	
pozostało czystego zysku .....	2460 moidorów
Trzy piąte dochodu z plantacji przez lat piętnaście składane w depozycie wynosiło.....	20420 moidorów
Przeor klasztoru św. Augustyna zwrócił mi nie wydanych.....	1870 moidorów
Zysk ze sprzedanych niewolników, na mą osobę przypadający, wynosił.....	4950 moidorów
Razem	29700 moidorów

Namawiano mnie przy tym, ażebym sprzedał plantację, na którą trafiał się korzystny kupiec. Myśląc jedynie o mojej wyspie, z chęcią na to przystałem. Natychmiast wyliczono mi za nią 10500 moidorów. Prócz tego za sprzedane 140 pak cukru, 60 pak kawy i 100 zwojów tytoniu, wziąłem 4000 moidorów, tak że cała suma na monetę angielską wynosiła, po odtrąceniu kosztów na podarunki dla gubernatora, prokuratora i klasztoru, około 58000 funtów szterlingów, a dodawszy to, co posiadałem w Anglii, miałem przeszło 65000 funtów majątku.

Zabawiwszy do połowy czerwca w San Salvador, pożegnałem mego przyjaciela, obiecując przepędzić z nim zimę. Okręt Shark przeszedł obecnie pod mój zarząd. Do dawnego ładunku przydałem 10 pak cukru i pięć worków kawy dla moich wyspiarzy. Kilku robotników obeznanych z uprawą kawy i trzciny cukrowej zabrałem ze sobą. Wziąłem także trzech obeznanych z warzelnią cukru, kilka kobiet i dzieci, tak iż liczba osadników nowych pomnożyła się

<sup>8</sup> Moidor, złota ówczesna moneta portugalska, wynosiła funt szterling i sześć szylingów

do 24 mężczyzn i 32 kobiet, a wielu ochotnikom musiałem odmówić, obiecując kiedykolwiek później ich wysłać.

Korzystając z pięknej pory, udałem się w łodzi na pokład mego statku i natychmiast podnieśliśmy kotwicę. Wiatr szybko pędził nasz statek. Dnia 27 czerwca ujrzałem z dala góry mej wyspy, rysujące się na widnokręgu.

## XLI

### **Przybycie na wyspę. Radość Hiszpanów. Przywitanie Piętaszka z ojcem. Co zaszło podczas mojej nieobecności. Przygoda osadników. Zuchwałość Atkinsa. Anglicy opuszczają wyspę. Powrót ich w towarzystwie dzikich i kara zbrodniarza.**

Pomimo dokładnych obserwacji zrobionych przez kapitana angielskiego okrętu w czasie naszego odjazdu z wyspy, wskazujących, że znajdowała się pod 50 stopniem długości zachodniej, a 14 szerokości północnej, nie byłem pewny, czy ją mam przed oczyma. Ale serce Piętaszka i jego wzrok bystry wnet rozstrzygnęły wątpliwości.

– Patrz, patrz. Robinsonie, wołał poczciwy chłopak, tam nasza wyspa, tam ojciec Piętaszka. Stary, kochany ojciec, on bardzo płacze za Piętaszkiem i myśli, że już jego syn nie żyje. O, tam, tam na prawo strażnica. Ja ją widzę dobrze, bardzo dobrze. I zaczął się rzucać i skakać jak szalony, klaszcząc w ręce. Zaledwie go wstrzymałem, że nie wskoczył w morze, ażeby wpaść do brzegu płynąć.

Z bijącym sercem wsiadłszy do łodzi, popłynąłem z Piętaszkiem i sześciu ludźmi uzbrojonymi do brzegu. Sądziłem bowiem, że może zamiast osadników znajdę dzikich Karaibów na wyspie. Jakaż była moja radość, kiedy naprzód spotkałem Hiszpana, wyratowanego przeze mnie.

Trudno opisać, z jakim wzruszeniem witał mnie ten zacny człowiek. Przez długi czas ścisaliśmy się ze łzami, nie mogąc przemówić słowa. Gdy inni dowiedzieli się o moim przybyciu, natychmiast powitali mnie ogniem całej artylerii, na co okręt i szalupa odpowiedziały. Na głos wystrzałów nadbiegł ojciec Piętaszka. Powitanie ich było rozrzewniające. Posadziwszy ojca na wzgórkach, syn wpatrywał się w niego jak w obraz, a co chwila odbiegał po jakiś przysmaczek do szalupy i wracał znów okrywać pieszczotami starca. Przy tym wciąż mówił po karaibsku, a usta nie zamknęły mu się na chwilę.

Nadbiegli Hiszpanie w liczbie szesnastu, poprowadzili nas w triumfie do zamku. Na szczycie strażnicy zatknięto sztandar z moim nazwiskiem. Nie mogłem poznać fortyfikacji, bo je znacznie podniesiono, tak że wał dochodził do siedmiu metrów wysokości, a rów dookoła, szeroki na pięć metrów, napelniała woda strumienia. W trzech narożnikach pięciokąta stały nabite falkonety, tuż zaś przy drzwiach grotty znajdowało się dziesięć muszkietów i dwie strzelby. Później dopiero dowiedziałem się o przyczynach tych ostrożności.

Nastąpiły wzajemne opowiadania. Hiszpanie nie spodziewali się więcej mnie oglądać, sądząc, że okręt na którym odpłynąłem zatonął, albo też, że przybywszy do Anglii, wkrótce zakończyłem życie. Poczciwi ludzie nie przypuszczali, ażebym mógł o nich zapomnieć.

Prosiłem Hiszpanów, ażeby mi opowiedzieli wszystkie wypadki, zaszłe na wyspie od czasu mego odjazdu. Powtarzam je w krótkości.

Wszyscy siedemnastu, zaprzysięgłszy przysłałą przeze mnie umowę, postanowili od razu puścić się na wyspę. Ojciec Piętaszka zgodził się im towarzyszyć. Dzicy wcale o odjeździe nie wiedzieli, gdyż uciekający opuścili ich siedziby pod pozorem rybołówstwa parodniowego.

Za przybyciem na wyspę zasmucili się niezmiernie, nie zastawszy mnie. Z listu dowiedzieli się, co zaszło. Zarazem zawiadomiłem ich o trzech Anglikach pozostawionych i o sposobie, w jaki z nimi postępować mają. W tydzień dopiero trzech Hiszpanów uzbrojonych udało się na folwark, gdzie tamci przebywali, nie śmiejąc się wychylić z doliny, stosownie do moich rozkazów. Dobrzy Hiszpanie, mając ich za porządnych ludzi, już w parę tygodni potem zwolnili rygor, pozwalając im po całej przechadzać się wyspie.

Nadana swoboda, zamiast ująć trzech łotrów, posłużyła im tylko do popełnienia nowych niegodziwości. Przybrawszy postawy pokorne, potrafili tak sobie zjednać Hiszpanów, że ci, wbrew moim poleceniom, powierzyli Anglikom broń palną. Odtąd Atkins i jego towarzysze, zuchwali posiadaniem broni, przekonawszy się, że historia o gubernatorze była zmyśleniem, nie tylko wymówili Hiszpanom posłuszeństwo, lecz rozpoczęli z nimi kłótnie, domagając się żywności i udziału we wszystkich zapasach przeze mnie pozostawionych. Kiedy zaś Hiszpanie żądań tych zaspokoić nie chcieli, Anglicy zagrozili, że ich wymordują.

Skutkiem tych pogroźek trzeba było po całych nocach utrzymywać czaty, aby łotry nie spodzianie śpiących nie napadli i nie wypełnili swej obietnicy. Trzej wygnańcy, nie mogąc podejść cichaczem Hiszpanów, dopuszczali się wszelkiego rodzaju psot. Zniszczyli zasiewy na folwarku, poburzyli budynki i kilkadziesiąt palm kokosowych wycięli. Na koniec Atkins, zaczaiwszy się w lesie, postrzelił przechodzącego Hiszpana. Pochwycili go i skrupowali drudzy, po czym udali się na schwytanie pozostałych Anglików, co powiodło się szczęśliwie. Natychmiast złożono sąd pod przewodnictwem Don Juana. Atkins tak zuchwale odzywał się przed sądem i powtarzał pogroźki, że skazano go na karę śmierci przez powieszenie, dwóch zaś drugich na wygnanie do jednej z wysp na południu leżących. Szlachetny Don Juan nie chciał tego wyroku potwierdzić przez pamięć na to, że Anglicy byli mymi rodakami, owszem prosił, ażeby ich zupełnie uwolniono. Sędziowie po długim oporze przystali wreszcie pod warunkiem, ażeby Atkins pozostał przez parę miesięcy w więzieniu, dopóki stanowczej nie przyrzecze poprawy.

Poodbierano im broń palną, a nawet siekiery, a dopóki Atkins siedział w więzieniu, wszystko szło jako tako. Lecz złoczyńca, sprzykrzywszy sobie pobyt w zamknięciu, zdołał się wyswobodzić, a połączywszy się ze swymi koleżkami, na nowo zaczął dokuczać Hiszpanom.

Tego już było zanadto. Mieszkańcy zamku, chociaż szlachetni i łagodni, nie mogli dłużej wytrzymać i żyć ciągle pod groźbą stracenia wszystkiego, co posiadali. Raz należało pozbyć się niegodziwych sąsiadów. Anglicy, widząc, że tym razem nie ujdzie im na sucho, udali się w pokorę, prosząc Hiszpanów o pozwolenie opuszczenia wyspy na karaibskiej łodzi i uzyskali je. Don Juan zaopatrzył łódź we wszystkie potrzeby, a nawet udzielił im dwie strzelby i kilkadziesiąt ładunków. Do łodzi dorobiono maszt i żagiel.

Tak zaopatrzeni, puścili się na morze. Hiszpanie odprowadzili ich do brzegu, życząc pomyslniej podróży i ciesząc się, że już raz pozbyli się wichrzycieli, zatruwających im życie.

We dwa tygodnie potem Hiszpan, pracujący w polu, spostrzegł łódź płynącą ku brzegowi, na której znajdowało się ośmiu ludzi. Przestraszony tym pobiegł do zamku, donosząc o niebezpieczeństwie. Hiszpanie pochwyciwszy strzelby, wyszli na spotkanie mniemanych nieprzyjaciół i z wielkim zdziwieniem i smutkiem poznali, że to powracają Anglicy w towarzystwie pięciu Karaibów. Oto, co ich spotkało:

Po dwóch dniach żeglugi wylądowali na wyspie leżącej na zachodzie. Mieszkańcy zbiegli się natychmiast z bronią, dla przeszkodzenia wylądowaniu przybyszów. Zaniechawszy więc swego zamiaru, popłynęli ku południowi i wysiedli na niewielkiej wysepce, zamieszkaną przez kilkadziesiąt dzikich. Karaibowie przyjęli ich bardzo dobrze, dostarczając żywności, złożonej z patatów i ryb suszonych. Mieli oni u siebie pięciu niewolników schwytanych w ostatniej potyczce i za parę fraszek europejskich odstąpili ich Anglikom. Między jeńcami znajdowało się dwóch mężczyzn i trzy kobiety.

Po czterech dniach Atkins z towarzyszami i niewolnikami wypłynął na morze w zamiarze osiedlenia się na jakiej pustej wysepce, lecz gdy nie mogli takiej znaleźć, jakiej chcieli, postanowili powrócić na swoją wyspę.

Mając teraz niewolników, nie potrzebowali pracować około roli i mogli prowadzić wygodne życie. Wylądowali więc, prosząc Hiszpanów, aby im pozwolili osiąść na zachodnim krańcu wyspy, gdzie mieli zamiar pobudować chaty i zająć się uprawą roli.

Pomimo doznanych nieprzyjemności, dobrzy mieszkańcy zamku przystali na żądanie Anglików, zagrożiwszy im jednak, że w razie ponowienia zaczepki, natychmiast wszystkich trzech rozstrzelają. Ponieważ pogrożka ta wyszła z ust Don Juana, do tego czasu bardzo połaźliwego, poznali Anglicy że żartów nie ma, i przez długi czas zachowywali się spokojnie. Burzliwy jednak charakter Atkinsa nie dozwolił mu wytrwać w dobrych zamiarach.

Rozgniewany na jednego Indianina, uderzył go tak silnie siekierą w głowę, iż ten na miejscu padł trupem. Towarzysz tamtego, mszcząc się za krzywdy rodaka, rzucił się na Atkinsa i pochwywszy w pól, powalił na ziemię i począł dusić. Na szczęście dwaj drudzy Anglicy, przybywszy w porę, ocalili życie Atkinsowi, zabijając Karaiba. Ale pomimo to zuchwały majtek przez kilka miesięcy ciężko chorował, mając mocno pogniecioną klatkę piersiową i kilka żeber złamanych. Wylizał się z niebezpieczeństwa, ale przyjsć do dawnego zdrowia nie mógł i wpadł w suchoty. Kiedy go ujrzałem, przestraszyłem się, że tak źle wyglądał. Z barczystego i silnego majtka cień zaledwie pozostał, zaledwie powłóczył za sobą nogi i zdawało się, że niedługo pożyje.

Krwawy ten wypadek zasmucił osadników, lecz poniekąd był pomyślny, gdyż dwaj drudzy Anglicy, podburzani poprzednio przez Atkinsa, zachowywali się teraz spokojnie, a herszt, przyciśnięty niemocą, nie miał chęci zakłócać spokoju osady.

Z przywiezionych Karaibek jedną Hiszpan, a dwie inne Anglicy pojęli za żony. Ochrzczono je tymczasowo w nieobecności kapłana i nauczono pierwszych zasad religii chrześcijańskiej. Były to kobiety pracowite, prędko nauczyły się gotować, prać i szyć odzież z koziej skóry, a osadnicy mieli z nich wielką pomoc.

Tak upłynęły pierwsze dwa lata pobytu na wyspie. Gdyby nie tęsknota za ziemią rodzinną i nie niegodziwość Atkinsa, wyspiarze byłiby zadowoleni ze swojego losu.

## XLII

### **Najazd Karaibów na wyspę. Dwie flotylle. Przygotowania do walki. Potyczka i odparcie dzikich. Spalenie czólen. Powtórny napad. Wódz indyjski. Mężna Karaibka. Klęska. Zakończenie wojny.**

Przez cały ten czas dostrzegano wprawdzie odwiedziny Karaibów, lecz piekielne ich uczty nie zakłócały w niczym życia osady. Jednego atoli poranku dwaj Anglicy przybiegli przerażeni, donosząc, że flotylla, złożona z ośmiu łodzi napelnionych dzikimi, przybiła do wyspy niedaleko od ich mieszkań. Na szczęście dostrzegli ją dość daleko na morzu, mogli więc ujsć bezpiecznie, zabrawszy żony i sprzęty.

Natomiast Don Juan, zastępujący miejsce gubernatora, wysłał trzech Hiszpanów i jednego Anglika na zwiady. Kozy zapędzono do gaju, otaczającego zamek, ponabijano działa i strzelby, z niecierpliwością oczekując powrotu oddziału.

Wkrótce powrócili wysłańcy nadzwyczaj zasmuceni, donosząc, że dzicy odkryli chaty Anglików i obrócili je w perzynę, po czym rozproszyli się w rozmaitych kierunkach snadź dla

wyszukania mieszkańców osady. Jakkolwiek liczba Karaibów do pięćdziesięciu wynosiła, Europejczycy nie obawiali się ich, mając dostateczny zapas broni i amunicji.

Przez całą noc część osadników ubranych i uzbrojonych spoczywała, podczas gdy druga odbywała straż. Don Juan spał na skale, od czasu do czasu wstając i spoglądając w stronę, gdzie dzicy obozowali. Las nie dozwalał ich widzieć, lecz jasna luna świadczyła, że palili ogniska. Postępowania tego nie mogli sobie osadnicy wytłumaczyć.

O wschodzie słońca wódz hiszpański wyszedł sam na zwiady w towarzystwie jednego z Anglików. Dotarłszy do końca lasu, ujrzeni obóz dzikich, którzy ani myśleli odpływać, ale byli zajęci pieczeniem patatów. Nie widać było pomiędzy nimi jeńców, przeznaczonych na pożarcie, co niemało zadziwiło Don Juana. Przez cały dzień osadnicy mieli się na ostrożności, a gdy noc zapadła, wysłali ojca Piętaszka z poleceniem, aby wkradłszy się do obozu dzikich, mógł ich zamiary wybadać. Powrócił on nad ranem, dokonawszy pomyślnie swego posłannictwa. Dzicy przybyli na wyspę w celu wynalezienia jej mieszkańców, zabrania ich i pożarcia. Kiedy bowiem ostatni raz wyprawiali tu swoją wojenną ucztę, jeden z nich dostrzegł chaty angielskie, lecz dopiero na morzu powiedział o tym innym.

Wiadomość ta rozeszła się w całym pokoleniu, które postanowiło zrobić wyprawę. Dlatego zaś jeszcze nie rozpoczęli kroków wojennych, że miały im lada chwila liczniejsze nadciągnąć posiłki.

Jakoż na drugi dzień rano dostrzeżono ze strażnicy dwadzieścia jeden czółen, na których znajdować się mogło około stu pięćdziesięciu Karaibów, tak iż cała potęga przenosiła dwieście głów. Wypadek ten niemało zmieszał osadników, gdyż niełatwo było pokonać tak poważnego nieprzyjaciela, pomimo że był licho uzbrojony.

Mieli oni łuki i strzały, dziryty i szerokie miecze z żelaznego drzewa. Siła osadników, dziesięć razy szczuplejsza, składała się z siedemnastu Hiszpanów, trzech Anglików, ojca Piętaszka i trzech kobiet, które postanowiły walczyć obok mężów. W arsenale było 12 muszkietów, 5 strzelb, trzy sztucce odebrane Anglikom, 5 par pistoletów, 2 halabardy, 3 szpady i 7 pałaszy. Prócz tego osadzono cztery topory na długich drzewcach i rozdzielono siekiery pomiędzy tych, którzy szabel nie mieli. Działo wielkie i trzy falkonetki nabito kulami karabinowymi.

Zastęp europejski uszykował się na końcu lasku, otaczającego zamek. Na wzgórzu, gęstym krzewem porośłym, ustawiono dwa falkonetki jako artylerię, pod osłoną Atkinsa, ojca Piętaszka i czterech Hiszpanów. Dwunastu pozostałych i dwóch Anglików pod dowództwem Don Juana ukryło się poza urwiskami skał, w zaroślach u stóp wzgórza położonych. Na koniec kobiety wdarły się na niedostępną opokę, uzbrojone w łuki i strzały, z którymi umiały się obchodzić. W ostatecznym razie postanowiono cofnąć się do zamku.

Dzicy podzielili się na trzy oddziały: pierwszy, złożony z sześciu ludzi, szedł naprzód, jakby na zwiady. Za tymi o sto kroków postępowało czterdziestu uzbrojonych w miecze i łuki, na koniec reszta, około 160 wynosząca, zamykała pochód półksiężycowym szeregiem. Wszyscy z wolna posuwali się ku lasowi, snadź wysledzili że poza nim ukrywali się mieszkańcy wyspy.

Europejczycy przepuścili straż przednią, nie zaczepiając jej wcale, lecz kiedy zastęp środkowy zbliżył się na pół strzału karabinowego, zagrzmiała potężna salwa spoza skał, a kilkunastu dzikich powaliło się na ziemię. Przestrach nie do opisania ogarnął Karaibów. W mgnieniu oka rozpierzchli się i znikli w gęstwinie leśnej. Osadnicy chcieli ich ścigać, lecz Don Juan na to nie pozwolił, lękając się, aby dzicy, ochłonawszy z przestrachu, nie otoczyli ich w czystym polu, gdyż w takim razie musieliby ulec przeważającej sile Indian.

Jakoż postępek ten był bardzo rozsądny, gdyż wkrótce dzicy wypadli z lasu, wydając okropne ryki. Na czele biegł Karaib olbrzymiego wzrostu, odznaczający się pękiem piór czerwonych, zatkniętych w wysoko związanej czuprynie. Na lewej ręce miał wielką tarczę z

zółwiej skorupy, w prawej zaś ogromny i ciężki miecz drewniany, z obu stron nasadzony ostrymi krzemieniami.

Hiszpanie, przypuściwszy ich blisko, przywitali celnymi strzałami, lecz pomimo upadku kilkunastu Karaibów, reszta biegła naprzód odważnie, wyrzucając mnóstwo strzał, z których dwie raniły Hiszpanów.

Już ledwie czterdzieści kroków dzieliło walczących – za chwilę dopadną kryjówek osadników, a w takim razie nic ich ocalić nie zdoła – kiedy nagle Atkins z Hiszpanem dają ognia z falkonetów, a pozostali wtórują im wystrzałami z muszkietów.

Straszny huk, zwiększony echem skał, powstrzymuje atak dzikich. Pierzchają w nieładzie na wszystkie strony. Na próżno wódz z czerwonym piórem usiłuje ich zatrzymać. Przejęci zabobonną trwogą, mniemając, że mają przed sobą duchy władające piorunami, umknęli z placu boju.

Porażka dzikich nastąpiła około południa. W pół godziny po ich zniknięciu Don Juan wyszedł, aby dać pomoc rannym. Siedemnastu dzikich mniej lub więcej ciężko rannych zniesiono do szopy, przeznaczonej na skład siana i opatrzone ich rany. Lżej ranni uszli ze swymi towarzyszami, trzydziestu jeden zabitych pokrywało pole bitwy. Pozostało przecież stu pięćdziesięciu Karaibów do zwalczania.

Po krótkiej naradzie Hiszpanie umyślili cofnąć się do zamku, gdyż niepodobieństwem było bronić się na dawnym stanowisku, zwłaszcza, że już dwóch odniosło rany, chociaż lekkie. Należało się obawiać, że przy ponowieniu ataku, dzicy, oswojeni już nieco z działaniem broni ognistej, będą nacierali śmieiej, a chociażby ich połowa od wystrzałów poległa, to reszta będzie aż nadto dostateczna do wymordowania osadników.

Don Juan lękał się nadto, aby dzicy nie wsiedli na łodzie i nie odpłynęli, w zamiarze powrócenia w nierównie większej liczbie. Atkins, lubo cierpiący na ciele mocno, nie stracił przecież ducha. Usłyszawszy utykania Don Juana, odciągnął na bok ojca Piętaszka i długo z nim rozmawiał. Przed zachodem słońca starzec znikł niepostrzeżenie.

Reszta dnia przeszła spokojnie. Dzicy poniosłszy ciężką klęskę, nie śmieli ponowić ataku. Europejczycy schronili się za wały zamku, z którego strzelnic wyglądały paszcze trzech falkonetów i kilkunastu strzelb. Co dwie godziny przez całą noc zmieniały się stráže. Kolejno czterech czuwało nad bezpieczeństwem zamku, gdy inni wypoczywali po całodziennych trudach.

Okolo północy jaskrawa łuna zaczerwieniła sklepienie niebios. Don Juan wybiegł na strażnicę i z podziwieniem ujrzał czółna dzikich w płomieniach. Cała załoga przypatrywała się pożarowi, odbijającemu się w przezroczu oceanu, a z dala słychać było wycia dzikich, rozpaczających nad utratą swych łodzi.

W godzinę później przybył ojciec Piętaszka, któremu powiodło się spalić flotyllę nieprzyjacielską. Już teraz nie mogli powrócić do swej ojczyzny. Wprawdzie tym sposobem Atkins zapobiegł najściu liczniejszych zastępów dzikich, lecz pozostali na wyspie, wpadłszy w rozpacz, mogli stać się groźnymi dla osady.

Myśl ta trapiła niezmiernie Don Juana. Karaibowie, będąc uwięzieni na wyspie, zamiast szturmować zamek mogli się rozproszyć po okolicy, pustoszyć zasiewy, wybić kozy, a wreszcie czatując poza krzakami, nie dać się wychylić nikomu z zamku. Po spożyciu zapasów nie pozostałoby Hiszpanom nic, jak tylko zginąć z głodu, albo też, uderzywszy z rozpaczą na Karaibów, polec od ich broni.

Na szczęście dzicy nie mieli tyle przebiegłości. Wrząca krew nie dozwoliła im czekać cierpliwie pewnego upadku nieprzyjaciół. Na drugi dzień zaraz po wschodzie słońca wyruszyli z lasu dla powtórzenia ataku.

Za przybyciem na pole bitwy oglądali się dookoła, na próżno śledząc nieprzyjaciela. Radosne wycia oznajmiły Hiszpanom, iż Karaibowie sądzili, że osadnicy nie odważą się próbować dalszej walki. Wódz z czerwonym piórem długo do nich przemawiał, snadź zagrzewając do wytrwałości, po czym łańcuchem, jakby oblawa myśliwych, ruszyli w zarośla. Las jednak był tak gęsty, że dobra godzina upłynęła, zanim pierwsi wojownicy indiańscy wynurzyli się z

zarośli. Załoga wstrzymała się ze strzelaniem, ażeby wtenczas dopiero dać ognia, kiedy nieprzyjaciel nie będzie zasłonięty krzewiną.

Ale Karaibowie, wyrzuciwszy mnóstwo strzał, z niesłychaną szybkością przebiegli przestrzeń stu kroków, przedzielającą lasek od zamku. Zagrzmiały strzały Europejczyków, lecz ponieważ dzicy pędzili w rozsypce, zaledwie kilku obaliły, reszta poczęła się wdzierać na mur i palisadę. Wprawdzie kule pistoletowe, halabardy i topory zwały najzuchwalszych napastników, lecz inni nie dali się tym odstraszyć i darli się śmiało naprzód. Zguba Europejczyków zdawała się być nieuchronna. Postanowili przynajmniej drogo sprzedać życie.

Wtem jedna z Karaibek, snadź dobrze świadoma obyczajów swojego plemienia, wymierzyła z łuku do wodza z czerwonym piórem, który stojąc na szczycie ostrokołu, ogromnym mieczem zgruchotał drzewce halabardy Don Juana i gotował się powtórny cios strzaskać mu czaszkę. Świsnął grot i przeszył na wylot pierś męznego Indianina. Zachwiał się i runął jak dąb, podcięty toporem leśnika.

Na widok podającego wodza, Karaibowie zawyli z rozpacz i zaniechawszy ataku, zbiegli się dookoła niego, spodziewając się, że cios nie był śmiertelny. Korzystając z zamieszania, załoga rozpoczęła gęstym ogniem razić nieprzyjaciół, którzy nie zważając na rany i śmierć, starali się drogie ciało unieść w bezpieczne miejsce. Biali, wypadłszy zza swych szańców, uderzyli gwałtownie na uchodzących, lecz ci, przejęci trwogą, nie próbowali nawet oporu. Dopiero na skraju lasu udało się Don Juanowi powstrzymać zapal swoich, wycinających bez litości pierzchających Karaibów.

Pięćdziesięciu trzech zabitych i około czterdziestu rannych zaległo pole bitwy. Zaciekli Hiszpanie dobijali umierających tak, iż ledwie dwudziestu dziewięciu zdołano ocalić. Ze strony białych ranny był ciężko Hiszpan Gonzales, lżejsze rany odniosło czterech Hiszpanów i jeden Anglik.

Przez trzy dni po tej bitwie nie słyhać było nic o Indianach. W tym czasie z dwudziestu dziewięciu rannych Karaibów czternastu umarło, a reszta miała się lepiej. O ćwierć mili od zamku osadnicy wykopali wielki dół i pochowali w nim ciała dzikich.

Czwartego dnia z rana Don Juan, zostawiwszy Atkinsa i pięciu Hiszpanów oraz rannego Gonzalesa w zamku, wyruszył na czele dziesięciu swych rodaków i dwóch Anglików z ojcem Piętaszka, dla dowiedzenia się, co porabiają Karaibowie. Krwawe ślady i trupy, leżące po drodze, wskazywały drogę dzikich. W lasku znaleziono pięć ciał, w wielkim lesie jedenaście, na brzegu morskim cztery.

Gdy oddział dostał się na kraniec lasu dotykającego równiny, na której był obóz Karaibów, przykry widok ukazał się oczom. Ciała jedenastu dzikich leżały rozciągnięte bez żyda, czterdziestu pięciu żyjących siedziało w krąg ze zwieszonymi głowami wokoło wodza, leżącego pośrodku. Nieszczęśliwi od kilku dni snadź nie jedli i oddawali się rozpacz po stracie wodza.

Don Juan ulitował się nad nimi. Ustawiwszy swych ludzi w pogotowiu na wypadek zaczepki, dał ognia z pistoletu w powietrze.

Dzicy zadrżeli na odgłos wystrzału, lecz żaden nie pochwycił broni, owszem odrzucili ją daleko od siebie na znak, że walczyć nie myślą. Hiszpanie zbliżyli się ku nim, co widząc Karaibowie popadali na twarz.

Naówczas Don Juan rozkazał zapytać ich, co dalej zamyślają robić.

– Potężne duchy, władające piorunami, wydartymi Bogowi Benamuki! Zabiliście wodza, który więcej nieprzyjaciół pożarł, niż nas tu przybyło na tę straszną wyspę. Zabijcie nas i zjedzcie, bo się bronić nie będziemy, a darujcie przynajmniej życie naszym żonom i dzieciom, pozostałym w domu. Jeśli taka wasza wola, gotowi jesteście sami siebie pozabijać.

Wtedy wódz Hiszpanów kazał ojcu Piętaszka powiedzieć, że daruje im życie, a nawet pozwoli zabrać rannych, jeżeli przysięgną, że nigdy nie powrócą na tę wyspę. – Gdybyście poważali się raz jeszcze tu wylądować, natenczas nie tylko wszystkich zniszczymy piorunami, ale wyspę waszą pogrążymy w przepaściach morskich, zakończył tłumacz.

– Jakże wrócimy do siebie, rzekł jeden z Karaibów, kiedy zniszczyłeś nasze łodzie?



– Pozwolę wam zbudować inne, oto siekiery.

Dzicy z radością przyjęli ten projekt i natychmiast wzięli się do ścinania drzew. Hiszpanie powrócili do zamku.

W tydzień potem sześć czółen było gotowych. Karaibowie upiekli i pożarli dało wodza z czerwonym piórem, albowiem mniemali, że nabiorą takiego męstwa, jakie on posiadał.

Don Juan zaopatrzył ich w żywność na drogę i zwrócił im jedenastu rannych, którzy mogli odpłynąć, a pozostałych czterech pozostało na wyspie, służąc Hiszpanom. Pięćdziesięciu sześciu Karaibów, z dwustu przybyłych, powróciło do swej ojczyzny.

Już przeszło rok od tego czasu, a ani jedno czółno karaibskie nie zbliżyło się do wyspy, na której tak straszliwą ponieśli klęskę.

## XLIII

### **Stan wyspy. Liczba i narodowość jej mieszkańców. Założenie miasta. Pożegnanie. Cisza na morzu. Niezliczona flota. Straszny wypadek. Pogrzeb sprawiedliwego. Nieukożona boleść. Powrót do Anglii. Podróże na Wschód. Dalsze losy osady. Zakończenie.**

Wysłuchawszy opowiadania Hiszpanów, zawiadomiłem ich, że przywożę znaczny zasilek w ludziach i rozmaitych zasobach, mianowicie odzieży, broni i amunicji. Ucieszyło to ich niezmiernie i dziękowali serdecznie za pamięć o wyspie.

Wkrótce przybyli trzej Anglicy. Atkins, pomimo złego postępowania z początku, poprawił się zupełnie i w wojnie z dzikimi dał dowody nadzwyczajnej odwagi, lecz wyglądał jak cień i widać było, że wkrótce skończy. Oświadczyłem mu, że go chętnie zabiorę ze sobą do Anglii, lecz odrzekł mi na to:

– Panie gubernatorze, niech wam Bóg wynagrodzi wasze łaskawe obejście się z łotrem, który sto razy zasłużył na szubienicę, ale do ojczyzny nie chcę wracać. Nabroilem dużo, niechaj więc umieram tu, gdzie mi Bóg dozwolił opamiętać się w moich postępkach i wyjść na porządnego człowieka. Może koledzy moi zechcą wracać, ja tu pozostanę.

– Cóż byśmy robili w Anglii, odrzekł jeden z majtków. Tu mamy wszystkiego pod dostatkiem, gdy tam trzeba by ciężko pracować i do śmierci włączyć się po morzu. Jeżeli pan gubernator pozwoli, z chęcią pozostaniemy.

Trzech tylko Hiszpanów prosiło, abym ich zabrał ze sobą do Europy. Mieli zamiar powrócić tu z rodzinami, znajdującymi się w Hiszpanii. Obiecałem im opłacić koszt podróży.

Następnie sprowadziłem nowych osadników z okrętu. Nie mogli się napatrzeć i nachwalić piękności wyspy i z chęcią na niej osiedli.

Obecnie więc ludność wyspy dawna i nowa wynosiła:

Anglików	22	Angielek	25
Brazylijczyków	5	Brazylijek	7
Hiszpanów	17	–	
Karaibów	4	Karaibek	3
Razem mężczyzn	48	kobiet	35 oprócz mnie, Piętaszka i jego ojca.

Liczba ta przy broni i amunicji mogła się oprzeć kilkuset ludziom, gdyby odważyli się ponowić kroki nieprzyjacielskie.

Postanowiłem zabawić tu przez całą zimę, poleciwszy tymczasem kapitanowi okrętu, aby popłynął do Hiszpanii dla przywiezienia rodzin rozbitków. Dałem mu zarazem pełnomocnictwo do werbowania ochotników, którzy by chcieli osiedlić się na wyspie.

Zaraz po odplynięciu statku cieśle, przy pomocy osadników, zajęli się ścinaniem drzewa na wystawienie miasteczka. Obraliśmy na ten cel wzgórze nad zatoką morską, stanowiącą wyborny port. Naprzód postanowiliśmy wybudować dwie kaplice. Jedną dla katolików, to jest Hiszpanów i Brazylijczyków, drugą dla Anglików, obliczywszy, że dla pomieszczenia wszystkich rodzin potrzeba będzie 28 domów, gdyż zaprojektowano skojarzyć kilka małżeństw. Don Juan i Gonzales nie chcieli zamku opuszczać, im więc powierzono straż twierdzy i arsenału.

Brazylijczycy wzięli się do założenia plantacji, kmiecie angielscy poobierali sobie pola, cieśle pracowali nad obrabianiem drzewa, krawcy przy pomocy kobiet szyli suknie i bieliznę. Jednym słowem ruch niezwykle ożywił wyspę, przed dwudziestu laty bezludną.

Na początku maja przybył szczęśliwie okręt, przywożąc pastora anglikańskiego z żoną i córką oraz sędziwego księdza katolickiego. Z Hiszpanami przybyło trzynaście osób, a między tymi pięciu mężczyzn, do ich rodzin należących. Na koniec z Anglii przybyło trzech kmieci żonatych z dziećmi, czterech parobków, stelmach, stolarz, dwóch tkaczy, piwowar, rymarz, chirurg, kotlarz, garncarz i kilku innych rzemieślników lub kolonistów z rodzinami, tak że ludność cała wynosiła: Anglików obojga płci 110, Hiszpanów 31, Brazylijczyków 12 i Karaibów 8; czyli razem osób 161, z których pięć zostało w zamku, a reszta mieściła się w 49 domach miasta, nazwanego przez wyspiarzy dla uczczenia mej pamięci *Robinsontown* (miasto Robinsona).

Pomimo zamiaru opuszczenia wyspy na wiosnę, zabawiłem jeszcze cały rok, pragnąc porozdzielać grunty i doprowadzić do porządku osadę i dopiero 26 czerwca 1681 roku odplynąłem stamtąd, żegnany łzami wdzięczności osadników i rżęsiłymi wystrzałami artylerii zamkowej. Jedno przykre zdarzenie zasepiło mój odjazd, a tym była śmierć ojca Piętaszka, który na dwa tygodnie przedtem życie zakończył.

Biedny chłopiec, przejęty niewymownym żalem, nie chciał pozostać na wyspie, lecz prosił, abym go ze sobą zabrał do Anglii.

Zostawiłem moją wyspę pod zwierzchnictwem Don Juana w stanie kwitnącym, zaopatrzoną we wszystko, co do jej rozwoju było potrzebne. Bydło rogate, trzoda chlewna oraz owce przywiezione przeze mnie już się poczęły rozmnażać. Budowa miasteczka postępowała szybko, jednym słowem miałem nadzieję, że z upływem lat będzie to piękna kolonia.

Tego dnia po odplynięciu zaskoczyła nas cisza morska. Przez kilka godzin okręt posuwał się zaledwie o paręset sążni, lecz nagle wpadł na prąd morski, który go zaczął pędzić ku wschodowi. Dwa razy majtek, siedzący w koszu bocianiego gniazda, ostrzegał, że widzi łąd w kierunku wschodnim, lecz znaczna odległość nie pozwoliła dostrzec z pokładu czy to była wyspa, czy łąd stały. Około południa, gdy morze wygładziło się jak zwierciadło, ujrzeliśmy o milę na wschód ziemię. Pomiędzy nią a naszym statkiem morze było usiane mnóstwem punktów czarnych, poruszających się żywo w tę i ową stronę. Sternik rozpoznał w nich łodzie karaibskie, których mogło być przeszło sto pięćdziesiąt.

Zapewne dzicy, spostrzegłszy okręt zatrzymany ciszą, wsiedli na łodzie, aby mu się z bliska przypatrzeć. Nie cieszyło mnie to wcale, gdyż łatwo mogło przyjść do starcia, czego sobie wcale nie życzyłem. Obsada okrętowa, nasłuchawszy się podczas pobytu na wyspie różnych historii o odwadze i ludożerstwie Karaibów, zatrwożyła się nieco, tym więcej, że nie można było uniknąć spotkania, gdyż najmniejszy wietrzyk nie poruszał żagli, a prąd morski, chociaż z wolna, przecież wciąż posuwał statek ku ładowi.

Przemówiłem do obsady, obudzając w niej męstwo i rozkazałem nabić działa i broń ręczną oraz przygotować naczynia z wodą na wypadek, gdyby dzicy chcieli okręt podpalić. Było nas dwudziestu siedmiu, a dzikich znajdować się mogło na flotylli przeszło tysiąc.

W pół godziny później otoczyło nas mnóstwo czółen. Karaibowie, jak się zdaje, mieli zamiar ze wszystkich stron na nas uderzyć. Wstrząsając dziurkami i napinając łuki, zaczęli straszne wydawać okrzyki. Zaczęliśmy dawać im znaki, ażeby się oddalili. Zrozumieli to dobrze, ale zamiast usłuchania nas, wyrzucili mnóstwo strzał, z których jedna zraniła majtkę. Obsada domagała się, aby natychmiast rozpocząć ogień, lecz na nieszczęście nie posłuchałem tej zbawiennej rady. Żał mi było tych ciemnych ludzi, nie wiedzących, na jak nierówną narażają się walkę. Postanowiłem użyć jeszcze ostatniego sposobu.

– Piętaszku, rzekłem, idź na tył okrętu i przemów do nich. Powiedz im, że na okręcie są duchy, władające piorunami, że jeżeli zaraz nie odpłyną, zniszczymy całą ich flotę i wytepiemy wszystkich bez miłosierdzia.

Indianin, wzięwszy w rękę zieloną gałązkę, pobiegł na tył statku, a stanąwszy na dachu kajuty, zaczął robić przyjazne gęsta, przywołując dzikich. Po chwili jedna z największych łodzi, na której znajdowało się dwunastu wojowników, podpłynęła pod okręt.

Zaledwie Piętaszek skończył swoją przemowę, kiedy dzicy zamiast odpowiedzi wyrzucili nań grad strzał, z których dwie przeszły mu piersi. Z jękiem padł nieszczęśliwy na ziemię.

Podsłoczyłem ku wiernemu przyjacielowi. Ze smętnym uśmiechem spojrzął mi w oczy, pochwycił za rękę, przycisnął do ust, a potem, westchnąwszy, skonał.

– Ognia, ognia, do tych poczwar, krzyknąłem z wściekłością, mierzyć dobrze i bić bez miłosierdzia! Ach, lotry, zbrodniarze!

I porwawszy lont z ręki kanoniera, wymierzyłem na łódź zdradziecką. Huknął grom, a czółno zniknęło bez śladu z powierzchni wód. Wnet nastąpiły liczne salwy, majtkowie bez wytchnienia nabijali działa i sypali zabójczymi pociskami, mierząc do dalszych łodzi, aby tym sposobem zapobiec ucieczce bliższych. Przez trzy kwadransy trwała kanonada straszliwa. Trzy części floty nieprzyjacielskiej zniszczono, zaledwie trzydzieści lub czterdzieści czółen uszło zagłady, a morze okryło się szczątkami łodzi i mnóstwem ciał poległych.

Widok ten mnie przeraził, kazałem zaprzestać ognia. I cóż mi ze śmierci tylu nieszczęśliwych, wszak oni byli w swoim kraju i mieli prawo odpędzać Europejczyków, którzy w Ameryce tylu dopuścili się okrucieństw i dziewięć dziesiątych ludności wytepiłi. Ach, z chęcią darowałbym im życie, oddał całe moje mienie, za życie kochanego Piętaszka!

Uśmiechu, z którym konał, śmierć nie zdołała spędzić z tej lubej twarzy. Pochylony nad ciałem mojego przyjaciela, siedziałem z załamanymi rękoma, a gorące łzy spadały na drogie, martwe oblicze. Od chwili, kiedym się dowiedział o stracie rodziców, nie doznałem większej boleści. Nie miałem siły powstrzymać żalu, tylko od czasu do czasu wyrzywały się z ust moich słowa:

– Piętaszku, o, mój drogi Piętaszku!

Słońce już chyliło się ku zachodowi, a ja wciąż oddawałem się rozpaczom. Towarzysze nie mieli odwagi mi przerwać. Na koniec kapitan przybliżył się do mnie, a wstrząsnąwszy lekko za ramię, prosił, ażebym zaprzestał daremnych narzekań i opamiętał się.

Jak ze snu zbudzony, powstałem, dając znak, aby uczyniono przygotowania do pogrzebu.

Obszyto ciało Piętaszka w nowe płótno żaglowe, przymocowano u stóp dwie kule działowe i złożono je na desce pośrodku pokładu.

W braku kapelana, kapitan odczytał w głos błogosławieństwo pośmiertne, wzywając obecnych, aby się pomodlili za duszę poległego.

Cała osada, zgromadzona na pokładzie, a kochająca biednego Karaibę, upadła na kolana i zaczęła się modlić. Łzy rozrzewnienia spływały po tych ogorzałych, nieprzystępnych żalowi twarzach.

Na ten widok taka mię boleść ogarnęła, iż nie będąc panem siebie, rzuciłem się na zwłoki przyjaciela z głośnym płaczem. Zaledwie zdołano mnie oderwać.

Majtkowie podnieśli deskę i umieścili ją na brzegu statku, tak że dolna połowa ciała wystawała poza burtę. Kapitan odczytał ostatnie błogosławieństwo.

– Bądź zdrow, drogi mój bracie, towarzyszu mojego wygnania, serdeczny przyjacielu, bądź zdrow na wieki!

Deska się przechyliła, a ciało lekko zsunęło się w morze, które na zawsze, na wieki zawarło nad nim kryształowe swoje sklepienie.

I już nie było Piętaszka!

Wypadek ten zmienił zupełnie plany mej podróży. Zamiast do Brazylii, jako to uczynić zamierzałem, popłynąłem wprost do Anglii, gdzie przybyliśmy bez żadnej przygody w końcu września.

Majątek mój, wynoszący przeszło 65000 funtów szterlingów, pozwalał mi żyć wygodnie, lecz brak rodziny, śmierć Piętaszka, a nadto zamieszki w Anglii i rozruchy w pobliskiej Szkocji, skłoniły mnie do nowej podróży, którą tym razem odbyłem na Wschód, do Indii, wysp Sundajskich, Chin i Syberii.

Opisawać jej nie będę, gdyż nie ma żadnego związku z moją wyspą. Dość powiedzieć, że na handlu angielskimi towarami w Indiach i Chinach i znacznym transporcie futer podwoiłem prawie mój majątek.

Handlem tym zajmowałem się przez lat jedenaście. Kiedy nareszcie w kwietniu 1692 roku wróciłem na stałe, już Stuartowie nie panowali, a na tronie zasiadł Wilhelm Orański, poprzednio panujący w Holandii i w kraju zapanował spokój.

Okręt, przybyły z Antyli, przywiózł mi bardzo smutne wiadomości o stanie mej osady.

Do roku 1675, to jest dopóki żył Don Juan de Castillos, wszystko szło pomyślnie, a ludność powiększyła się do czterystu osób, lecz po śmierci jego Anglicy, przeważający sześć razy liczbą mieszkańców pochodzenia romańskiego, poczęli uciskać Hiszpanów i Brazylijczyków tak, że w końcu przyszło do otwartego starcia, skutkiem którego wypędzono ostatnich z wyspy.

W parę lat później, kiedy Ludwik XIV, król francuski, popierając strąconego z tronu Jakuba II Stuarta, zostawał w sporze z Wilhelmem Orańskim, okręt wojenny francuski, podpłynąwszy przypadkiem ku mojej wyspie, a ujrzawszy powiewający na zamku sztandar angielski, zniszczył miasto, a mieszkańców jego uprowadził w niewolę, albo rozproszył zupełnie.

Tak osada, dla wzniesienia której tyle poniosłem trudów i wydatków, upadła jeszcze za mego życia. Byłem temu po części sam winien, należało bowiem poddać ją władzy korony angielskiej, która niezawodnie potrafiłaby ją zabezpieczyć od napadu nieprzyjaciela i jak inne kolonie, osłonić swą potężną opieką.

Zasamucony tym, porzuciłem handel i pędzę życie w moim zameczku, położonym w pobliżu rodzinnego miasta. Najmilszym moim zajęciem jest wyszukiwanie młodych ludzi, pragnących poświęcić się marynarce i dopomaganie im do wykształcenia się w tym zawodzie. Oprócz tego chętnie niosę pomoc młodzieży, uczęszczającej do szkół i uniwersytetów, pomny na to, ile doznałem w mym życiu przykrości przez brak gruntownego wykształcenia.

Gdy kiedyś spodoba się Bogu powołać mnie do siebie, przekażę cały majątek na kształcenie dobrych rękodzielników i rolników oraz na szerzenie pomiędzy nimi oświaty będącej najgłośniejszym źródłem potęgi każdego kraju. Tymczasem gotuję się do ostatniej podróży, której celem jest Wieczność.

